

A. Szklarski

SOBOWTÓR PROFESORA RAWY



ALFRED SZKLARSKI

SOBOWTÓR PROFESORA

RAWY



Prolog - niepokojące wezwanie

Mimo pełni kalendarzowego lata, od wielu dni trwała zła, jesienna pogoda. Szare, o niskim pułapie chmury wciąż zasnuwały niebo. Co chwila zrywał się porywisty wiatr i smagał ziemię strugami zimnego deszczu. Właśnie zapadał przedwczesny wieczorny zmrok.

Pospieszny pociąg Warszawa - Wiedeń mknął na południowy zachód ku Katowicom. Okna rozkołysanych pędem wagonów rozbłysły elektrycznym światłem.

Wagon restauracyjny był bez przerwy zapełniony. Kelner niezmordowanie przebiegał od stolików do kuchni i roznosił na tacy zamówione przez podróżnych dania. Krążąc po wagonie, co pewien czas ciekawie zerkał na barczystego, starszego mężczyznę o skroniach mocno już przyprószonych siwizną. Zajął on miejsce przy stoliku zaraz po wyruszeniu pociągu z Warszawy i od trzech godzin siedział głęboko zamyślony, nie zwracając na nikogo uwagi. Obiad dawno już ostygł na talerzu, a mężczyzna wciąż w skupieniu coś rozważał.

Kelner właśnie powracał do kuchni, gdy naraz ktoś przytrzymał go za łokieć. Spojrzał przez ramię. To był ten milczący, zamyślony pasażer.

- Czy w Katowicach będziemy bez opóźnienia? - zapytał.

- Już nadrobiliśmy tych kilka minut, przyjedziemy zgodnie z rozkładem - wyjaśnił kelner. - Czy może podać coś innego szanownemu panu?

- Podać...? Co podać? - zdziwił się pasażer, jakby nie zrozumiał pytania.

- Szanowny pan nie zjadł obiadu! Jeśli nie smakował, mogę teraz przynieść jakąś zimną zakąskę! Na pewno jest pan głodny!

- Nie zjadłem obiadu? - zdziwił się profesor Rawa. Spojrzał na stolik i dodał: - Widocznie zapomniałem... Tak, jestem głodny. Proszę o porcję szynki.

- A może by tak filiżaneczkę czarnej kawy? To czasem pomaga człowiekowi - zaproponował kelner.

- Mówi pan, że pomaga...? Nie, dziękuję! Proszę o herbatę.

Pasażer znów pogрузzył się we własnych rozmyślaniach. Kelner zaintrygowany pobiegł do bufetu. Wydawało mu się, że w szarych oczach roztargnionego mężczyzny czał się jakiś nieokreślony niepokój.

Profesor Rawa zjadł plasterek szynki z suchą kromką chleba i popił herbatą. Od najmłodszych lat przestrzegał odpowiedniej diety, dzięki czemu zachował sprawność fizyczną i jasność myśli, które szczególnie tego właśnie dnia mogły mu być bardzo potrzebne.

Czas szybko mijał... Za oknami wagonu zajaśniała luna, w której od czasu do czasu

wykwitały czerwonawe odblaski. Pociąg mknął teraz przez Zagłębie. Wkrótce błysnęły uliczne jarzeniowe latarnie i barwne neony. Pociąg wjeżdżał do Katowic, głównego ośrodka Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, tak swoistego pod względem przemysłowym, krajoznawczym i ludnościowym.

Uśmiech okraślił poważną twarz profesora Rawa. Lubił Katowice, stolicę polskiego górnictwa i hutnictwa. Były one dla niego miniaturą pulsujących życiem i pracą dużych miast europejskich. Spoglądając przez okno profesor położył na stoliku stuzłotowy banknot. Pociąg już wjeżdżał na peron. Rawa szybko narzucił płaszcz. Zapomniawszy o reszcie ruszył ku wyjściu. Kelner porwał pieniądze i pobiegł za dziwnym pasażerem.

- Proszę pana, proszę pana! - wołał w ślad za wychodzącym. - Nie wziął pan reszty!

Nim jednak dotarł do drzwi wagonu, profesor Rawa wmieszał się w tłum pasażerów, którzy pospiesznie schodzili do niżej położonych, osłoniętych pasaży dworca. Zaciął rzęsisty deszcz. Rawa niebawem dobiegł do wyjścia z peronów do hali dworcowej. Naraz przytrzymano go za ramię.

- Proszę o bilet! - rozbrzmiał nieco podniesiony kobiecy głos.

Profesor zamyślony usiłował iść dalej, lecz ktoś uporczywie przytrzymywał go za rękaw płaszcza i wołał:

- Proszę oddać bilet!

Rawa dopiero teraz dostrzegł w budce kontrolera chudą, niską kobietę w mundurze kolejarskim, domagającą się zwrotu biletu. Jakiś podróżny tuż za jego plecami mówił podenerwowanym głosem coś niepoehlebnego o roztargnionych ludziach. Profesor zafrasowany zaczął przeszukiwać kieszenie.

Małe zamieszanie nie uszło uwagi mężczyzny, opartego plecami o automat z peronówkami w hali dworca za budką kontrolerki. Spod opuszczonego na oczy runda kapelusza badawczo przyjrzał się profesorowi, a potem podniósł do góry kołnierz płaszcza. W tym momencie, jakby na umówione hasło, inny mężczyzna, pogrążony dotąd w czytaniu „Dziennika Zachodniego” obok drugiej budki kontrolera, natychmiast schował gazetę do kieszeni, po czym szybkim krokiem wyszedł z hali na ulicę.

Profesor Rawa wreszcie znalazł bilet kolejowy w bocznej kieszonce marynarki. Wręczył go kontrolerce. Niebawem wyszedł przed dworzec. Ostatnia taksówka właśnie zniknęła za narożnikiem ulicy Młyńskiej. Profesor niezdecydowany przystanął na skraju chodnika. Dwaj tajemniczy mężczyźni, którzy przed chwilą w hali dworcowej wymienili porozumiewawcze znaki, obecnie nie spuszczały wzroku z roztargnionego naukowca. Jeden z nich wyjął z kieszeni gazetę i ostentacyjnie wrzucił ją do kosza na śmieci, umieszczonego

następnie. Wtedy samochód, zaparkowany przy wysepce na środku placu, ruszył ku dworcowi. W tej niemalże chwili drugi mężczyzna przystanął za profesorem Rawą, by zapalić ogarek papierosa.

Samochód zatrzymał się przed profesorem przy krawężniku chodnika.

- Jadę do Ligoty, jeżeli gdzieś po drodze, mogę podwieźć - uprzejmie zagadnął kierowca, uchylając drzwiczek wozu.

- Mieszkam na Różyckiego! Bardzo dziękuję, chyba z nieba mi pan spadł! - ucieszył się Rawa. - Kiepska dzisiaj pogoda.

- Prawie całe lato do niczego. Proszę wsiadać, podwiozę pana - odparł kierowca, dyskretnie uśmiechając się ironicznie. - Czekałem na kogoś, kto nie przyjechał tym pociągiem.

Profesor Rawa wsiadł do samochodu.

Mężczyzna, który zapalał papierosa, teraz rzucił niedopałek na ziemię i szybko oddalił się ku Młyńskiej. Tuż za rogiem stała granatowa warszawa. Na widok nadchodzącego drzwi samochodu otworzyły się; w głębi wozu już siedział drugi mężczyzna, który przedtem udawał, że czyta gazetę.

Zaraz też krótko zapytał:

- No i co?!

- Akcja przebiega planowo, jedzie podstawionym wozem - padła odpowiedź i mężczyzna pospiesznie ulokował się na przednim siedzeniu obok szofera.

- Uwaga, już skręcają w Młyńską! - rozległ się ostrzegawczy głos kierowcy.

- Wyprzedź ich i jedź prosto na Różyckiego rozkazał ten w głębi warszawy.

Profesor Rawa tymczasem pochylił się do przodu, z zaciekawieniem obserwując ulicę. Na rogu Młyńskiej i Pocztovej niemal przyłgnął twarzą do szyby osłaniającej kabinę szofera. Na Rynku, w potokach światła reflektorów, mimo złej pogody, trwały prace przy budowie szybko wykańczanego, dużego gmachu domu towarowego. Rawa z zadowoleniem stwierdził, że barwny neon na fasadzie budynku już obwieszczał narodziny „Zenitu”.

- No, no, nieźle się uwinęli - mruknął Rawa, podziwiając nowoczesne i estetyczne kształty .okazałej budowli.

- Teraz podganiają robotę, bo za dwa dni dwudziesty drugi lipca! Potem znów będą się grzebali! - zauważył kierowca spod oka obserwując pasażera,

- My zawsze musimy wszystko krytykować - cierpko odparł profesor.

Skąpana w deszczu brukowana nawierzchnia ulicy Kościuszki skrzyła się w świetle latarń jarzeniowych, które niczym kryształowy różaniec pięły się ku południowej dzielnicy miasta.

Kierowca silniej nacisnął gaz. Granatowa warszawa wyprzedziła go już znacznie. Samochód lekko wspinał się na wzniesienie przy Parku Kościuszki. Rząd miejskich tramwajów stał przed zajezdnią. Po prawej stronie zarysowała się ciemna skarpa parku, na niej zaś strzeliste kontury zabytkowego, drewnianego kościółka oraz dzwonnicy¹, otoczone gęstwą krzewów i smukłych drzew.

- Zaraz za torem kolejki wąskotorowej należy skręcić w prawo - wyjaśnił Rawa, gdy samochód minął skarpe.

- Znam tę dzielnicę - odparł kierowca i zapytał: - Który numer?

- Czwartym dom z kolei - wyjaśnił profesor. - Willa stoi nieco w głębi ogrodu. Z ulicy numer prawie niewidoczny.

Kierowca trochę przyhamował na zakręcie. Wjechali pomiędzy wysokie krzewy odgradzające ulicę Różyckiego od ulicy Kościuszki. Samochód zaczął zarzucać na mokrej, porzniętej koleinami drodze. Przystanął przed żelazną, ażurową bramą. Profesor wcisnął w rękę szofera dwudziestozłotowy banknot, po czym wysiadł z samochodu, który wkrótce znikł w wylocie opustoszałej ulicy.

Rawa przybliżył się do żelaznej furtki, obramowanej dwoma kamiennymi słupkami. Na każdym z nich, na wysokości twarzy dorosłego mężczyzny, widniały trzy błyszczące, metalowe ozdoby, wykonane w kształcie wypukłej, okrągłej tarczy. Profesor przystanął przed słupem, w który wmurowane były zawiasy furtki. Dotknął dłonią środkowej tarczy, następnie wykonał nią płaski półobrót w kierunku ruchu wskazówek zegara. W odsłoniętym w ten sposób otworze ukazało się wgłębienie kryjące wylot tuby.

“Nie mam kluczy!” zawołał półgłosem.

Rygiel szczęknął w zamku. Furtka sama otworzyła się szeroko. Dwóch mężczyzn, obserwujących Rawę z ukrycia w pobliskich zaroślach, porozumiewawczo trąciło się łokciami.

Furtka znów sama zamknęła się, gdy profesor wszedł do ogrodu.

Kilkanaście metrów za parkanem znajdowała się wśród drzew obszerna jednopiętrowa willa z wykuszami i wejściem osłoniętym dość głębokim podcieniem. Parter domu zbudowany był z ciosanego białego kamienia, wyżej zaś mur tworzyły nietynkowane, czerwone cegły. W

¹ Jest to kościółek pochodzący z 1510 roku, przeniesiony z Syryni w powiecie rybnickim do Parku Kościuszki w Katowicach. Zabytek ten wykazuje typowe cechy najstarszych drewnianych kościółków śląskich. Założenie budowli stanowią dwa kwadraty, z których pierwszy jest częścią kościoła dla wiernych, drugi prezbiterium, czyli przeznaczony dla kapłana. Obok kościółka stoi osobno dzwonnica i znajduje się przykościelny cmentarz, okolony płotem z charakterystyczną bramą wejściową.

frontowej ścianie widniało tylko jedno małe i okrągłe jak okrętowy iluminator okienko, dzięki czemu dom sprawiał wrażenie dość ponurej, ufortyfikowanej budowli.

Profesor znalazł się wkrótce w głębi podcienia przed drzwiami bez klamki. Nad wbudowaną w nie płaskorzeźbą głowy robota z rozchylonymi ustami i oczami widniała emaliowana tabliczka z zagadkowym, czarnym napisem:

“Powiedz kim jesteś, a dowiesz się, czy zastałeś gospodarza w domu.”

Profesor Rawa nie tracąc czasu pochylił się ku robotowi i szepnął:

“Sezam...”

Jak za wypowiedzeniem zaklęcia legendarnego Ali Baby drzwi otworzyły się bezszelestnie. Profesor przekroczył próg domu. Światło samoczynnie zapłonęło w żyrandolu zwisającym z sufitu. Rawa uważnie rozejrzał się po obszernym hallu. Wszystkie przedmioty znajdowały się na właściwych miejscach. W domu panowała niczym nie zmacona cisza. Profesor ominął lustro wbudowane w środek ściennego wieszaka. Nie zdejmując płaszcza ani kapelusza, stanął przed dużymi, dwuskrzydłowymi drzwiami bez klamki. Lekko przesunął lewą dłoń po bocznej futrynie.

Drzwi same otworzyły się cicho...

Rawa błyskawicznym, niespokojnym spojrzeniem obrzucił swoją pracownię. Dopiero po dłuższej chwili ucho mogło uchwycić leciuteńki szum urządzeń klimatyzacyjnych. Wszędzie panowała idealna czystość i porządek. Pośrodku sali stał długi i szeroki, jasny stół. Na nim znajdował się z boku mały mózg cybernetyczny² i różnego rodzaju przyrządy pomiarowe, z wyglądu podobne do telewizorów, anteny, mikrofony, magnetofony, lampy radiowe i telewizyjne wmontowane w jakieś aparaty, wzmacniacze oraz duże i małe skrzynki z ekranami, tarczami lub wskaźnikami i strzałkami, rozmaite urządzenia elektromechaniczne.

W głębi pracowni była nisza zakryta czteroskrzydłowym parawanem. Rawa podbiegł do niej. Gwałtownym szarpnięciem odsłonił jedno skrzydło parawanu. Strumień jasnego światła automatycznie oświetlił fotel, w którym siedział mężczyzna słusznego wzrostu i silnej

² Cybernetyka (z greckiego *kybernetikos*, czyli sterujący) jest nauką o sterowaniu, zaś w węższym znaczeniu działem wiedzy o układach odznaczających się samosterownością, jak na przykład maszyny cybernetyczne. W założeniach kształtowania się cybernetyki doszukiwano się podobieństw między procesami sterowniczymi w maszynach i organizmach. Ważną metodą cybernetyczną jest, między innymi, budowanie modeli cybernetycznych, będących modelami żywych organizmów, co umożliwia sprawdzanie słuszności teoretycznych założeń i rozważań. Cybernetyka otwiera możliwości do wykorzystywania wiedzy o działaniu organizmów do budowy podobnie działających maszyn oraz do wykorzystywania wiedzy o maszynach do pogłębiania informacji o zachowaniu się organizmów i społeczności.

budowy ciała. Zewnętrznie stanowił wierną kopię profesora Rawy. Z lekko odchyloną do tyłu głową spoglądał w sufit szklistymi, nieruchomymi oczami. Opuszczone w dół ręce bezwładnie zwisały ku posadzce.

Westchnienie ulgi wyrwało się z ust profesora Rawy, gdy ujrzał swego sobowtóra siedzącego za parawanem. Zaraz jednak pochylił się ku niemu, obrzucając go badawczym spojrzeniem... Teraz od razu spostrzegł w marynarce na lewej piersi szerokie rozcięcie, jak po pchnięciu nożem.

Profesor Rawa zachmurzył się i bardzo zaniepokojony szepnął:

“Ach, więc to tak!”

Nie tracąc czasu podbiegł do stołu stojącego na środku pracowni. Nacisnął klawisz telewizora. Pochylony nad stołem utkwił wzrok w dużym ekranie, na którym kolejno zaczęły ukazywać się wnętrza innych pomieszczeń w domu: jadalnia, gabinet i zarazem jego sypialnia, pokój syna, pokój gościnnie, kuchnia, strych, a w końcu garaż z połyskliwym, niebieskim Wartburgiem. Nigdzie nie było żywego ducha.

Rawa wyłączył telewizor. Niemal przerażony pobiegł następnie w róg pracowni, gdzie naprzeciwko drzwi wejściowych mieścił się przyrząd o kształcie stojącego zegara. Zamiast tarczy ze wskazówkami posiadał ekran, nad nim zaś ruchomy obiektyw. Był to aparat nazwany przez wynalazcę “Ego”, co w języku łacińskim oznaczało “ja” lub “ja sam”. Ego był niezawodnym okiem i uchem profesora, bowiem mógł ukazywać osoby, które mimo surowego zakazu wchodziły do pracowni podczas jego nieobecności, a nawet powtarzać ich rozmowy.

Rawa uruchomił przyrząd. Zaraz też ciszę zakłócił głos ostrzegający kogoś, aby samowolnie nie przekraczał progu pracowni. Wkrótce na ekranie pojawił się obraz pokoju, w którym obecnie przebywał profesor Rawa. Słysząc było przyciszoną rozmowę dwóch mężczyzn. Naraz jakiś zamaskowany osobnik pochylił się nad długim stołem.

“Precz z rękoma! Możesz niechcący uruchomić system alarmowy!” ostrzegł drugi intruz również kryjący twarz pod maską. Jego prawa dłoń, schowana w kieszeni płaszcza, zapewne zaciskała się na rękojeści broni.

“Masz rację, to diabelski dom!” mruknął pierwszy osobnik i natychmiast cofnął się od stołu. Ostrożnie podszedł do parawanu. Odslonięte jedno skrzydło pozwalało ujrzeć jaskrawo oświetlony, pusty fotel.

“A więc sobowtór wychodził z pracowni podczas mej nieobecności...” szepnął Rawa gniewnie marszcząc brwi.

Po krótkiej naradzie intruzi wycofali się ku drzwiom. Potem Ego znów ostrzegał kogoś. Na ekranie pojawiło się trzech chłopców i dziewczynka.

Profesor Rawa nieco rozchmurzył się na widok syna, lecz zaraz znów spochmurniał. Więc jednak Andrzej odważył się wprowadzić tutaj swoich przyjaciół. Wszakże nie miał czasu na zastanawianie się nad nieposłuszeństwem syna, gdyż nowe sceny na ekranie i rozmowy dzieci przykuły jego uwagę.

Dzieci otaczały siedzącego w fotelu sobowtóra, rozmawiały z nim. Sobowtór cierpliwie odpowiadał na ich pytania, spacerował, wykonywał różne czynności. Następny z kolei obraz przedstawiał sobowtóra wychodzącego z Andrzejem z pracowni, a w końcu myszkującego po niej obcego mężczyznę.

Po jakimś czasie Rawa głęboko wzburzony wyłączył aparat. Niezwykłe relacje Ego spotęgowały niepokój, jaki ogarnął go w Londynie po telefonicznej rozmowie z oficerem śledczym milicji katowickiej, który doradził mu jak najszybszy powrót do domu. Profesor teraz nabrał pewności, że alarmujące podejrzenia milicji były jak najbardziej uzasadnione. W jego domu naprawdę czaiło się groźne niebezpieczeństwo. Aby móc skutecznie stawić mu czoła, zaczął porządkować kolejność wydarzeń.

A więc przede wszystkim na dwa dni przed wyjazdem Rawy do Anglii jego syn, Andrzej, wykradł się w nocy z domu. Dlaczego to uczynił...?

Potajemna wyprawa

W nocnej ciszy rozbrzmiewało ćwierkanie świerszcza. Andrzej przewrócił się na drugi bok. Widocznie śniło mu się coś przyjemnego, gdyż uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Tymczasem ćwierkanie świerszcza, z początku dość ciche i monotonne, z każdą chwilą stawało się bardziej natarczywe, aż nagle przerwało je krakanie wrony. Wyrwany teraz ze snu chłopiec z pośpiechem wyłączył głośnik oryginalnego budzika, umieszczonego na stoliczku przy łóżku. Zaniepokojony spojrzał na fosforyzującą tarczę zegara: była jedna minuta po trzeciej. A więc zbudziło go dopiero krakanie wrony!

“Oj, do licha! - pomyślał zły na siebie. - Jeśli ojciec nie wyłączył mikrofonu, wpadłem na całego!”

Jeszcze raz zerknął na swój wspaniały budzik. Otrzymał go zaledwie przed kilkoma dniami od ojca w nagrodę za pomyślnie zdany egzamin do liceum. Profesor Rawa, chcąc sprawić przyjemność swemu jedynakowi, który był zapalonym konstruktorem urządzeń elektronicznych, sam zaprojektował i zbudował dla niego ten niezwykle upominek. Odpowiednio nastawiony czasomierz mógł budzić chłopca utrwalonymi na taśmie głosami zwierząt. Najpierw więc, zamiast dzwonka, rozlegało się stopniowo coraz głośniejsze ćwierkanie świerszcza, potem krakanie wrony, a w końcu przeraźliwy pomruk lwa, który nawet największego śpiocha zrywał na równe nogi.

Andrzej w dalszym ciągu leżał w łóżku, przezornie jednak odwrócił się twarzą do ściany. Zaniepokojony zerkał w ciemność i przez pewien czas pilnie nasłuchiwał. Przecież w domu tym trudno było cokolwiek ukryć przed ojcem. Jeśli również usłyszał u siebie w pracowni dość głośne krakanie wrony, światło w pokoju Andrzeja mogło zapłonąć lada chwila. Byłby to znak, że ojciec sprawdza na ekranie swego telewizora, co się dzieje w sypialni jedynaka. Andrzej tymczasem pragnął, aby ojciec nie przejrzał jego planów.

Ojciec Andrzeja, wybitny matematyk i fizyk, od szeregu lat poświęcał się badaniom naukowym stosunkowo młodej dziedziny wiedzy - cybernetyki³ oraz szczególnie z nią

³ Cybernetyka, jako odrębny dział wiedzy, zaczęła dojrzewać dopiero w XX w. Wtedy też ukazało się wiele dzieł wybitnych naukowców; w Polsce wydano przekłady dzieł Norberta Wienera (od ukazania się jego książki w 1948 roku pt.: “Cybernetyka, czyli sterowanie i łączność w zwierzęciu i maszynie” nastąpił w świecie rozkwit literatury cybernetycznej), Ashby'ego, Ducrocq'a, Sluckina i innych, a także wiele dzieł polskich autorów: Bogusławskiego, Grenierwskiego, Szapiry, Choynowskiego i Mazura.

związanych - automatyki⁴ i elektroniki⁵. Dzięki swym dużym uzdolnieniom osiągnął w pracy wprost niezwykle wyniki i dokonał kilku wynalazków. Był również współkonstruktorem produkowanych w Polsce maszyn analogowych, służących do obliczania równań różniczkowych oraz matematycznych maszyn cyfrowych, zwanych popularnie mózganiami elektronowymi. Dla Instytutu Podstawowych Problemów Techniki prowadził badania naukowe we własnej pracowni, przylegającej do jego prywatnego mieszkania. Dla rozwiązywania niektórych zagadnień w zakresie elektroniki i cybernetyki, profesor musiał nieraz najpierw rozwikłać szereg drobnych, lecz niemniej ważnych problemów, toteż niemal codziennie zamykał się do późnej nocy w ciszy obszernej pracowni, wyposażonej w różne najnowocześniejsze przybory oraz urządzenia.

Szczególnie wiele zainteresowania i czasu poświęcał profesor Rawa jednej z ważniejszych metod cybernetyki, to jest modelowaniu. Budowane przez niego na wzór żywych organizmów modele maszyn cybernetycznych, pozwalały mu sprawdzać słuszność założeń i rozważań teoretycznych oraz jednocześnie dostarczały niezmiernie ciekawych materiałów obserwacyjnych do badań układów znacznie bardziej złożonych, zachodzących w żywym organizmie.

Zdarzało się często, że podczas badań nad poszczególnymi częściami maszyn cybernetycznych, profesor odkrywał nowe możliwości dla rozszerzenia ich działania. Wówczas, całkowicie pochłonięty nowym pomysłem, nie widywał się z nikim przez kilka dni. W tym czasie nawet jego syn nie miał dostępu do niego. Nie oznaczało to, że wynalazca całkowicie zrywał kontakt z otoczeniem. Rozmieszczone niemal w całym domu urządzenia telewizyjne umożliwiały mu czuwanie nad jedynakiem oraz kontrolowanie wszystkiego, co działo się w willi i najbliższym jej otoczeniu. Aby uchronić się przed zbyt dużą ciekawością nieproszonych gości, profesor zabezpieczył swą posiadłość, a szczególnie pracownię, całym systemem specjalnych urządzeń alarmowych.

Rawa był wdowcem. Po śmierci żony, synem jego opiekowała się szwagierka, zamieszkała w pobliżu na ulicy Fitelberga. Dopiero po ukończeniu dwunastu lat Andrzej wprowadził się na stałe do domu ojca. Chłopiec odziedziczył zamiłowanie do techniki i zdolności matematyczne. Uczył się doskonale, z zapałem uczęszczał do pracowni

⁴ Automatyka zajmuje się podstawami teorii i praktyczną realizacją urządzeń sterujących procesami bez udziału lub z ograniczonym udziałem człowieka.

⁵ Elektronika zajmuje się praktycznym wykorzystaniem zjawisk, w których podstawowe znaczenie ma ruch swobodnych elektronów w próżni, gazach i ciałach stałych.

mechanicznej w Pałacu Młodzieży, a gdy tylko ojciec na to pozwalał, wszystkie wolne chwile spędzał w jego pracowni, obserwując z niezmiernym zainteresowaniem niezwykle doświadczenia. Najwięcej zajmowała go automatyka i sterowanie. Profesor-wynalazca nie skąpił synowi pouczających wyjaśnień, udzielał wskazówek, toteż Andrzej w bardzo krótkim czasie przeniknął wiele jego drobnych tajemnic naukowych.

Andrzej, wyłączwszy głośnik budzika, leżał nieruchomo odwrócony twarzą do ściany. Pełen niepokoju oczekiwał, czy przypadkiem nie rozbłyśnie w pokoju światło. Ojciec od wielu już dni nie opuszczał pracowni. Przeprowadzał jakieś kontrolne doświadczenia przed wyjazdem do Londynu na zjazd cybernetyków. Tym niemniej dzięki istniejącym w domu urządzeniom mógł o każdej porze dnia i nocy obserwować syna, słyszeć jego głos. Andrzej zazwyczaj zwierzał się ojcu ze wszystkich swoich zamierzeń, tym razem wszakże musiał zachować ostrożność. Ojciec na pewno nie pozwoliłby mu na tak wczesne wyjście poza obręb domu i Andrzej nie dotrzymałby przyrzeczenia, uroczyście złożonego wobec wszystkich członków nowo powstałego Klubu Poszukiwaczy Przygód.

Założycielem Klubu był Marek, szkolny kolega Andrzeja. Obydwaj chłopcy mieszkali w sąsiedztwie i przyjaźnili się mimo różnych upodobań. Marek stale marzył o niezwykłych przygodach. Czytywał książki podróżnicze, uwielbiał bohaterskich Indian, entuzjasmował się wyświetlanym w telewizji seryjnym filmem o perypetiach Zorro i z zapalem organizował zawiadackie zabawy. Andrzej natomiast pasjonował się techniką. Naśladując ojca stale coś majstrował bądź studiował odpowiednie podręczniki i jedynie podczas wakacji oddawał się pod komendę żadnego przygód przyjaciela.

Właśnie na początku wakacji Marek zorganizował "tajne stowarzyszenie", nazwane w regulaminie Klubem Poszukiwaczy Przygód. Oprócz Andrzeja zwerbował na członków Klubu jego młodsze cioteczne rodzeństwo: Maćka i Bożenę. Na inauguracyjnym zebraniu wszyscy przybrali odpowiednie pseudonimy, czyli nazwiska, pod którymi mieli występować, a następnie Murek zaproponował uczcić fakt powstania Klubu jakimś śmiałym czynem. Wtedy to właśnie dziewięcioletnia Bożena pierwsza pośpiesznie przypieczętowała decyzję:

"Wódz Cętkowana Twarz ma rację, musimy coś zrobić! Już wiem! Napadniemy na obóz harcerzy!" - zawołała z entuzjazmem.

Wódz Cętkowana Twarz, czyli piegowaty Marek, z uznaniem spojrział na dziewczynę i odparł:

"Wiercipięta podsunęła niezły pomysł. Poddaję go pod głosowanie!"

W ten sposób wyprawa na harcerzy została jednomyślnie uchwalona. Napad miał być dokonany nazajutrz na krótko przed świtem. Nie było to zbyt łatwe zadanie. Przede wszystkim

młodzi entuzjaści przygód nie mieli odwagi prosić rodziców o pozwolenie na tak wczesne wyjście z domu. Musieli więc wymknąć się niepostrzeżenie, a to znów powodowało konieczność samodzielnego przebudzenia się o odpowiedniej porze. Ku swemu wielkiemu zmartwieniu wszyscy członkowie Klubu, niemal natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki zapadali w mocny, zdrowy sen i niemało wysiłku trzeba było ze strony rodziców, aby nakłonić ich do wczesnego wstawania. Nic więc dziwnego, że w zaprojektowanej nocnej wyprawie wspaniały budzik Andrzeja odgrywał główną rolę.

Po dłuższej chwili Andrzej ostrożnie odwrócił się twarzą do pokoju. Spojrzał w okno. W czerń nocy wkradała się szarość przedświt. W domu w dalszym ciągu panowała niczym nie zmacona cisza. Chłopiec zsunął się z łóżka, ułożył kołdrę w ten sposób, aby sprawiała wrażenie, że okrywa śpiącego, po czym szybko nałożył ubranie i z butami w rękach wyszedł na mały taras. Do niskiej, kamiennej balustrady przymocowany był sznur, na którym w równych odstępach zawiązano grube węzły.

Andrzej opuścił sznur w dół poza balustradę. Niebawem chyłkiem przemycił się przez ogród ku sąsiedniej posesji. Przelezenie przez płot nie zajęło mu wiele czasu. Przystanął przed boczną ścianą domu. Jedno okno na wysokim parterze było trochę uchylone. W półmroku obmacywał ścianę, dopóki nie znalazł sznurka spuszczonego z okna. Lekko pociągnął za sznurek, którego drugi koniec miał być przywiązany do nogi Marka. Pociągnął nieco mocniej po raz drugi. Głuche trzeszczenie sprężyn w łóżku było jedyną odpowiedzią. Zniecierpliwiony energicznie oburącz szarpnął sznurkiem. Serce zabiło mocno w jego piersi, gdy usłyszał łomot ciała zwalającego się na podłogę i okrzyk przestraszenia. Zaraz jednak zapanowała cisza.

Sznurek wysunął się z ręki Andrzeja i wkrótce zniknął w oknie.

Minęło kilka denerwujących minut, zanim okno uchyliło się bezszelestnie. W ciemnym otworze ukazała się sylwetka rosnącego chłopca, który wszedł na parapet. Zwinnie zeskoczył na ziemię.

- Uf...! - szepnął Andrzej. - Niechący przestraszyłem cię! Spadłeś z łóżka! Nie chciałem pociągnąć tak mocno!

Marek wzruszył ramionami. Z politowaniem spojrzął na zafrasowanego przyjaciela. Przerastał go przecież co najmniej o głowę i, jak na swój wiek, był doskonale zbudowany.

- Przy mojej wadze prędzej byś zerwał sznurek niż ściągnął mnie z łóżka - wyjaśnił urażony. - Właśnie śniło mi się, że to już po wakacjach i że ma być klasówka z matmy. Gdy szarpnąłeś sznurkiem, zdawało mi się, że matka budzi mnie do szkoły...

Andrzej zachichotał. Marek nie poświęcał zbyt wiele czasu nauce. Często przepisywał od niego zadania, a szczególnie przed klasówką z matematyki zawsze odczuwał uzasadnioną

obawę.

- No, tylko bez głupich śmichów chichów! - burknął Marek. - Nie każdy ma profesora w rodzie! Poza tym nie czas na poufałości! Jesteśmy na stopie służbowej! Nie złożyłeś meldunku!

Andrzej zaraz spoważniał, przypominając sobie regulamin Klubu.

- Rozkaz ściśle wykonałem - pośpiesznie powiedział. - Wprawdzie zbudziło mnie dopiero krakanie wrony, ale mimo to ojciec nic nie usłyszał. Leżałem jakiś czas odwrócony twarzą do ściany. Wstałem dopiero wtedy, gdy upewniłem się, że wszystko w porządku. Sznur przymocowany do balustrady zastałem na miejscu. Nikogo nie spotkałem po drodze.

- No dobra! Jestem z ciebie zadowolony Mądra Głowo - pochwalił wódz Cętkowana Twarz. - Chodźmy teraz po Chytrego Węża i Wiercipiętę!

Pobiegli ku ulicy Fitelberga. Naraz zza krzewów wyłoniły się dwie postacie.

- Kto idzie?! - półgłosem zapytał Cętkowana Twarz.

- Chytry Wąż i Wiercipięta! - natychmiast padła odpowiedź.

- Ho, ho! Czy zbudziliście się sami? - zdumionym głosem zapytał wódz.

- Nie mogłam usnąć ze strachu, że zaśpimy! Czuwałam całą noc - zawołała Wiercipięta.

- Gdy mi się oczy kleiły, to szczypałam się w nogę.

- Powinnaś być mężczyzną, a nie babą - rzekł Marek.

- Czy wódz Cętkowana Twarz nie myśli, że z czasem to się da zrobić? - nieśmiało zapytała Wiercipięta. - Przecież ja też często noszę spodnie!

- Co baba, to baba, a mężczyzna to mężczyzna! Głupia sroka! Czego to się jej zachciewa?! - wtrącił Maciek zwany Chytrym Wężem.

- A czy chłopiec, który zmywa mamie naczynia po obiedzie, nie jest babą?! - oburzyła się Wiercipięta.

Prawa dłoń Chytrego Węża spadła z suchym traskiem na pośladek Wiercipięty. Oburzona, bez jednego słowa skoczyła bratu do oczu. Na szczęście wódz Cętkowana Twarz swoim potężnym cielskiem rozdzielił zwaśnionych.

- Zły duch was chyba opętał! - syknął. - Czy chcecie zaprzepaścić naszą pierwszą wyprawę?!

- To dlaczego ten chuligan, Chytry Wąż, wciąż mnie bije? - indyczyła się Wiercipięta. - Prawda w oczy kole! On codziennie zmywa garnki!

- A cóż to tobie przeszkadza, że Maciek pomaga mumie? - odezwał się Andrzej. - Wyśmiewasz go, zamiast mu pomóc!

- Czemu nie powiesz Chytremu Wężowi, żeby nie wymyślał mi od bab?! - zawołała Wiercipięta. - Baby zmywają naczynia!

- Uspokójcie się - poważnie rzekł Cętkowana Twarz. - Wiercipięta otrzymuje naganę za egoizm. To szlachetny uczynek pomagać matce. Ja... też zmywam naczynia po obiedzie!

- Aha, to właśnie dlatego z nim trzymasz! - odparowała dziewczynka.

- Milcz Wiercipięto, albo wykluczemy cię z Klubu - ostrzegł Cętkowana Twarz. - Za wyśmiewanie szlachetnych uczynków musisz ponieść karę. Od dzisiaj będziesz co drugi dzień zmywała naczynia. Chytry Wąż złoży meldunek, czy wykonujesz rozkaz!

- Mam was w nosie!

- Jeśli tak, to zmykaj do domu! - rozgniewał się Murek.

- Cóż to wódz Cętkowana Twarz stał się dzisiaj taki obraźliwy? - zaproponowała Wiercipięta. - Już świta! To najlepsza pora do napadu!

- Przrzekłaś przestrzegać regulaminu naszego Klubu, a on właśnie przewiduje spełnianie dobrych uczynków - odparł Cętkowana Twarz. - Będziesz zmywała co drugi dzień, lub ruszaj swoją drogą!

- Ha, skoro powołujesz się na regulamin, to muszę ustąpić - niemal słodkim głosem powiedziała dziewczynka. - Jednak nie lubię zmywania garów. Wolę wycierać... codziennie. Zgoda?

- Co na to Chytry Wąż? - zapytał Cętkowana Twarz.

- Dobra, niech wyciera, ale bez przypominania!

Wiercipięta zadowolona klasnęła w dłonie. Zdołała coś niecoś wytargować, aczkolwiek za nic w świecie nie mogłaby zrezygnować z uczestniczenia w napadzie na harcerzy.

Marek bez dalszej straty czasu poprowadził swój oddziałek w stronę Parku Kościuszki. Tam bowiem, w kotlinie między parkiem a Brynowem, znajdowało się obozowisko harcerzy, którzy, zapewne przed wyjazdem na letni obóz, przeprowadzali w terenie kilkudniową próbę sprawności z nowo przyjętymi do zastępu druhami. Im to właśnie członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód zamierzali splatać figla.

Grupka spiskowców ominęła półkolem rząd domów rzadko rozrzuconych wzdłuż ulicy Różyckiego i niebawem dotarła do południowego skraju przedłużenia Parku Kościuszki w kierunku Brynowa. Tutaj Marek, jako wytrawny strateg, zatrzymał się, by obmyślić dalszy plan działania. W różowych odbłaskach świtu leżała przed nimi wąska kotlina porośnięta krzewami i kępami drzew. Nie opodal, na stoku wzniesienia pnącego się ku północy, bielił się cmentarzyk żołnierzy radzieckich, poległych w 1945 roku podczas oswobodzenia Katowic; za nim, wśród szerokiego pasma zielonych koron topól, brzoź i sosen, widać było poczerniały, drewniany dach zabytkowego kościółka. W głębi kotliny sterczała wysoka tyka, z zawieszonym na niej harcerskim proporczykiem.

Marek jak urzeczony spoglądał w kierunku obozu i rozmyślał. Wiercipięta niespokojnie przestępowała z nogi na nogę, aż w końcu, zniecierpliwiona, zawołała:

- Cóż się z tobą dzieje?! A może strach cię obleciał?!

Marek drgnął. Odwrócił się do dziewczynki i burknął :

- Cicho, głuptasie! Wróg już blisko! Za mną!

Ruszył pierwszy szybkim krokiem wykorzystując krzewy jako osłonę. Wkrótce ujrzeli pięć namiotów ustawionych szeregiem przed wysoką tyką z lekko łopoczącym proporczykiem. Tuż obok "słupa" flagowego, przy wygasłym ognisku, siedział z podwiniętymi po turecku nogami młody harcerzyk. Oparłszy łokcie na udach spał w najlepsze z głową schowaną w dłoniach.

Widok ten niezmiernie ucieszył spiskowców. Podniecona Wiercipięta uszczypnęła brata w nogę. Cała grupka przyczała się za krzewem.

- Prędeej, co robimy...? - szepnęła Wiercipięta.

Marek przyłożył palec do ust nakazując milczenie. Po chwili odezwał się szeptem:

- Zabierzemy im proporczyk! Chytry Wąż ściągnie go ze słupa, zaś ja i Mądra Głowa przypilnujemy, aby śpioch nie narobił hałasu.

- A ja, a ja?! - niepokoila się Wiercipięta.

- Ty jesteś obserwatorem - odparł wódz Cętkowana Twarz. - Siedź tutaj i pilnuj namiotów. Gdyby coś zaczęło się dziać, ostrzeżesz nas ćwierkaniem świerszcza.

Wiercipięta kiwnęła głową i od razu przystąpiła do wykonywania ważnej funkcji, Marek tymczasem zwrócił się do Andrzeja:

- Podkradniemy się do wartownika. Gdyby zbudził się, nakryj mu łepetynę swetrem i trzymaj mocno, dopóki go nie obezwładnię!

- Bądź spokojny, nie piśnie ani słówka - odszepnął Mądra Głowa.

Trzech chłopców zaczęło skradać się ku śpiącemu wartownikowi.

Cenny łup

Chytry Wąż na czworakach czołgał się po ziemi. Drobne krzewy były dla niego doskonałą osłoną, toteż bez przeszkód znalazł się w kręgu namiotów. Tuż za nim czaili się Cętkowana Twarz i Mądra Głowa. Wartownik wciąż spał w najlepsze, kiwając się na wszystkie strony.

Chytry Wąż pełzł ostrożnie, nie odrywał wzroku od pleców wartownika. Porannej ciszy nie zakłócił najdrobniejszy szelest czy trzask nadepniętej gałązki; wartownik znajdował się już o wyciągnięcie ręki. Chytry Wąż obejrzał się na przyjaciół. Oczami dał im znak. Wyminęli go, by przykucnąć za wartownikiem. Mądra Głowa ze swetrem w dłoniach pochylił się nad uśpionym, podczas gdy Cętkowana Twarz jak sęp czatował gotów do skoku.

Chytry Wąż rozsuptał węzeł linki. Wolniutko zaczął ściągać proporczyk. W pewnej chwili źle naoliwiony blok zaskrzypiał złowieszczo. Chytry Wąż zamarł w bezruchu. Jego towarzysze jeszcze bardziej pochylili się nad nieszczęsnym wartownikiem, lecz ten ani drgnął. Zachrapał tylko głośniej. Na uspokajający znak wodza Chytry Wąż szybko ściągnął proporczyk. Jedno cięcie finką zakończyło sprawę;. Cenny łup zniknął pod kurtką Chytręgo Węża, który zaraz rozpoczął odwrót. Przyjaciele krok za krokiem cofali się za nim. Naraz Cętkowana Twarz przystanął przy ogołoconej tyczce. Wydobyl z kieszeni notesik i ołówek. Po krótkiej chwili zastanowienia, napisał:

“Jeśli ciekawi was los proporczyka, niech wasz dowódca stawi się o godzinie 9 przy cmentarzu radzieckich żołnierzy. Klub Poszukiwaczy Przygód”.

Wyrwał kartkę, przywiązał ją do końca linki i z Mądrą Głową podążyli za Chytrym Wężem.

- Ależ wspaniale się udało! - zawołała Wiercipięta z uciechy klaszcząc w dłonie, gdy grupka spiskowców znalazła się z dala od obozu.

- Będą mieli miłe przebudzenie, nie ma co gadać - dodał Chytry Wąż.

- Dobrze im tak! Kto śpi na warcie, zasługuje na surową karę - powiedział Mądra Głowa. - Nie chciałbym znaleźć się w skórze tego wartownika.

- Dostanie po nosie, na pewno dostanie - przywodził Cętkowana Twarz.

- Co zrobimy z proporczykiem? - zagadnęła Wiercipięta. - Trochę mi żal tego harcerzyka. Może za karę każą mu zmywać wszystkie miski po obiedzie?

- Marek, co napisałeś na kartce pozostawionej w obozie? - zapytał Chytry Wąż.

- Wyznaczyłem im spotkanie o dziewiątej rano przy cmentarzu - wyjaśnił Cętkowana

Twarz.

- Wspaniale! Wszyscy tam pójdziemy - zawołała Wiercipięta.

Wódz zmroził ją surowym spojrzeniem.

- Mylisz się - zaprzeczył. - Nie pójdziemy wszyscy!

- A to dlaczego! - zaperzyła się dziewczynka. - Pewno znów zamierzacie mnie wykiwać! Ja także chcę zobaczyć, jakie będą mieli miny!

- Jestem wodzem, a podczas wojny wodzowie decydują o wszystkim. Zrozumiałaś?

- No tak, tak, ale ty sam kazałeś wybrać siebie!

- Nie kłóć się - skarcił ją Chytry Wąż. - Marek wymyślił Klub Poszukiwaczy Przygód i słusznie jemu pierwszemu należała się ta funkcja.

- A dlaczego nie możemy pójść wszyscy?

- Po pierwsze, pertraktacje prowadzą posłowie a nie cała armia, a po drugie... nie chcę dopuścić do bójki - odparł Cętkowana Twarz.

- Coś kręcisz, wodzu, nic z tego nie mogę zrozumieć - powiedziała Wiercipięta. - Przecież nie boimy się tych harcerzy!

- Kiepski byłby z ciebie dowódca - wyniośle rzekł Cętkowana Twarz. - Jeśli harcerze zobaczą, że jest nas tylko trzech, to mogą spróbować siłą odebrać proporczyk, lub wziąć nas do niewoli.

- A czy jednego posłańca nie zatrzymają jako zakładnika? - zafrasowała się Wiercipięta.

- Masz rację, mogliby to zrobić, gdyby to był chłopiec - przywodził Cętkowana Twarz uśmiechając się zagadkowo. - Ty będziesz naszym posłańcem.

- Czemuś od razu tego nie powiedział! Wspaniały jesteś, Mareczku! Już ja ich wyprowadzę w pole!

- O tym potem pogadamy. Muszę wpierw obmyślić całą sprawę. Przyjdźcie do mnie o ósmej. Teraz biegiem do chaty, zanim staruszkowie spostrzegą naszą nieobecność.

- Mogli już zauważyć, że nas nie ma w domu - dodał Chytry Wąż.

- W takim razie powiemy, że byliśmy całą paką sprawdzić, czy w lasku już są jagody. A więc u mnie o ósmej.

- Czau! - zawołała Wiercipięta i pierwsza pobiegła ku domowi.

Andrzej zadyszany przystanął przed tarasem. Sznur zwiślał tak jak go pozostawił, więc szybko wspiął się po nim. Odetchnął z ulgą nie spostrzegając w swoim pokoju śladów bytności ojca. A więc udało się! Porządnie zasał łóżko i umył się. Było wpół do ósmej. O tej porze żona dozorca podawała śniadanie. Andrzej zszedł do jadalni. Ku swemu zdumieniu zastał tam ojca. Jego zaczerwienione oczy pozwalały się domyślać, że wcale nie spał tej nocy. Andrzej z

niepokojem spoglądał na niego. W czasie intensywnej pracy profesor zwykł jadać u siebie w pracowni. Dlaczego dzisiaj właśnie zjawił się w jadalni? Czyżby odkrył jego nieobecność w domu? Powitał ojca pocałunkiem w policzek i usiadł przy stole.

- Znów nie spałeś, tatusiu - powiedział niepewnie.

- A tak, muszę jeszcze opracować pewne zagadnienie przed wyjazdem - odpowiedział profesor. - Ale nie martw się, w Londynie będę miał wiele czasu na wypoczynek.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro wieczorem. Właśnie rozmyślałam, czy nie lepiej byłoby, żebyś na tych kilkanaście dni przeniósł się do ciotki. Będziesz się czuł osamotniony w pustym domu.

- Przecież obiecałeś, że Marek może spać ze mną podczas twojej nieobecności - nieśmiało zaproponował Andrzej.

- Młody jeszcze jesteś, synu. Czasem mam wyrzuty sumienia, że tak mało czasu mogę ci poświęcać.

- Co też mówisz, tatusiu! Jesteś wspaniałym ojcem, wszyscy koledzy mi zazdroszczą! Profesor uśmiechnął się do jedynaka. Westchnął ciężko i rzekł:

- To ty jesteś wspaniałym synem. Żyjemy jak na bezludnej wyspie od kiedy pozostaliśmy sami w tym dużym domu.

Andrzej posmutniał. Przypomniawszy sobie matkę. Inaczej byłoby w domu, gdyby ona żyła. Nie chcąc jednak dopuścić ojca do przykrych wspomnień, zagadnął:

- Obiecałeś, że w sierpniu razem wyjedziemy na wakacje do Ustronia.

- Uczynimy to po moim powrocie z Londynu. Prosiłem ciotkę, żeby pozwoliła nam zabrać Maćka i Bożenę.

- Marek też jedzie do Ustronia!⁶

- W takim razie będziesz tam miał wszystkich przyjaciół.

- Wesoło spędzisz z nami urlop, zobaczysz! - zapewnił Andrzej.

- Przyda mi się, ostatnio jestem trochę przemęczony. Teraz jedynie obawiam się, żebyś nie zrobił głupstwa podczas mojej nieobecności. Czy przypadkiem nie masz jakichś kłopotów?

Andrzej poczuł się nieswojo. Dlaczego ojciec nagle zmienił temat rozmowy? Jakie kłopoty mógł mieć na myśli? Czyżby mimo wszystko wiedział o jego nocnym wyjściu z domu? Andrzej brzydził się kłamstwem. Nigdy nie mógłby oszukać ojca. Gdyby go teraz spytał wprost, czy wychodził z domu, powiedziałby prawdę bez chwili wahania, mimo że Marek

⁶ Opisane w mniejszym opowiadaniu porwanie harcerzom proroczyka w rzeczywistości miało miejsce w Ustroniu koło Wisły. Imiona młodych bohaterów przygody autentyczne.

zobowiązał wszystkich członków Klubu do utrzymania wyprawy w tajemnicy, Ojciec wszakże nie zadał takiego pytania, toteż po krótkiej chwili wahania odparł:

- Nie, nie mam kłopotów. Dlaczego o tym mówisz?

- Kiedyś również byłem w twoim wieku i także miewałem wówczas różne pomysły i... kłopoty. W takim przypadku rada ojca może się bardzo przydać.

- Nie, tatusiu, naprawdę nie mam żadnych kłopotów... Postanowiliśmy trochę pobawić się podczas wakacji. Nasza mała paczka założyła Klub Poszukiwaczy Przygód.

- Ach, tak! - z ulgą powiedział ojciec; nagle roześmiał się i zapytał: - A któż jest wodzem?

- Marek, ale zachowaj to wszystko w ścisłej tajemnicy. Nic mów nikomu.

- Przyrzekam, bądź spokojny!

Andrzej od razu odzyskał dobry humor. Jeśli ojciec wiedział o jego wyjściu z domu, to teraz wszystko zrozumiał, gdyż już więcej nie mówił o kłopotach.

- A więc dobrze, niech Marek nocuje z tobą podczas mojej nieobecności - zakończył profesor rozmowę. - Dom jest zabezpieczony przed wszelkimi niespodziankami. O kilka kroków w ogrodzie mieszka nasza gosposia, która będzie opiekowała się wami. No, a poza tym w każdej okoliczności możesz całkowicie polegać na Robie...

Mówiąc to porozumiewawczo mrugnął okiem. Rob był jego wielką tajemnicą. Nikt poza synem nie wiedział o niej.

- Nie kłopotz się tatusiu, w poważnych sprawach możesz na mnie polegać - zapewnił Andrzej. - Czy wiesz, jak chłopcy nazywają nasz dom?

- To nawet ma specjalną nazwę? - zdziwił się profesor.

- A tak! Nazywają go Domem Czarnoksiężnika. Mówią, że u nas dzieją się niezwykle rzeczy.

Profesor śmiał się rozweselony.

- Ciebie to śmieszy, ale drzwi, które same się otwierają, głowa robota rozmawiająca z gośćmi, samoczynnie zapalające się światła i nawet mój wspaniały budzik mogą wyglądać na czary! Ba, gdyby jeszcze wiedzieli o Robie!

- Mój drogi, zapewniani cię, że w niezadługim czasie elektronika i cybernetyka nie będą krainą czarów nawet dla dzieci - rzekł profesor. - Sam wiesz na czym polega wiele z tych domniemyanych niezwykłości.

Na tym rozmowa się urwała. Profesor wrócił do pracowni, a Andrzej pomknął na umówione spotkanie. Członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód już oczekiwali na niego.

- Spóźniłeś się, czy wszystko w porządku? - niepokoił się Marek.

- Tak, tak - potwierdził Andrzej. - Ojciec pozwolił, żebyś nocował u nas podczas jego nieobecności. Będziemy pilnowali domu.

- A my, a my?! - zawołała Wiercipięta.

- Zawsze musisz się wtrącać, zanim starsi powezmą decyzję - skarcił ją Marek. - Klub nasz bierze pod swą opiekę Dom Czarnoksiężnika. Będziemy strzegli Jego tajemnic.

- Wspaniale, wspaniale! To już druga nasza poważna akcja - cieszyła się Wiercipięta.

- Dobra, ale najpierw rozprawmy się z harcerzami - zauważył Maciek.

- W drogę, w drogę, zaraz dziewięta - zakomenderował Cętkowana Twarz.

Kolejno wyskoczyli oknem. Pobiegli nocnym szlakiem.

Podczas oczekiwania na przybycie Andrzeja, Marek udzielił wyczerpujących wskazówek Wiercipięcie, w jaki sposób ma odegrać rolę wysłańca Klubu Poszukiwaczy Przygód. Toteż obecnie chłopcy przycupnęli w krzewach wokół kępy trzech brzoź, Wiercipięta zaś sama szybko podążyła dalej ku cmentarzowi.

W miarę przybliżania się do wyznaczonego miejsca spotkania zwolniła kroku. Zaczęła zrywać polne kwiatki. Wkrótce spostrzegła młodzieńca w harcerskim mundurze. Stał oparty plecami o żelazne ogrodzenie cmentarzyska. Zasepionym wzrokiem spoglądał na widoczny stąd obóz harcerski. Nie zwrócił uwagi na dziewczynkę zbierającą kwiatki. Wiercipięta swobodnie krążyła wokół niego. W pewnej chwili nieznacznie wydobyla spod swetra kopertę i podrzuciła ją na kamienne; podmurowanie ogrodzenia.

- Proszę pana, czy nie zgubił pan listu? O, tam leży! - zawołała pochylając się nad kwiatkiem.

Drużynowy Zawada spojrzał w miejsce wskazane przez dziewczynkę, a potem uważnie przyjrzał się jej samej. Od razu domyślił się, że to ona właśnie podrzuciła list. Udając powagę, schylił się po kopertę. Wydobyl z niej kartkę pokrytą kaligraficznym pismem i przeczytał.

“Klub Poszukiwaczy Przygód w dniu 6 lipca 1962 roku przeprowadził akcję - Szara Lilijka. Zdobyliśmy proporczyk harcerzy obozujących pod Brynowem. Oczekujemy pod trzema brzożami na dowódcę drużyny w celu omówieniu okupu.

Kreślimy się hasłem:

NIE SPIJ NA WARCIE

Klub Poszukiwaczy Przygód

Zawada z trudem tłumił ogarniającą go wesołość.

- Koleżanko, czy przypadkiem nie mieszkasz w pobliżu? - zawołał do dziewczynki wciąż zajętej zrywaniem kwiatów.

Wiercipięta z miną niewiniątka spojrzała na barczystego drużynowego i odparła:

- Nie wiem, proszę pana, czy przypadkiem, ale właśnie mieszkam w Brynowie.
- To zapewne dobrze znasz okolicę? Ciekaw jestem, czy gdzieś tutaj rosną trzy brzozy?
- Oh, znam to miejsce! To niedaleko stąd.
- To może będziesz uprzejma mnie tam zaprowadzić?
- Proszę za mną! - zawołała Wiercipięta i pobiegła przodem, nucąc cicho naprędce

skomponowaną piosenkę:

*Jak to na wojence ładnie
Gdy proporczyk wróg ukradnie
Harcerze go oplakują
Zręcznych śmiazków poszukują...*

Zawada pilnie nadstawiał ucha i nieznacznie się uśmiechał. Wkrótce ujrzał kępę trzech brzóz. Tuż przy niej siedziało na ziemi trzech chłopców z nogami podwiniętymi po turecku. Nie tracąc humoru zatrzymał się przed nimi. Nie zamierzał przecież psuć im zabawy. Lubił takich zuchów, którzy płatali nieszkodliwe dla nikogo figle.

Spiskowcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Cętkowana Twarz chrząknął i rzekł poważnie:

- Klub Poszukiwaczy Przygód wita kolegę drużynowego! Jesteśmy gotowi przeprowadzić pertraktacje w sprawie zdobytego przez nas proporczyka.

Zawada ciekawie obserwował trzech chłopców i dziewczynkę. Udawali obojętność, lecz w oczach ich czaiła się radość i niepokój. Przecież dotąd nie mogli odgadnąć, jak drużynowy przyjął dotkliwą nauczkę daną jego harcerzom. Zawada z trudem powstrzymywał wesoły uśmiech. Również siadł na ziemi po turecku naprzeciwko spiskowców, po czym odezwał się:

- Witam starszyznę Klubu Poszukiwaczy Przygód! Winszuję tak dobrze zasłużonego zwycięstwa!

Wojna czy pokój

Wódz Cętkowana Twarz zakasłał dyplomatycznie, bowiem Zawada wziął jego cały oddział tylko za starszyznę Klubu Poszukiwaczy Przygód. Nadrabiając miną, powiedział:

- Każdy z nas kolejno będzie wodzem, na razie ja pierwszy pełnię tę funkcję. Nowych członków przyjmujemy dopiero po poddaniu ich odpowiednim próbom. Jakość jest dla nas ważniejsza od ilości!

- Bardzo słuszna zasada - poważnie odparł drużynowy. - Może nawet poproszę was o przyjęcie mnie do tak sprawnie działającego Klubu, najpierw jednak muszę zrewanżować się wam za sromotną klęskę moich chłopców. Dopiero wtedy będę mógł rozmawiać z wami, jak równy z równym. Jakiego okupu żądacie za proporczyk?

- Łup cenny, to i okup musi być odpowiedni - wtrącił Chytry Wąż.

- Oczywiście, mówcie śmiało - zachęcał Zawada.

- Prosimy o podpisanie przez kolegę drużynowego oświadczenia, że zwyciężyliśmy jego drużynę - odezwał się Andrzej.

- Przecież to będzie tylko potwierdzenie faktu, no, ale skoro tak przywoicie stawiacie sprawę, ofiaruję wam na pamiątkę naszej znajomości jakąś ciekawą książkę. Zgoda?

“Zgoda!” jak jeden mąż krzyknęli spiskowcy. Drużynowy Zawada ogromnie im zaimponował. Zamiast pretensji powinszował zwycięstwa i nawet wyraził chęć wstąpienia do Klubu. Na pewno byłby wspaniałym kolegą! Takiemu bez wahania powierzyłoby dowództwo.

Zawada tymczasem wydobyl z kieszeni bluzy notes i pióro. Napisał oświadczenie i podał je Markowi. Wódz na głos odczytał treść pisma, po czym rozkazał:

- Wiercipięto, przynieść proporczyk!

Dziewczynka niczym wiewiórka wspięła się na jedną z brzoź. Po chwili zeskoczyła na ziemię. Wręczając proporczyk Zawadzie, zapytała:

- Czy teraz zawrzemy pokój?

- Jeszcze nie, na razie to tylko rozejm - odparł Zawada. - Muszę dać moim chłopcom szansę do rewanzu. Możemy jednak zawrzeć znajomość: jestem Stanisław Zawada.

Kolejno podawali mu dłoń. Andrzej podszedł ostatni; wymienił swe nazwisko, Zawada przytrzymał jego rękę i zapytał:

- Andrzej Rawa? Zaraz, zaraz! Czy to może ty jesteś konstruktorem tego zółwia elektronicznego w Pałacu Młodzieży?

- Tak, to mój model - potwierdził Andrzej.

- Więc jesteś synem znanego wynalazcy, profesora Rawy!

- Tak, to mój ojciec.

- Co za miła niespodzianka! Twój adres podano mi w Pałacu. Zamierzałem złożyć ci wizytę. No, no, nigdy bym nie przypuszczał, że do Klubu Poszukiwaczy Przygód należą tak sławne osobistości!

- Żartuje pan ze mnie - rumieniąc się odparł Andrzej.

- Nie, nie żartuję! W Pałacu wiele nasłuchałem się o tobie. Widzisz, moi chłopcy zamierzają zbudować elektronicznego zółwia. Niewiele znam się na tym, więc prosiłem w Pałacu o polecenie mi instruktora z dziedziny elektroniki, który mógłby urządzić kilka wykładów dla mojej drużyny. Otrzymałem właśnie twoje nazwisko.

- Jeżeli panu na tym zależy, to pomogę im - powiedział Andrzej, rumieniąc się jeszcze bardziej.

- Będę ci bardzo wdzięczny. Do pracy przystąpimy po wakacjach. Teraz tylko powiedz mi, jakie części, czy przyrządy składają się na konstrukcję takiego zółwia elektronicznego. Chłopcy muszą mieć nieco czasu na zgromadzenie odpowiedniego sprzętu i materiału.

- Przede wszystkim potrzebne będą dwa silniki elektryczne: napędowy i sterujący, komórka fotoelektryczna, wąż-czujnik posiadający styki obwodu elektrycznego przy zderzeniu z przeszkodą, przekaźniki i żarówka wskaźnikowa. Poza tym materiał na zbudowanie podwozia, kółka i najlepiej masa plastyczna na wierzchnią obudowę. O reszcie sprzętu pomyślimy przed samym rozpoczęciem pracy. Niektóre części znajdę u siebie.

Zawada wszystko zapisał w notesie, a potem rzekł:

- Widzę, że w Pałacu nic nie przesadzili, tak bardzo chwaląc twoją wiedzę techniczną. Musimy się zaprzyjaźnić. Złożę ci oficjalną wizytę zaraz po wakacjach. Teraz zapraszam was w odwiedziny do naszego obozu. Chcę wam wręczyć przyobiecana książkę. Czekam pojutrze, dobrze?

- Przyjdziemy w komplecie - zapewnił Marek.

- Może kolega na nas liczyć - dodała Wiercipięta.

- A więc do miłego zobaczenia!

- Kiedy mamy spodziewać się zapowiedzianego rewanżu? - zapytał Chytry Wąż.

- To już moja słodka tajemnica - śmiejąc się odparł Zawada.

- Pamiętajcie o haśle: nie spać na warcie! Czuwaj!

- Czuwaaaaajjj...! - chórem zakrzyknęli; potem spoglądali za nim rozognionym wzrokiem, dopóki nie zniknął w dali.

- Morowy kumpel! - odezwał się Marek. - Z takim można by wszystko zrobić. Prawie

dorośli, a nic nosa nie zadziera.

- Powinniście brać z niego przykład - żarliwie powiedziała Wiercipięta. - Wy stale tylko siebie wypychacie na pierwszy plan. Druh Zawada jest dobrze wychowanym mężczyzną! Gdybym była chłopcem, zaraz bym wstąpiła do jego drużyny.

- Iiii, nie przesadzaj - zauważył Chytry Wąż.- Zawada jest świetnym kompanem, ale jego harcerze śpiochy i mazgaje! Wystawiliśmy ich dzisiaj do wiatru.

- Żeby wiedziała, że on jest tam drużynowym, to wcale nie brałabym udziału w napadzie. Teraz pewno wstydzi się za tych swoich chłopców.

- Głupstwa pleciesz, on nie taki! - zaprzeczył Andrzej. - Jestem przekonany, że potraktował nasz napad jako dobrą naukę dla swoich harcerzy! Pochwaliłby ich tak samo jak nas, gdyby to oni splatali nam takiego figla!

- Święta racja - przywodził Marek. - Zawada ma podejście...

- I podejdzie nas na pewno, jeżeli nie będziemy się pilnowali - wtrąciła się Wiercipięta.
- Przecież przyrzekł zemstę!

- Nie przerywaj mi! - oburzył się Marek. - Nie to miałem na myśli! Ja mówiłem, że on ma właściwe podejście do ludzi.

- A czy my nie jesteśmy ludźmi?! - przekomarzała się Wiercipięta. - Przecież to na nas zamierza urządzić podchody!

- Nie zrozumiałaś mnie! Chciałem powiedzieć...

- Nic mnie nie obchodzi, co chciałeś powiedzieć! Dobrze zrozumiałam, co powiedziałeś. Lepiej znam polski od ciebie! Mam czwórkę, możesz sprawdzić w świadectwie - upierała się dziewczynka, nie dopuszczając Marka do głosu.

Naraz Maciek nieznacznie podszedł do niej z tyłu i zakneblował jej usta chusteczką. Zaczęli się szamotać.

- Dość bijatyki! Na mnie czas do domu - wtrącił Andrzej. - Ojciec może potrzebować mojej pomocy przy pakowaniu swoich rzeczy na wyjazd.

- Dobra, dobra, powiedz panu profesorowi, że może być spokojny o chatę - zawołał Marek, śpiesząc z pomocą Chytremu Wężowi, który rozindyczonej Wiercipięcie usiłował głębiej wcisnąć chustkę w usta.

Andrzej stał niezdecydowany. Nierówna walka zdawała się szybko dobiegać końca. Wiercipięta coraz słabszy stawiała opór.

- Jak wam nie wstyd! We dwóch i to na dziewczynkę - krzyknął oburzony.

- Dziewczynkę?! Szkoda, że ona nie jest twoją rodzoną siostrą... - wysapał Maciek.

- Na pewno bym jej nie bił! Puśćcie ją zaraz! - zawołał ruszając ku walczącym.

W tej właśnie chwili Maciek nieopatrznie wepchnął Bożenie palec w usta. Natychmiast zacisnęła na nim ostre zęby. Maciek wrzasnął z bólu. Z trudem wyrwawszy obolały palec, odskoczył od siostry. Ta zaś, wykorzystując sytuację, chwyciła Marka za włosy. Marek zasapał jak miech kowalski i Wiercipięta nareszcie pozbyła się knebla. Zaledwie odzyskała możliwość mówienia, rozgniewana natychmiast krzyknęła jeszcze stłumionym głosem:

- Zakichani bohaterzy! We dwóch na jednego, a jak oberwą to kwiczą niczym zarzynane prosiaki!

- Teraz sam zobacz, kogo pożałowałeś - mruknął Maciek, obwiązując obolały palec chustką rzuconą na ziemię przez siostrę. - Milutka dziewczynka, nie ma co gadać!

- Dziewczynka, dziewczynka! Macie dziewczynkę! - przedrzeźniała go Wiercipięta i docięła Andrzejowi:

- A ty, szlachetny Zorro, lepiej mniej gadaj, a więcej czyń!

Marek i Maciek parsknęli śmiechem, widząc niewyraźną minę przyjaciela. Wiercipięta zaś szybko zapomniała o urazie, gdyż bardzo lubiła Andrzeja. Ręką przesłała mu całusa i zaczęła uciekać.

- Spróbujcie mnie złapać, ślamazary! - krzyknęła na pożegnanie.

Andrzej nie pobiegł za przyjaciółmi. Idąc do domu rozmyślał o przekorności Bożeny. Tak bardzo chciałby mieć siostrę. Nie czułby się wtedy samotny. Nie pozwoliłby nikomu jej skrzywdzić, opiekowałby się nią troskliwie. Wszedł cicho do domu tylnym wejściem.

Z kuchni rozchodziły się ponętne zapachy. Po chwili wahania uchylił drzwi. Żona dozorczy, pani Mruczkowa, krzątała się między stołem i piecem. Przygotowywała obiad. Andrzej z łatwością domyślił się, że była z czegoś niezadowolona, bowiem zbyt energicznie stawiała naczynia. Ujrawszy chłopca, zagadnęła:

- Obiad dopiero za jakąś godzinkę. Może zjadłbyś drugie śniadanie, pewno jesteś głodny?

- Dziękuję, poczekam na obiad - odparł chłopiec. - Czy ojciec rozmawiał już z panią o swoim wyjeździe? Nie będzie go około dwóch tygodni.

- A jakże, wiem o wszystkim!

- I o tym, że Marek ma nocować ze mną? - upewniał się Andrzej.

- I o tym piegowatym mądrali też wiem! - potwierdziła pani Mruczkowa trzaskając patelnią o blachę pieca.

- Czy pani nie lubi Marka? - zapytał Andrzej zaintrygowany nagłym gniewem gospośi.

Pani Mruczkowa rozchmurzyła twarz, niemal łagodnie odpowiedziała:

- Dlaczego nie miałabym lubić tego urwisa? Dobre chłopaczysko! Doradziłam panu

profesorowi, żeby Marek był tu z tobą przez cały czas, a nie tylko na noc. Rażniej ci będzie z nim w tym domu pełnym straszycdeł! Pan profesor już telefonował do jego matki. Oj, babskiej ręki tu trzeba!

Andrzej uśmiechnął się, ustalwszy powód niezadowolenia pani Mruczkowej. Pocziwa gospodyni często wspominała, że gdyby jego ojciec ponownie się ożenił, na pewno poświęcałby mniej czasu na konstruowanie urządzeń, sprawiających na ludziach niesamowite wrażenie. Obawy i uprzedzenia pani Mruczkowej obecnie wydawały się Andrzejowi śmieszne, lecz zanim sam zaczął interesować się elektroniką, również odczuwał jakiś zabobonny lęk przed wejściem do pracowni ojca. Teraz całkowicie zdawał sobie sprawę, że jego niezwykle doświadczenia i badania torują drogę ku czasom, w których “myślące” maszyny-automaty będą w wielu dziedzinach pracowały za człowieka. Oczywiście nie można było wymagać od gosposi, aby wybiegała myślą w przyszły świat robotów. Nie miała przecież najmniejszego pojęcia o elektronice. Komórka fotoelektryczna samoczynnie otwierająca drzwi była dla pani Mruczkowej niczym innym, jak nieczystą siłą, na widok działania której zimny pot występował na jej czoło. Andrzej poznał już część tajemnic ojca i nie obawiał się samotności. Przywykł do niej, lecz mimo to wdzięczny był gosposi, że troszczyła się o niego.

- Dziękuję pani, naprawdę cieszę się, że pani o mnie zawsze myśli - powiedział.

- Nie ma za co, to święty obowiązek każdego człowieka myśleć o dziecku - odparła pani Mruczkowa. Potem klasnęła w dłonie i zawołała: - O mały włos bym zapomniała! Ojciec prosił, żebyś przyszedł do pracowni!

Andrzej podniecony wiadomością wybiegł z kuchni. Długi korytarz dzielił parter domu na dwie nierówne części. Mniejsza z nich mieściła pokój stołowy i kuchnię, większa stanowiła pracownię profesora. Wstęp do niej, oprócz Andrzeja, mieli jedynie uprzywilejowani goście. Andrzej przystanął przed gładkimi drzwiami. Pochylił się do tuby w futrynie.

- Jestem, tatusiu! - rzekł półgłosem.

- Wejdz, czekam na ciebie - prawie natychmiast padła odpowiedź.

Drzwi same otworzyły się bezszelestnie. Andrzej wszedł do hallu. Duże, dwuskrzydłowe drzwi bez klamki wiodące do pracowni cicho otwarły się przed nim. Ujrzał ojca siedzącego przy długim stole.

- Chodź, chodź mój drogi, chciałem z tobą porozmawiać - powiedział profesor, nie odrywając wzroku od aparatu, na którym przebiegały świetliste linie. Andrzej nic nie mówiąc przystanął przy ojcu. Ciekawie zerkał w kierunku czteroskrzydłowego parawanu osłaniającego jeden róg pracowni. Ojciec tymczasem notował coś na kartce, uważnie obserwując ekran. Widocznie był zadowolony z wyników pracy, gdyż wyłączając aparat odwrócił się do syna i

niemal wesoło rzekł do niego:

- No, wszystko się zgadza, jestem gotów do wyjazdu! Teraz mamy trochę czasu dla siebie.

- To świetnie, kochany tatusiu! - ucieszył się Andrzej. - Mam właśnie pewną pilną sprawę, którą chciałbym z tobą omówić.

- Tak?! Przecież podczas śniadania nie miałeś mi nic specjalnego do powiedzenia - odparł profesor niespokojnie spoglądając na syna.

- Sytuacja zmieniła się po śniadaniu. Zawarłem ciekawą znajomość - wyjaśnił chłopiec.

- Kogo to poznałeś?

- Pewnego drużynowego, którego harcerze zamierzają zbudować cybernetycznego żółwia. Poprosił mnie o wygłoszenie kilku wykładów.

- To rzeczywiście ciekawa znajomość - odpowiedział ojciec i wyraz ulgi uwidocznił się na jego twarzy. - Czy w związku z tymi wykładami chciałeś ze mną pomówić?

- Tak, tatusiu! Temu drużynowemu polecono mnie, jako instruktora, w Pałacu Młodzieży. Chciałbym opracować sobie program wykładów, a tymczasem niezbyt dobrze pamiętam, jakie rozróżniamy rodzaje maszyn cybernetycznych.

- Początkującym możesz wyjaśnić to jedynie w ogólnych zarysach - uspokoił go ojciec.

- Zaraz ci przypomnę, co możesz im powiedzieć na ten temat. A więc cybernetyczne maszyny samosterowne do przetwarzania informacji możemy rozróżniać pod względem zasady działania i pod względem ich zastosowania.

- Chwileczkę, tatusiu! - wtrącił Andrzej. - Proszę o papier i ołówek, chciałbym to zanotować!

Ojciec podał mu notes i podsunął przybory do pisania. Andrzej usiadł przy stole i skrzętnie pisał, a profesor po chwili mówił dalej:

- Pod względem zasady działania rozróżniamy maszyny ekstremalizujące, optymalizujące, samoprogramujące, samoorganizujące i samouczące. Czy rozumiesz wszystkie te określenia?

- Nie potrafiłbym wyjaśnić pierwszych dwóch - szczerze wyznał Andrzej.

- Maszyny ekstremalizujące są układami samonastrajającymi się, czyli dostosowującymi układ sterujący do zmieniających się własności obiektu regulacji. Jako praktycznie tłumaczący przykład możesz podać maszynę sterującą statkiem tak, żeby płynął on wzdłuż linii najgłębszego dna rzeki lub automatycznego pilota sterującego samolotem, aby stale utrzymywał wyznaczony kurs.

- Masz rację tatusiu! Przykłady najlepiej tłumaczą trudno zrozumiałe określenie -

przyznał Andrzej. - A co znaczy optymalizujące?

- Maszyny optymalizujące porównują rozmaite możliwe warianty i wybierają najdogodniejszy z nich w danych warunkach. Stosowane są przy regulacji procesów technologicznych, a więc na przykład utrzymują w danym układzie regulacji najdogodniejsze warunki spalania, temperatury, bądź odpowiedniego poziomu lub też maszyny wyznaczające najmniejszy koszt wyrobu na podstawie analizy rozmaitych warunków produkcji.

- Doskonale, teraz już sobie jakoś z tym poradzę - powiedział Andrzej.

- To trzeba tylko zrozumieć, mój drogi - potwierdził ojciec uśmiechając się do syna. - A teraz słuchaj dalej. Maszyny samoprogramujące zmieniają program swojego działania zależnie od okoliczności, na przykład maszyna dostosowująca temperaturę obróbki cieplnej odpowiednio do zmian jakości wyrobu. Maszyny samoorganizujące zmieniają swoją strukturę choćby przez włączanie lub wyłączanie pewnych elementów. Samouczące zaś ulepszają swoje działanie na podstawie wyników poprzedniego działania. Przykładem może być maszyna znajdująca najkrótszą drogę najpierw przez porównanie wszystkich możliwych dróg, a następnie zapamiętująca oraz wykorzystująca wyłącznie tę najkrótszą.

- Mogę im powiedzieć o myszy skonstruowanej przez Shannona, która zapamiętuje najkrótszą drogę w labiryncie - wtrącił Andrzej.

- Bardzo dobry przykład - potwierdził profesor i dodał: - Pod względem zastosowania rozróżniamy cybernetyczne maszyny: transponujące, czytające, notujące, komponujące, muzyczne, malujące, rozgrywające i modele cybernetyczne. Chyba już wiesz, na czym polega ich działanie? Przecież ta dziedzina cybernetyki najwięcej cię pasjonuje!

- Oczywiście tatusiu! Transponujące dokonują tłumaczeń z jednego języka na inny. Czytające przetwarzają pismo w dźwięki mowy. Notujące przetwarzają dźwięki mowy w pismo. Komponujące redagują teksty, układają wiersze i tym podobne na podstawie wskazówek dostarczanych maszynie. Muzyczne komponują różne utwory. Malujące tworzą obrazy, a rozgrywające mogą występować jako partner w grze w szachy. Modele cybernetyczne natomiast służą do odtwarzania procesów fizjologicznych. Przykładem zółw Greya Waltera.

- Bardzo dobrze! - pochwalił ojciec. - To już twoja specjalność. Tutaj recytujesz jak z nut i czujesz ile pewnie.

- Przy tobie, tatusiu, jestem zaledwie początkującym uczniem - szepnął Andrzej dumny z pochwały i zaraz znów zerknął w kierunku parawanu w rogu pracowni.

Profesor przez cały czas bacznie przyglądał się synowi, toteż zauważył jego spojrzenie i rzekł;

- Właśnie chcę porozmawiać z tobą o Robie. On przecież, jak zwykle, najwięcej cię tutaj interesuje.

Andrzej roześmiał się, ojciec na pewno spostrzegł, w jakim kierunku spoglądał.

- Słuchaj uważnie, synu - zaczął profesor. - Właśnie pracuję nad pewnym wynalazkiem. Dzięki niemu w niedalekiej przyszłości może zniknąć z powierzchni kuli ziemskiej sieć drutów przewodzących prąd elektryczny. Wszelkie pojazdy będą zasilane w energię z małych akumulatorów. Silniki spalinowe również będą mogły być zastąpione silnikami elektrycznymi.

- Ależ ojczu, czy to naprawdę możliwe? - zdumiał się Andrzej.

- Całkowicie realne. Akumulator mój będzie wielkości ołówka!

Andrzej oszołomiony spoglądał niedowierzająco na ojca.

- Tak, mój drogi, zanoszą się na prawdziwą rewolucję w dziedzinie komunikacji. Teraz zapewne rozumiesz, dlaczego tak pilnie strzegę mojej pracowni.

- Chyba nie obawiasz się, że ktoś obcy mógłby tutaj wtargnąć?! - beztrąsco wtrącił Andrzej.

- Nawet gdyby tak się stało, nikt tu nic nie znajdzie - spokojnie odparł profesor. - Robowi powierzyłem pieczę nad moją tajemnicą. Dlatego właśnie rozmawiam z tobą o tym. Uzbroiłem Roba!

- Więc teraz nie wolno mi zbliżyć się do niego? Czy on może zabić? - dopytywał się Andrzej nieco zatrwożony.

Profesor podał synowi prostokątne pudełko wielkości turystycznego Kolibra, z obramowaniem metalowym na pokrywce.

- Nie obawiaj się, Rob nie uczyni krzywdy uczciwemu człowiekowi - wyjaśnił. - Ostatnio rozszerzyłem znacznie program jego czynności. Nauczyłem go samoczynnego reagowania w pewnych sytuacjach. Tylko dlatego wspomniałem ci o moim wynalazku i odpowiednim przeszkoleniu strażnika mojej tajemnicy.

Andrzej zarumieniony z podniecenia wziął z rąk ojca nadajnik radiowy.

- Czy mogę spróbować? - zapytał.

- Oczywiście, działa jak przedtem.

Andrzej otworzył pudełko. Na jego dnie ukazała się barwna figura wieloboczna z dziewięcioma kółkami otaczającymi pojedyncze, foremne dziurki. Pod siedmioma kółkami znajdowały się litery, określające programy czynności robota. Dwa ostatnie kółka nie były oznaczone.

- Oho, widzę, że zbudowałeś nowy nadajnik! - zawołał Andrzej, uważnie oglądając wnętrze pudełka. - Dlaczego niektóre programy nie posiadają odpowiednich oznaczeń?

- Sporządziłem je wyłącznie na swój użytek, tobie nigdy nie wolno ich włączać! - stanowczo odrzekł ojciec. - Pamiętaj o zasadniczym warunku naszej współpracy: w mojej pracowni obowiązuje cię bezwzględne posłuszeństwo!

- Bądź spokojny, tatusiu, zawsze pamiętam o tym! Andrzej wyjął z pudełka wtyczkę podobną do ołówka. Włożył ją w dziurkę opatrzoną literą "W". Jedno skrzydło parawanu uchyliło się, ukazując siedzącego w fotelu sobowtóra profesora Rawy. To był właśnie Rob, naukowa pasja wynalazcy, w którą wkładał najlepszą część swej wiedzy, urzeczywistniając różne niezwykle pomysły, jakie mu się nasuwały podczas badań. Zewnętrzne podobieństwo między robotem i jego twórcą było oszałamiające. Wzrost, budowa ciała, kolor skóry, włosów, to samo uczesanie i taki sam ubiór. Gdyby nie otwarte w tej chwili nieruchome oczy, można by mniemać, że to profesor Rawa drzemie w fotelu.

Andrzej zawsze doznawał dziwnego uczucia stykając się z Robem. To był cień jego ojca, tak jak on zrównoważony, spokojny i mądry.

Naraz Rob ożył. Pochylił się do przodu, powstał. Andrzej teraz włożył wtyczkę w dziurkę nad literą "I". Robot jednostajnym miarowym krokiem wyszedł zza parawanu.

- Panie profesorze! - zagadnął Rawa.

Rob z wolna odwrócił głowę, spoglądając ruchomymi gałkami ocznymi na swego twórcę. Rawa powstał, nagłym ruchem porwał ze stołu stalowy sztylet. Sobowtór z równą szybkością uniósł prawe przedramię i wycelował ku niemu wyprostowany wskazujący palec.

- Widzisz? Już byłoby po wszystkim - wyjaśnił Rawa. - Rob strzela oszałamiającymi pociskami gazowymi. Nie chybia... nigdy. W tej chwili nie jest wyposażony w ładunki. Rozumiesz, dlaczego ci to pokazałem?

- Tak ojcze, rozumiem! Przecież mógłbym bezwiednie sprowokować Roba i narazić się na niebezpieczeństwo!

- Właśnie o to mi chodziło! W obecności Roba musisz stale pamiętać, że na widok jakiegokolwiek broni, natychmiast uruchamia wyrzutnię gazowych pocisków. On jest już naprawdę inteligentny! Można na nim polegać.

- Bądź spokojny, tatusiu! Teraz, kiedy wiem o wszystkim, będę jeszcze bardziej ostrożny. Nie sprawię ci kłopotu - zapewnił Andrzej.

Wróg nadchodzi

Ostatni wagon zniknął za załomem peronu. Andrzej wolnym krokiem schodził do niższej kondygnacji dworca. Ojciec odjechał! Andrzej nagle poczuł się zupełnie opuszczony. W obecności rodziców każdy chłopiec zazwyczaj jest pewny siebie: wszystko wie, wszystko umie, niczego się nie obawia. Ileż nieraz buntu bądź sprzeciwu budzą w nim polecenia rodziców! Wtedy myśli: gdyby mi było wolno, urządziłbym to wszystko inaczej, według własnej woli. I naraz Andrzej pozostał sam. Niepewność od razu wkradła się do jego serca.

Zamyślony i markotny wyszedł na ulicę. Zatrzymał się na Rynku przy przystanku tramwajowym. Było późne sobotnie popołudnie. Właśnie minęła siódma godzina. Czerwona “szesnastka” wychynęła zza zakrętu. Ludzie oczekujący na przystanku szybko zapełnili obydwie wagony. Andrzej przystanął na platformie.

Tramwaj piął się pod górę ulicą Kościuszki. Andrzej wysiadł na przystanku przy parku. Postanowił resztę drogi odbyć spacerkiem. Po cóż miał się spieszyć do domu? Marek nie przyjdzie przed dziewiątą. O tej też porze pocziwa pani Mruczkowa podawała kolację. Poza tym nikt więcej dzisiaj na niego nie czekał. Wprawdzie ojciec większość czasu spędzał zamknięty w swojej pracowni, ale wtedy Andrzej wiedział, że on jest i czuwa nad nim. Choć z ekranu telewizora uśmiechał się na dobranoc. Dzisiaj nikt na niego nie czekał. Mógł robić wszystko co chciał i to właśnie było najgorsze.

Wszedł do Parku Kościuszki⁷. Był to jeden z najładniejszych miejskich parków na Śląsku, który stanowił główne miejsce spacerów katowiczian. Z parkiem tym wiązały się ważne wydarzenia historyczne. W nim właśnie odbyła się w 1922 roku uroczystość przejęcia Górnego Śląska przez władze polskie, a w 1939 roku, w czasie najazdu hitlerowskiego, śląskie harcerki, zgrupowane na wieży spadochronowej, stawiały zbrojny opór wrogowi i poległy w obronie swego miasta. Niemcy zrzucili z wieży⁸ martwe ciała polskich bohaterek.

⁷ Park Kościuszki założony został na terenie podmiejskiego lasu brzozowo-sosnowego. W 1903 roku miasto przejęło ten zagajnik od Zakładów Górnico-Hutniczych Hohensiohego. Dopiero jednak w 1925 roku przekształcono go w park zajmujący teraz 66,5 ha. W zimie jest tam tor saneczkowy, w lecie odbywają się w nim wielkie zabawy i festyny na wolnym powietrzu. Pomnik Kościuszki przeniesiono obecnie na wzniesienie przy elipsie.

⁸ Wieża spadochronowa, jako punkt szkoleniowy do skoków, została zbudowana przez Ligę Obrony Powietrznej Państwa na parę lat przed wybuchem II wojny światowej. Dla uczczenia pamięci tragicznie poległych katowickich harcerki, po zakończeniu wojny Prezydium MRN w Katowicach ufundowało granitowy pomnik z pamiątkową tablicą.

Zaledwie Andrzej znalazł się w parku, powitał go z pomnika Tadeusz Kościuszko, którego imieniem nazwano ten piękny rezerwat zieleni. Jakże dobrze pamiętał opowieść matki o Naczelniku w sukmanie!

Wspomniawszy bohaterskie czyny spojrzął na smukłą sylwetkę wieży spadochronowej, pnącej się wysoko ponad parkowe topole i brzozy. Również od matki po raz pierwszy usłyszał o pięciu dzielnych harcerkach.

Matka spędzała z nim w tym parku długie godziny. Teraz rozmyślając o niej, skierował się do zachodniej części parku, gdzie stał zabytkowy, obszerny spichlerz, przeniesiony tu z Gołkowic w powiecie pszczyńskim. Na nadprożu drzwi odszukał datę: 1688 rok. Zamyślony spoglądał na dobrze mu znany zabytek dworskiego budownictwa, pozbawiony okien, które zostały zastąpione szczelinami. Dookoła budynku, w połowie jego wysokości znajdował się przydaszek, a nad wejściem jakby “półokrągły fartuch.”⁹

Andrzej zmarkotniały ruszył przed siebie. Bezwiednie zawędrował do najbardziej ukwieconej części parku, to jest elipsy, otoczonej dookoła pergolą¹⁰. Tutaj matka zazwyczaj siadywała na ławce, by podziwiać prawdziwy kunszt kwietnej sztuki dekoracyjnej, a on biegał wśród klombów. Potem odwiedził ogródek daliowy, ciekawą partię rododendronów, wciąż wspominając urocze chwile spędzone w parku z matką. Tak mu jakoś zrobiło się dziwnie smutno i ciężko. Matka dawno już nie żyła, a teraz ojciec wyjechał i on pozostał sam... Pograżony w smutnych rozmyślaniach przyspieszył kroku, jakby chciał uciec od bolesnych wspomnień. Idąc aleją pod górę, tym razem nawet nie zwrócił uwagi na strzelisty kościółek, który zawsze oglądał z jednakowym zaciekawieniem.

Zaraz za kościółkiem rozciągała się kotlina porośnięta krzewami, a za nią, jak na dłoni, widać było wśród drzew dachy domostw, kąpiące się w purpurze promieni zachodzącego słońca.

Andrzej biegł teraz. Postanowił natychmiast pójść po Marka. Nie chciał być sam. Omal nie krzyknął z radości: przed furtką ujrzał przyjaciela siedzącego na tobole owiniętym kocem.

⁹ Drewniany spichlerz zbudowany jest złożoną techniką zrębowo-łatkowo-sumikową. Łątki stanowią pionowe słupy, a sumiki podłużne belki ściany wsunięte w rowki bocznych słupów. Węgły budowli stawiane są na zrab.

¹⁰ Pergola (z łacińskiego) ozdobne przejście w ogrodach utworzone z dwóch rzędów słupków lub kolumn i z damaszku ażurowego, obrośnięte roślinami pnącymi.

- Och, już jesteś?! - zawołał uradowany.- Dawno czekasz? Miałaś przecież przyjść dopiero o dziewiątej !

- Ano miałem, ale pani Mruczkowa przygazowała do nas i powiedziała, że kolacja będzie o ósmej. Poza tym mam pewien interes do ciebie, kapujesz? - odparł Marek.

- A co masz w tym tobole? - zaciekawiał się Andrzej.

- Pościel i różne niezbędne drobiazgi - wyjaśnił Marek, zarzucając toból na ramię. - Pani Mruczkowa mruczała, że nie trzeba nic brać, bo wszystko przygotowała, ale kto swoje ciuchy nosi, ten się o nic nie prosi.

- Chodźmy do domu. Co za interes masz do mnie? - dopytywał się Andrzej.

- Wolnego, wolnego! Najpierw dla brzucha, potem dla ucha! Głodny jestem. Interes nie ucieknie. Mamy cały wieczór.

Andrzej poweselał. Obecność pewnego siebie przyjaciela rozproszyła przygnębienie wywołane nagłym osamotnieniem. Weszli do domu tylnymi drzwiami. Pani Mruczkowa wyrzła z za drzwi.

- Jesteście już? To dobrze, umyćcie ręce, zaraz podaję kolację - powitała ich i natychmiast zniknęła w kuchni.

Po kolacji Marek, nie tracąc czasu, przystąpił do "interesu".

- Jutro mamy odwiedzić Zawadę - zaczął dyplomatycznie.

- A jakże, jutro niedziela, pójdziemy do obozu przed południem - potwierdził Andrzej.

- Pewno chodzi im o tego... zółwia.

- Tak przypuszczam.

- Nic się na tym nie wyznaję - powiedział zakłopotany Marek.

- Nie martw się, to mnie będą pytali - odparł Andrzej.

- Hm, niby tak! Nie wypada jednak, żeby wódz Klubu okazał się głupszy od podwładnego.

- Ach, tu cię boli? Nigdy nie interesowałeś się elektroniką!

- Nie święci garnki lepią! - odparował Marek. - Raz omal moim staruszkom nie naprawiłem radia.

- I cóż to stanęło ci na przeszkodzie?

- Bagatela! Brak schematu. Wiesz, w pół godziny rozebrałem cały aparat.

- Rozumiem, a potem nie mogłeś go złożyć - domyślił się Andrzej.

- A ty potrafiłbyś bez schematu? - burknął Marek. - Poza tym zmontowałem z powrotem tego starego grata. Tylko kilka drobnych elementów pozostało w zapasie. Matka zaraz zrobiła mi awanturę. Kazała wszystko zgarnąć do pudła i odnieść do punktu

naprawczego.

- Nie mówiłeś mi o tym. Byłbym ci pożyczył schematu..

- Nie miałem czasu. Matka jest nerwowa. Nic nie orientuje się w technice. W tym zakładzie naprawczym jeszcze ją podbuntowali. Przez trzy miesiące nie dostawałem ani grosza na swoje wydatki.

- Miałeś pecha - przyznał Andrzej. - Pewno twoja mamusia musiała dużo zapłacić za naprawę?

- Ani grosza! Te pataluchy wmówiły w nią, że taniej będzie kupić nowy aparat. Teraz mamy fajne radio z ultrakrótkimi falami! Ojciec fundnął na raty. Czy myślisz, że matka jest mi chociaż trochę wdzięczna za pozbycie się grata?! Co tylko wezmę do ręki, zaraz wypomina przeszłość.

- Więc uważasz, że skoro ojciec kupił nowy aparat, to matka powinna być ci wdzięczna za zniszczenie starego?! - oburzył się Andrzej. - Dobry jesteś! Za wyrządzenie szkody chciałbyś może otrzymać nagrodę!

- Mówisz zupełnie jak mój ojciec! A czy bez praktyki można dojść do czegoś? - niepewnie powiedział Marek.

- Nie zaczynaj od końca! Najpierw poznaj teorię, a potem dopiero przejdź do zajęć praktycznych. Wtedy nie narobisz szkody - odparł Andrzej.

- Może i masz rację - w końcu przyznał Marek.- Teraz żałuję, że razem z tobą nie zająłem się techniką! Nie skompromitowałbym się w oczach takiego fajnego kumpla, jak Zawada...

- Jeśli chcesz, mogę ci wyjaśnić na czym polega działanie elektronicznego zółwia. Kto chociaż coś niecoś wie o budowie radia, z łatwością zrozumie, że mechanizm zółwia nie zawiera w sobie nic nowego - zaproponował Andrzej. - Nawet mam mój najnowszy model w domu!

- O to mi właśnie chodzi - z wdzięcznością odparł Marek. - Fajny z ciebie kolega! No, wal wykład, tylko tak przystępnie, rozumiesz?!

- Nic się nie bój, to nie jest zbyt skomplikowane. Najpierw przyjrzyj się zółwiowi w akcji.

Andrzej postawił nocną lampkę na podłodze przy łóżku, drugą, biurkową, o silniejszym natężeniu światła, umieścił w kącie pokoju. Teraz z kolei wydobył spod szafy oryginalny cybernetyczny model własnej konstrukcji.

Marek przykucnął, by bardzo dokładnie przyjrzeć się zółwiowi.

Pancerz wielkości wojskowego hełmu wykonany był z balsy, to jest lekkiego drewna

modelarskiego.

W przedniej jego części, nieco wyższej od tylnej, wystawała, niby szyja, długa rurka metalowa, na której była osadzona głowa, przypominająca kształtem peryskop podwodnej łodzi. Andrzej uruchomił mechanizm, przedstawiając ogonek widoczny z tyłu pancerza.

Syntetyczne¹¹ zwierzę natychmiast okazało zewnętrzne cechy własnego życia. W otworze, pośrodku przedniej części pancerza, zapłonęła karzełkowa żaróweczka wskaźnikowa; głowa, kryjąca wewnątrz komórkę fotoelektryczną, zaczęła obracać się w różnych kierunkach. Żółw wolno sunął po podłodze. Przystawał, to znów chodził tu i tam, jego głowa osadzona na ruchomej szyi wciąż obracała się i swym czułym "okiem" myszkowała po pokoju.

Marek zaintrygowany przypatrywał się żółwiowi. Widząc jego niezdecydowanie, zagadnął:

- Coś ten twój zwierzak strasznie nerwowy. Biega, jakby mu kto pieprzu nasypał na ogon! Pies mojej sąsiadki tak samo wierci się po podwórku, dopóki nie znajdzie sobie odpowiedniego drzewka.

- Ho, ho, jeszcze będą z ciebie ludzie! Od razu utrafiłeś w sedno rzeczy - pochwalił Andrzej. - Żółw, tak jak ten pies, również czegoś szuka!

- Nie bujaj! Przecież jemu drzewko niepotrzebne!

- On szuka źródła światła, które widzi w pokoju. Niespokojny jest, nie mogąc go znaleźć. Przyjrzyj się teraz!

Andrzej zapalił lampy uprzednio umieszczone na podłodze. Głowa żółwia, wciąż obracająca się niczym latarnia morska, wkrótce natrafiła na długo poszukiwane źródło światła. Najpierw odkryła nocną lampkę. Mimo to nie przestawała dalej szukać. Nagle ujrzała jaśniej płonąca lampę biurkową. Jeszcze chwilę trwały poszukiwania, jakby żółw namyślał się, w której lampie ma podążyć, lecz potem ruszył w kierunku silniejszego światła. Jednooka głowa znieruchomiała, karzełkowa żaróweczka wskaźnikowa zgasła na piersi. Żółw przystanął na krótką chwilę raz i drugi, jakby się jeszcze wahał, lecz potem podążył wprost ku lampie. Wolno ją okrążył, podchodził bliżej i cofał się, jak zwierzę, które za blisko podeszło do ognia. Nagle, nie znalazłszy widocznie tego, czego szukał, rozpoczął nową wędrówkę. Głowa znów zaczęła się obracać, a jednocześnie zapłonęła żaróweczka wskaźnikowa.

- Coś mu się nie spodobała ta lampa - zauważył Marek. - Czego on teraz szuka?

- Głodny jest - wyjaśnił Andrzej. - Jeśli wkrótce nie dostanie jeść, umrze tak jak każde inne stworzenie.

¹¹ Syntetyczny - sztuczny.

Andrzej pobiegł w przeciwny narożnik pokoju. Stało tam pudełko w kształcie budki. Przekręcił umieszczony na nim wyłącznik. Wewnątrz rozbłysło silne światło. Żółw wkrótce je odkrył i zaraz podążył w jego kierunku. Chłopiec zagroził mu drogę krzesłem. Żółw uderzył się o nogę krzesła, przystanął, cofnął się nieco, lecz wciąż zapatrzony w fascynujące go światło, ruszył bokiem, wyminął przeszkodę i zaczął sunąć prosto do celu. Tuż przy budce przystanął, bowiem zwabiony silnym światłem na odpowiednią odległość, dotknął w głębi pudełka specjalnych kontaktów, które zasilają jego akumulator prądem z sieci. Najadłszy się do syta powędrował w ciemniejszy kąt pokoju, by odpocząć z dala od intensywnego światła.

- A to ci cwaniak! - zdumiał się Marek. - Wtroił obiad i natychmiast poszedł uciąć drzemkę! Zupełnie jak mój ojciec.

Andrzej roześmiał się i wyjaśnił:

- Żółw elektroniczny jest uczulony na światło, którym się odżywia. Dlatego właśnie stale go poszukuje. Gdy jednak napelni brzuch, czyli naładuje akumulator, wówczas przestaje ono być dla niego magnechem i wtedy zaczyna szukać łagodniejszego oświetlenia, aby w spokoju przetrwać pokarm. W trakcie poszukiwań rozładowuje akumulator na uruchamianie silnika i wkrótce znów jest głodny. Zależnie od sytości lub głodu, odmiennie reaguje na trzy stopnie jasności. Na przykład, gdy się naje, zbyt silne światło natychmiast przestaje go interesować i szuka stopnia jasności odpowiedniego do odpoczynku.

- No, no, kto by przypuszczał, że to takie proste - zdumiał się Marek. - Wytlumacz mi jeszcze, w jaki sposób mechanizm sam zmienia kierunek jazdy?

- Żółw posiada trzy kółka. Dwa tylne są wolne, zaś jedno przednie jest jednocześnie kierunkowe i napędowe. Przednie koło jest poruszane przez dwa różne silniczki. Kierunkowy powoduje obracanie się wału kierunkowego, na którym umocowane są widełki przedniego koła oraz komórka fotoelektryczna. Dlatego też, gdy komórka fotoelektryczna obraca się, wówczas i kierunek koła ulega zmianie. Tarcza żółwia jest połączona z podwoziem tylko w jednym punkcie, a połączenie to nie jest bezwzględnie stałe. Zetknięcie się tarczy z przeszkodą powoduje zmiany sposobu pracy obu silników. Stąd cofanie się żółwia i wymijanie przeszkody.

- Nie byle łebek musiał to wykombinować! - przyznał Marek. - Ciekawe, że naukowcom nie szkoda czasu na wymyślanie takich zabawek!

- Mylisz się, mój drogi - zaprzeczył Andrzej. - Żółw elektroniczny jest bardzo pomysłowym i zadziwiającym urządzeniem. Posiada mechanizm o trzecim stopniu automatyzmu, to znaczy, że działa niezależnie od okoliczności. Jego zachowanie się zależy od pewnych warunków zachodzących w otoczeniu. Takie właśnie cybernetyczne "zabawki"

stanowią dowód, że maszyna potrafi myśleć.

- Nie gadaj głupstw! - oburzył się Marek. - Żadna maszyna nic sama nie wymyśli!

- Oczywiście, źle mnie zrozumiałeś! Człowiek jednak doprowadza do tego, aby roboty będące jego tworem myślały za niego. Takie myślenie maszyny w rzeczywistości odbywa się inaczej niż u człowieka, ale spełnia podobną rolę. Widzisz, podstawą cybernetyki jest założenie, że pomiędzy organizmami i maszynami nie ma zasadniczej różnicy. Ich działaniem rządzą te same prawa, a jedyna różnica polega na wysokiej złożoności i organizacji żywych organizmów.

Nowoczesne modele cybernetyczne reagują na różne bodźce i podniety podobnie jak żywe organizmy. Dzięki doświadczeniom cybernetycznym człowiek prześledzą procesy zachodzące w żywych organizmach. Ponadto pomysłowe roboty już obecnie ułatwiają nam wykonywanie trudnych zadań. Czy na przykład młot mechaniczny nie zastępuje ręcznego kucia? Wynalazcy najpierw przeprowadzają doświadczenia na takich urządzeniach jak żółwie, a później wykorzystują je dla innych celów.

- Ogólnie zapewne masz rację, ale to chyba niemożliwe, żeby nawet najdoskonalszy robot mógł myśleć - sceptycznie zauważył Marek.

- Czy można uczyć się czegoś nie posiadając zdolności myślenia? - zauważył Andrzej.

- Nie zadawaj głupich pytań! - oburzył się Marek. - Maszyna niczego się nie uczy, po prostu mechanicznie wykonuje wszystkie czynności.

- Tak myślisz? A więc posłuchaj. Cybernetyk Claude Shannon skonstruował w 1951 roku mysz pełzającą po kwadratowej metalowej płycie, podzielonej na dwadzieścia pięć kwadratów. Na krańcach kwadratów ustawione były w odpowiedni sposób aluminiowe przegrody, które tworzyły labirynt¹². W jednym z kwadratów umieszczono jakiś przedmiot z miękkiej stali. Zadaniem myszy było dotarcie do tego przedmiotu, ukrytego w labiryncie.

Otóż wyobraź sobie, że mysz nie tylko odnajdywała ów przedmiot, przeszukując kolejno korytarze labiryntu, lecz równocześnie zapamiętywała najkrótszą drogę do celu i potem już bezbłędnie nią dążyła.

- Andrzej, nie bujasz?! - zdumiał się Marek. - W jaki sposób mysz mogła odnajdywać i nawet zapamiętywać najkrótszą drogę w labiryncie?

- Zabawne stworzonko z plastyku posiadało uszy, oczy, wąsy i ogonek, naprawdę jednak było magnezem trwałym na trzech kółkach. Pod płytą, na której zbudowano labirynt,

¹² Labirynt - legendarny budynek o bardzo zawiłych przejściach wewnętrznych, ze środka którego trudno było trafić do wyjścia.

poruszał się elektromagnes napędzany silnikami elektrycznymi, sterowany przez kilkadziesiąt przekaźników.

Mechanizm ten prowadził z kwadratu do kwadratu mysz, posiadającą dwustykową mackę, czołową i lewą. Mysz dążyła wciąż po prostej, dotykając przegrody w labiryncie lewą macką. Przy końcu ścianki mysz zakręcała w lewo i dalej szła prosto, aż nie dotknęła przegrody czołową macką. Wtedy znów skręcała w prawo i potem sunęła po prostej dotykając ścianki lewą macką.

Droga przebywana przez mysz była rejestrowana przez przekaźnikowe urządzenie pamięciowe. Gdy stworzonko wchodziło do jakiegoś korytarzyka i opuszczało go, oznaczało to, że nie ma tam poszukiwanego przedmiotu. Wówczas wejście do tego kwadratu było zaraz zablokowane. W końcu mysz odnajdywała ukryty przedmiot, a wszystkie zablokowane przekaźniki pozostawały w tym samym położeniu. Zbadana przez mysz część labiryntu utrwalala się w pamięci urządzenia. Dzięki temu mysz wpuszczona powtórnie do labiryntu już nie poruszała się przypadkowo, lecz szła do celu najkrótszą drogą.

- Fantastyczne! Czy ta mysz mogła po raz drugi odnajdywać najkrótszą drogę z dowolnego kwadratu labiryntu? - dopytywał się Marek.

- Jeśli umieszczono ją w kwadracie, w którym jeszcze nigdy nie była, zaraz na nowo rozpoczynała poszukiwania, dopóki nie odnalazła już znanego jej korytarza. Wtedy od razu szła najkrótszą drogą do celu - wyjaśnił Andrzej.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że cybernetyka wkracza niemal w krainę fantastyki i tajemniczości! - zawołał rozentuzjasmowany Marek. - To jest naprawdę bardzo interesujące!

- A widzisz, nareszcie uwierzyłeś w to, co mówiłem ci od dawna - odparł Andrzej. - Dotąd nawet najfantastyczniejszy robot był dla ciebie tylko zwykłą zabawką. Pamiętasz, ile mi nadokuczałeś, że niepotrzebnie marnuję czas na budowę mego żółwia? Czy w dalszym ciągu jesteś tego zdania?

- Teraz cofam to wszystko. Zaimponowały mi twoje wiadomości. Przekonałeś mnie ponadto, że doświadczenia przeprowadzane przez cybernetyków mają posmak tajemniczości.

- Na pewno tak jest - zapewnił Andrzej. - Ba, żebyś wiedział, co uzdolnieni wynalazcy potrafią obecnie wymyśleć! Każdy z nich posiada jakieś swoje tajemnice...

- Wiesz, to musi być pasjonujące - wtrącił Marek. - Wyobrażam sobie, jak muszą się mieć na baczności, aby im ktoś ich nie wykradł.

- Oczywiście, że dobrze strzegą tych tajemnic - potwierdził Andrzej. - Dlatego też nikogo nie wpuszczają do swoich pracowni.

- Słuchaj, jeśli to wszystko jest prawdą, co powiedziałeś, to i twój ojciec, jako znany

wynalazca, musi mieć jakąś niezwykłą, tajemniczą maszynę - powiedział bardzo zaintrygowany Marek, mimo woli ścisząc głos. - Błagam cię, powiedz mi, co to jest? Na pewno nie na darmo ludzie nazywają wasz dom Domem Czarnoksiężnika!

Andrzej zaczerwienił się, za późno spostrzegł, że powiedział zbyt wiele. Marek widząc zmieszanie przyjaciela zaczął go prosić o powierzenie mu sekretu. Zanim Andrzej zdążył ochłonąć, za oknem rozległo się gwałtowne ćwierkanie świerszczy. Odetchnął z ulgą, nieoczekiwana pomoc nadeszła w odpowiednim dla niego czasie!

- Chytry Wąż i Wiercipięta - zawołał Marek. - Co oni tu robią tak późno?!

Obydwaj wybiegli na taras. Bożena i Maciek przyczaili się przy murze domu i rękami dawali jakieś znaki.

- Czego chcecie?! - niechętnie zapytał Marek, zły, że przerwano mu intrygującą pogawędkę. - Matka znów was ochrzani za włączenie się wieczorem!

- Psssst! Ciszej! - ostrzegł Chytry Wąż. - Siedzicie jak krety w norze i nawet nie wiecie, co się święci za waszymi plecami!

- O co chodzi?! Mów jaśniej, do licha! - wtrącił zaciekawiony Andrzej.

- Ważna wiadomość, szybko opuśćcie linę - półszeptem dodała Wiercipięta.

Niebawem wszyscy członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód znajdowali się w pokoju Andrzeja.

- Gadajcie zaraz, co się stało - rozkazał Marek.

- Ktoś was szpieguje! - wyrzuciła z siebie Wiercipięta. - Jakiś obcy mężczyzna czał się na ulicy!

- Cicho bądź, ja im to powiem - wtrącił Chytry Wąż. - A więc po kolacji chcieliśmy wpaść do was i zobaczyć, co porabiacie. Gdy tylko weszliśmy na Różyckiego, od razu spostrzegliśmy jakiegoś mężczyznę. Stał po przeciwnej stronie ulicy pod krzakami i wpatrywał się w okna waszego domu. Zauważył nas wkrótce, gdyż Wiercipięta paplała jak zwykle. Nasunął głębiej kapelusz na czoło. Nie mogliśmy dojrzeć jego twarzy. Miał podniesiony kołnierzyk płaszcza. Zaledwie zbliżyliśmy się do niego, odszedł trochę dalej...

- Może to był zwykły przechodzień - napomknął Andrzej.

- Nie, na pewno nie! - porywczo zaproponowała Wiercipięta.

- Słuchajcie dalej - ciągnął Chytry Wąż. - Uszczypnąłem Wiercipiętę. W lot zrozumiała, o co chodzi. Minęliśmy wasz dom jak gdyby nigdy nic, a potem od tyłu przeleźliśmy przez parkan i z ukrycia obserwowaliśmy ulicę. Mężczyzna znów stał przed furtką i szpiegował. Odszedł kilka minut temu.

- A to ci heca! Kto to mógł być - zawołał Marek.

- Nie wiecie, kto?! - zdumiała się Wiercipięta.- Ja od razu pomyślałam, że to na pewno Zawada planuje na nas jakąś akcję! Przecież zapowiedział zemstę!

- Kto wie? Może ona naprawdę ma rację! - powiedział Andrzej.

- Mamy szczęście, że w porę wysledziliście Zawadę - ucieszył się Marek. - Skoro już wiemy o przygotowywanej zemście, postaramy się zapobiec niebezpieczeństwu!

Zasadzka

W niedzielę, zaraz po obiedzie, członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód zebrali się na naradę wojenną w pokoju Andrzeja. Nie mieli czasu do stracenia. Przedpołudniowa wizyta w obozie harcerzy, mimo bardzo koleżeńskiego przyjęcia, utwierdziła ich w przekonaniu, że Zawada już przygotowuje odwet za porwanie proporczyka. Zaledwie przybyli do obozu, drużynowy witając ich, powiedział do swych harcerzy:

- Oto właśnie zuchy, które nadszarpnęły dobre imię naszej drużyny! Wypytywaliście mnie, jak wyglądają. Dobrze przyjrzyjcie się im teraz! Musimy przecież postarać się udowodnić kolegom, że nie jesteśmy gorsi od nich.

Nieszczęsny wartownik ciężko westchnął i rzekł:

- Jaka szkoda, że nie przebudziłem się wtedy!

- Ciekawa jestem, co byście nam zrobili?! - zapytała Wiercipięta.

- Gdybyśmy schwytali was na gorącym uczynku odeszlibyście stąd wysmarowani czarną pastą do butów - wyjaśnił harcerz jeszcze raz wzdychając z żalem.

Potem Zawada wręczył im przyobiecana nagrodę. Była nią książka zatytułowana "Ludzie wielkiej przygody".

- Na pewno lubicie podróżnicze książki - powiedział. - Ta szczególnie powinna was zaciekawić, bowiem opisuje niezwykle przeżycia polskich odkrywców i badaczy egzotycznych krajów w różnych częściach świata. Pasjonująca lektura. Moi chłopcy założyli sobie podręczną biblioteczkę książek o tej tematyce. Może ten pomysł i wam będzie odpowiadał.

Dwie godziny spędzone w obozie harcerzy minęły jak krótka chwilka. Nastrój był bardzo koleżeński, lecz członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód, pomni zapowiedzianej przez Zawadę zemsty, nie zaniechali czujności. Toteż rychło zauważyli zaciekawienie Zawady ich trybem życia. Pytał, czy mają rodzeństwo, jak zamierzają spędzić wakacje, co będą porabiali w ciągu najbliższych dni, czy wciąż przebywają razem, a gdy Wiercipięta nieopatrznie wypaplała o wyjeździe profesora Rawy, drużynowy zaraz zagadnął:

- Kiedy wraca pan profesor?

- Za jakieś trzy tygodnie - wyjaśnił Andrzej. - Potem dopiero wspólnie pojedziemy do Ustronia.

- A więc teraz jesteś sam na gospodarstwie - zauważył Zawada. - Czy nikt oprócz ciebie nie nocuje w domu?

Zanim Andrzej zdążył odpowiedzieć, Marek pochylił się do Zawady i odparł:

- Kolego drużynowy, nasz Klub wziął dom pana profesora pod swoją opiekę. Każdy wynalazca ma jakąś tajemnicę, kolega więc chyba rozumie...?

- Rozumiem - potwierdził Zawada i dodał: - Takie zadania bojowe dobrze świadczą o waszym pożytecznym Klubie.

- Nasza drużyna opiekuje się samotną staruszką - wtrącił jeden z harcerzy. - Załatwiamy jej sprawunki w mieście i pomagamy sprzątać mieszkanie.

- Zawsze powinno się pomagać potrzebującym pomocy - powiedział drużynowy. - Widzę, że posiadamy podobne zainteresowania. Bardzo się cieszę, że teraz przebywacie razem...

Dziwny uśmiech towarzyszący tym słowom utwierdził członków Klubu w mniemaniu, że chwila zapowiedzianego rewanzu jest już bardzo bliska. Na pewno zależało mu na informacji, gdzie mógł przy dybać ich wszystkich razem. W tym też zapewne celu urządził poprzedniego wieczora rekonesans w okolicę domu profesora Rawy.

- Co on może planować? - głowił się Marek podczas ożywionej narady.

- Może chcą nas wysmarować czarną pastą? - zauważyła Wiercipięta. - Ładnie by nas urządzili!

- To byłby głupi kawał. Zawada na pewno planuje coś mądrzejszego - wtrącił Chytry Wąż.

- Najprędzej będzie chciał odplacić nam pięknym za nadobne - domyślał się Andrzej.

- Czy przypuszczasz, że on urządzi na nas podchody, aby wykazać nam również brak czujności? - podchwycił Marek.

- Właśnie to miałem na myśli - potwierdził Andrzej.

- Racja, to byłby najlepszy rewanz - zawołała Wiercipięta.

- Nie powinniśmy dać się zaskoczyć - oświadczył Marek. - To byłaby kompletna kompromitacja.

- A może i dzisiaj również będzie myszkował wokół domu? Przecież musi ułożyć dokładny plan działania - wtrącił Chytry Wąż. - Gdybyśmy tak przychwycili go na tym? Byłaby fajna heca, co?

- Byczy pomysł - przyznał Marek.

- Musimy zdemaskować wywiadowcę! - gorączkował się Chytry Wąż.

- Kto głosuje za tym? - zapytał Marek.

Urządzenie zasadzki na Zawadę zostało jednomyślnie uchwalone. Nie należało spodziewać się jakiegokolwiek akcji z jego strony prędzej niż przed zmierzchem. Musiał zdawać sobie sprawę, że w dzień mógłby z łatwością zostać spostrzeżony. Członkowie Klubu

szczegółowo omówili plan działania. Z góry cieszyli się na samą myśl o niespodziance, jaką sprawią drużynowemu, udaremniając odwet.

Około siódmej wieczorem, uzbrojeni w dwie latarki elektryczne, chyłkiem wymknęli się z domu. Marek poprowadził oddziałek ku parkanowi na tyłach ogródka. Ostrożnie przemykali przez sąsiednie posesje, aż do ulicy Fitelberga. Tam dopiero żądna czynu Wiercipięta pobiegła przodem jako wywiadowca, a chłopcy wolno podążyli za nią.

Sprytna dziewczynka przystanęła przy ogrodzeniu na rogu. Nieznacznie wychyliła głowę, by rozejrzeć się w poprzecznej ulicy. Nie odwracając się, machnęła ręką.

- Droga wolna! - powiedział Marek, spostrzegając umówiony znak. - Teraz biegiem w krzaki!

Po chwili znajdowali się w paśmie zarośli oddzielających ulicę Różyckiego od asfaltowej drogi, która jako przedłużenie ulicy Kościuszki łączyła śródmieście Katowic z Brynowem, Ligotą i Mikołowem. Marek podzielił swój oddział na dwie grupy. Andrzej z Wiercipięta mieli z ukrycia obserwować przystanek tramwajowy, widoczny po przeciwnej stronie jezdni na wprost wylotu ulicy Fitelberga, podczas gdy Marek z Maćkiem - Chytrym Wężem przyczaili się w krzakach w pobliżu domu profesora Rawy. W ten sposób w każdej grupie znajdował się członek Klubu, który poprzedniego wieczora widział tajemniczego szpiega.

Czas wolno płynął. Krótka, jednostronnie zabudowana ulica Różyckiego ziała pustką. Znudzeni Marek i Maciek ciekawie zerkali poprzez krzewy w kierunku szosy. Mieszkańcy Brynowa wracali ze spaceru w Parku Kościuszki. Zbliżała się pora kolacji. Sporo osób wysiadało z tramwajów na przystanku. Nic więc dziwnego, że kąpiąca w gorącej wodzie Wiercipięta aż dwukrotnie narobiła fałszywego alarmu, biorąc jakiegoś przypadkowego przechodnia za tajemniczego szpiega.

Niezbyt ładna pogoda w ciągu dnia jeszcze bardziej pogorszyła się pod wieczór. Ciemne chmury wróżące deszcz coraz szczelniej zakrywały niebo przyspieszając zmierzch. Na północy jasna luna światła rozgorzała nad śródmieściem.

- Chyba dziś nie przyjdzie - mruknął Chytry Wąż.

- Może już obmyślił wszystko - potaknął Marek.

- Cicho! - ostrzegł Chytry Wąż.

Ćwierkanie świerszcza rozległo się w pobliżu. Zaszleściły krzewy.

- To nasi - szepnął Marek i odpowiedział hasłem.

Andrzej z Wiercipiętą przykucnęli obok przyjaciół.

- Dlaczego zesłiście z posterunku? - karcącym tonem zapytał Marek.

- Ciemno się robi, zaraz nic nie będzie widać - wyjaśnił Andrzej.

- Hm, to prawda... - przywodził Marek.

Przez jakiś czas razem czuwali w milczeniu.

- Późno już, usłyszymy od mamy za... - szepnęła Wiercipięta i naraz przerwała w połowie zdania.

Zamarli w bezruchu. Ktoś szedł ścieżką wydeptaną na przełaj przez krzewy wprost od szosy do ulicy Różyckiego. Mężczyzna w płaszczu z podniesionym kołnierzem i w kapeluszu mocno nasuniętym na czoło przeszedł tak blisko obok zaczajonej w zaroślach grupki spiskowców, że omal nie potracił nogą skulonej dziewczynki. Przystanął na skraju gąszczy. Przez chwilę spoglądał w kierunku domu Andrzeja, potem uważnie przepenetrował wzrokiem ulicę. Kilкома skokami znalazł się przy furtce. Była zamknięta na klucz. Podwinął płaszcz, po czym zwinnie wspiął się na parkan. Zaraz też znikł w ogrodzie.

- Śmiało sobie poczyna - szepnął Marek. - Czyżby sam zamierzał zemścić się na nas?

- Nie, nie, przecież jego harcerze powinni się nam zrewanżować, a nie on. - zaprzeczył Andrzej.

- A może i oni są gdzieś w pobliżu? - dorzucił Chytry Wąż.

- Wiercipięto, rozejrzyj się, co w trawie piszczy - polecił Marek.

Dziewczynka pobiegła w zarośla. Trzej chłopcy nie spuszczaali wzroku z ogrodu pograżonego w półmroku. Zawady nie było widać. Widocznie myszkował wokół domu. Nieoczekiwanie ujrzeli go z powrotem wspinającego się na ogrodzenie. Marek był niezdecydowany. Wiercipięta jakoś długo nie powracała. Może przychwycili ją harcerze?

- Zdemaskujmy go zanim odejdzie - szepnął Chytry Wąż.

Marek również pojął, że to jest ich ostatnia szansa. Nawet jeśli Wiercipięta została schwytana, mogli udowodnić mu, że przejrżeli jego plany.

- Ja go przytrzymam, a wy róbcie swoje, jak umówione! - rozkazał szeptem i pierwszy cicho ruszył ku Zawadzie.

Tajemniczy wywiadowca właśnie zeskakiwał z parkanu. Odwrócony plecami do ulicy nie spostrzegł zasadzki. Załedwie stanął na ziemi, Marek schwycił go z tyłu za bary. Przycisnął jego plecy do swej piersi i odwrócił twarzą do swych przyjaciół.

- Nie udało się, druhu, co?! - wysapał nie zwalniając uścisku.

W tej chwili Andrzej i Maciek błysnęli dwoma snopami jasnego światła prosto w twarz pojmanego.

Podczas szamotaniny kapelusz zsunął się z głowy mężczyzny. Marek nie mógł mu się przyjrzeć, lecz jego przyjaciele oniemieli przerażeni. To nie był Zawada! Oślepiiony jaskrawym

światłem mężczyzna mrużył małe oczy. Pociągłą twarz o lisim wyrazie przecinała szeroka blizna, biegnąca spod lewego oka aż do górnej wargi. Wypadki potoczyły się niemal błyskawicznie. Mężczyzna gwałtownie pochylił górną część ciała do przodu. Marek przeleciał przez jego plecy. Z rozmachem gruchnął na ziemię.

- To nie Zawada! - ostrzegawczo krzyknął Chytry Wąż, rzucając się pochyłony na wroga.

Zamierzał uderzyć go głową w brzuch, lecz mężczyzna okazał się sprytniejszy. Kolanem zadał mu cios prosto w twarz. Chytry Wąż oszołomiony padł na ziemię. Marek tymczasem poderwał się na nogi. Był przecież najroślejszy i najsilniejszy z grupki przyjaciół. Wiedząc już, że to nie Zawada buszował wokół domu, mężnie ruszył do ataku. Krótkim sierpem sięgnął głowy intruza. Mężczyzna zachwiał się, mimo to nie stracił animuszu. On również spostrzegł, że napastnicy są tylko chłopcami. Umiał walczyć na pięści; jednym ciosem najpierw powalił Andrzeja, który doskoczył z boku, a potem zręcznie uchyliwszy się przed ciosem Marka, sam uderzył go w podbródek. Mimo chmurnego nieba rój gwiazd zawirował przed oczyma chłopca. Ciężko osunął się na powstającego z ziemi Chytręgo Węża.

Mężczyzna podniósł kapelusz. Pogroziwszy chłopcom pięścią, szybko oddalił się ku wylotowi ulicy.

Andrzej i Maciek odwrócili oszołomionego Marka na plecy. Rozpięli mu koszulę pod szyją i wachlowali chustkami. Dopiero po dłuższej chwili odetchnął głęboko. Otworzył oczy. Chciał usiąść, lecz siły jeszcze odmówiły mu posłuszeństwa.

- Gdzie on?! - zapytał ciężko oddychając.

- Poszedł sobie - uspokoił go Andrzej.

- Ale narwaliśmy się głupio, nie ma co gadać! - szepnął Chytry Wąż. - Kto to mógł być?

- Wyście lepiej mu się przyjrzel, niż ja - wysapał Marek.

- Bliznę miał na twarzy - wyjaśnił Andrzej. - Czego on tutaj szukał?

Marek z wolna przychodził do siebie. Przy pomocy przyjaciół powstał z ziemi.

- Skoro to nie był Zawada, to cała ta heca zaczyna dziwnie wyglądać - powiedział masując zdrętwiały podbródek. - A gdzież Wiercipięta?

- Oh, zapomnieliśmy o niej! - zawołał przestraszony Maciek.

- Może skryła się w krzakach? - wtrącił Andrzej i głośno zawołał: - Bożena! Bożena!

Wracaj, już po wszystkim!

- Bożena by nie uciekła! - zaprzeczył Marek. - Oby tylko ten drab jej nie napadł! Andrzej w lewo ulicą, Maciek w prawo, ja przeszukam krzewy! Spotkamy się na szosie! Bożenaaaa!

- Nie krzyczcie tak głośno, on już pojechał tramwajem - rozległ się głos dziewczynki, a potem ona sama wyszła z krzewów. - Czy nic złego wam nie zrobił?

- Gdzieś ty była?! - denerwował się Maciek.

- Śledziłam go - odparła Wiercipięta.

- Lepiej porozmawiajmy w domu - doradził Andrzej.

Po chwili znajdowali się w pokoju Andrzeja. Wiercipięta mogła teraz zaspokoić ich ciekawość.

- Pamiętajcie, Marek posłał mnie na zwiady - zaczęła podniecona. - Gdy wróciłam, Marek właśnie fikał w powietrzu koziołka, a Maciek już leżał na ziemi. Zaraz poznałam, że to nie Zawada bije się z wami. Chciałam biec wam na pomoc, ale pomyślałam, że jeśli mnie zobaczy, to także oberwę i już nikt z nas nie będzie mógł go śledzić.

- Kto by pomyślał, żeś taka przebiegła! - pochwalił Marek. - A co było potem?

- Potem on sobie poszedł, a ja za nim. Na przystanku pod daszkiem, naprzeciwko kościółka, czekał na niego drugi mężczyzna.

- Czy zdążyłaś się im przyjrzeć?- zapytał Andrzej,

- Tak, tak, nawet podkrađłam się do nich z bliska i schowałam się z tyłu za poczekalnią na przystanku.

- A może jednak słyszałaś co mówili? - wtrącił Maciek.

- Tylko trochę! Ten, który czekał na niego pytał, czy ma odciski. Odpowiedzi nie słyszałam, ale myślę, że odcisków nie miał, bo szedł szybko i nawet nie spoglądał na buty. Potem śmiał się, że go głupie szczeniaki zaczepiły przez pomyłkę. Obydwaj wsiedli do tramwaju i odjechali do miasta.

- Więc jednak nic o nich nie wiemy - zafrasował się Marek.

- Oh, jeszcze coś - zawołała Wiercipięta. - Obydwaj nosili wpięte w klapy płaszczy takie znaczki. Ten, co się z wami bił, zgubił swój, wsiadając do tramwaju.

Pokazała na dłoni gładko wypolerowany srebrny żeton, na którym widniała złota, lekko fosforyzująca błyskawica.

Trzej chłopcy kolejno z zainteresowaniem oglądali zgubę tajemniczego mężczyzny, lecz nikt z nich przedtem nie widział podobnego znaczka.

- Bożena, czy jesteś całkowicie pewna, że oni obydwaj nosili identyczne żetony? - zapytał Marek.

- Tak, tak, od razu je zauważyłam, bo błyszczały w świetle latarni. Tylko dzięki temu spostrzegłam, jak żeton zsunął się z klapy płaszcza na ziemię.

- Na pewno odpiął mu się podczas bójki z nami - powiedział Andrzej.

- Tak, lecz co ten żeton oznacza? - głowił się Marek. - To chyba nie jest polska odznaka.
- Pierwszy raz w życiu widzę podobną, a znam się na tym, przecież kolekcjonuję różne odznaki - stwierdził Maciek.

- Być może, iż są to jakieś specjalne znaki rozpoznawcze - wtrącił Andrzej.

- Oj, coś sobie teraz przypomniałam! - zawołała - Bożena. - W jednym angielskim filmie szpiedzy nosili w mankietach koszul spinki, na których znajdowały się wyryte hasła. Po nich właśnie się poznawali.

- To jakaś nieczysta sprawa - dodał Maciek.

- A może i nie, strach zawsze ma wielkie oczy - odezwał się Andrzej.

- A może to jednak naprawdę jacyś przyjaciele Zawady - głośno rozmyślał Marek. - Przecież zapowiedział nam zemstę...

- Na pewno nie! - stanowczo zaprzeczyła Bożena. - Zawada nie przyjaźniłby się z tak podejrzanymi ludźmi. Powiedziałam wam już, że jeden z nich miał wygląd zbiegłego więźnia.

- Zgadzam się z Bożeną - potwierdził Maciek. - Był odwrócony tyłem do ciebie, więc nie mogłeś dobrze mu się przyjrzeć. To nie była twarz uczciwego człowieka.

- Jestem tego samego zdania - potaknął Andrzej.

- Skoro tak sądzicie, to kto to mógł być? - rzekł Marek. - Bożena, powtórz jeszcze raz ich rozmowę na przystanku tramwajowym.

- Mówili o odciskach i o nas, że to niby napadliśmy przez pomyłkę na tego o takim dziwnym wyrazie twarzy - odparła dziewczynka.

- Tak, miał przebiegły, a może nawet i trochę okrutny wyraz twarzy - dodał Andrzej.

- Który z nich miał mieć te odciski? - zapytał Marek.

- Ten, który bił się z wami - wyjaśniła Bożena.

- Ale on wcale nie utykał, szedł szybko, ledwo mogłam nadążyć za nim.

- A może im wcale nie chodziło o odciski na nogach - zauważył Marek. - W powieściach kryminalnych często czyta się o odciskach palców pozostawianych przez przestępców.

- O, właśnie! - zawtórował Maciek. - Pozostawione odciski palców na miejscu przestępstwa pomagają milicji w odszukaniu sprawców. Czytałem w gazecie powieść na ten temat.

- Czekajcie, czekajcie, coś mi zaczyna świtać w głowie - zawołał Marek. - A może oni mieli na myśli zrobienie odcisku zamka we drzwiach wejściowych do waszego domu?

- A po co chcieliby to zrobić? - zdziwiła się Bożena.

- Zaraz widać, że brak ci uświadomienia w takich sprawach - karcącym tonem odparł

Marek. - Jeśli przestępca chce dorobić wytrych do otworzenia zamka, musi posiadać jego odcisk. Można to zrobić woskiem lub mydłem.

- To by znaczyło, że oni planują jakieś włamanie - domyślił się Maciek.

- I to właśnie do domu pana profesora - uzupełnił Marek. - Uf, gorąco mi się zrobiło!

- Nie mędrkujcie i nie straszcie mnie - zaproponowała Bożena. - Może jednak oni mieli na myśli prawdziwe, ludzkie odciski na nogach. Nasza mama też ma odciski i zawsze narzeka w nowych pantoflach.

- Co tu gadać, nic teraz nie wymyślimy, ale cała ta heca staje się coraz bardziej tajemnicza - szepnął Marek. - Musimy dobrze mieć się na baczności.

- Nie śpij na warcie! - mruknęła Bożena.

Pogoń za cieniem

Mimo złowrogich przeczuć i obaw najbliższe trzy dni po niezwyklej niedzieli minęły członkom Klubu Poszukiwaczy Przygód bez nadzwyczajnych wydarzeń. W miarę jak siniak na podbródku Marka stawał się coraz bledszy, niedzielna przygoda jeszcze więcej intrygowała czwórkę przyjaciół. Wszelkie ich domysły zdawały się być błędne. Na dom profesora Rawy nikt nie dokonał napadu, z czego wynikało, że mężczyzna o lisiej twarzy nie miał na myśli „odcisków” zamka w drzwiach wejściowych do willi. Czyżby wobec tego ów mężczyzna był naprawdę współnikiem Zawady? Jednak z relacji Bożeny wynikało jasno, że tajemniczy mężczyzna nie przybył na ulicę Różyckiego w zamiarze szpiegowania członków Klubu Poszukiwaczy Przygód. Świadczyła o tym jego rozmowa, gdy na przystanku tramwajowym tylko mimochodem wspomniał, że jakieś dzieci zaczepiły go przez pomyłkę.

W takiej sytuacji chłopcy zaczęli wątpić, czy mogli bez zastrzeżeń wierzyć Bożenie. Przecież zawsze chciała odgrywać główną rolę we wszystkich zabawach, toteż skoro akcja demaskowania domniemanego Zawady obyła się bez jej udziału, mogła zmyślić owo “szpiegowanie” i podsłuchanie rozmowy tajemniczych mężczyzn, aby nie pomniejszać własnych zasług.

Wiercipięta jednak nie zmieniała swych relacji. Z niezmiennym uporem powtarzała w kółko wciąż to samo, a dla poparcia swych słów, pokazywała połyskliwy żeton i pytała:

“Niech będzie wasze na wierzchu, mądrale, ale w takim razie powiedzcie, skąd to wzięłam?”

Maciek również nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek przedtem widział u siostry podobny znaczek, mogła wszakże zupełnie przypadkiem znaleźć go właśnie w ową niedzielę.

Chłopcy głowili się nad rozwikłaniem zagadki, naradzali się podczas nieobecności Bożeny, lecz nie mogli odgadnąć prawdy. W końcu zwątpili w zamiar włamania się obcych mężczyzn do willi. Zapowiedź odwetu przez Zawadę najbardziej przemawiała im do przekonania. Toteż zdeorientowani członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód postanowili rozpocząć szpiegowanie harcerzy.

“Jeśli Zawada naprawdę planuje jakąś akcję na nas - udowadniał Marek - to mając obóz na oku, unikniemy zaskoczenia.”

Przez następne dwa dni członkowie Klubu na zmianę zaczajali się w pobliżu obozowiska. Harcerze nie przejawiali zainteresowania domem profesora Rawy. Zajmowali się

własnymi sprawami i wzorowo pełnili służbę wartowniczą. Teraz na pewno nie udałoby się porwanie porporczyka. Dopiero u schyłku drugiego dnia szpiegowania obozu sytuacja uległa nieoczekiwanej zmianie.

Stało się to w piątek po południu, gdy zawsze żądna czynu Wiercipięta na ochotnika poszła na zwiady w poblize obozu harcerskiego.

Trzej chłopcy tymczasem w domu bawili się żółwiem. Marek, który od czasu poznania Zawady zaczął nagle interesować się mechanizmem syntetycznego zwierzęcia, bez przerwy wypytywał przyjaciela o różne szczegóły konstrukcyjne.

- Zabawny zwierzak - mówił w tej chwili. - Jestem bardzo ciekaw, kto pierwszy wymyślił takiego żółwia?

- Zaraz ci to wyjaśnię - odparł Andrzej. - Właśnie mój model jest zbudowany według wzoru pierwszego żółwia elektronicznego. Wynalazcą jego był w 1948 roku Anglik Walter Grey, jeden z pionierów cybernetyki.

- Powiedz mi, czy te sztuczne żółwie mogą tylko poszukiwać światła? - indagował Marek.

- To zależy przede wszystkim od ich technicznego wyposażenia wewnętrznego. Żółw-zabawka o najprostszym mechanizmie, jak na przykład model Alfa, uczulony jest na światło. Może poruszać się jedynie po drodze z białej, papierowej taśmy lub ku światłu padającemu z odbicia choćby od kartki papieru, wprost w jego selenowe ogniwa fotoelektryczne,¹³ ukryte we wnętrzu głowy. Natomiast inny model, zwany żółwiem Beta, zbudowany w 1957 roku przez radzieckich uczonych - Wasiliewa i Piotrowskiego - oraz późniejsze, udoskonalone żółwie Waltera Greya, są już modelami cybernetycznymi, które mogą służyć do doświadczeń naukowych.

- Czy one potrafią wykonywać jeszcze inne czynności niż te, o których mi mówiłeś? - dopytywał się Marek.

- Tak, tak mój drogi! Te późniejsze modele wyposażone są w odruch warunkowy oraz umiejętność "uczenia się". Oprócz uczulenia na światło, mogą, na przykład, na sygnał dźwiękowy omijać przeszkodę napotkaną na swej drodze - wyjaśnił Andrzej.

- Już opowiedziałeś mi o umiejętności "uczenia się" modeli cybernetycznych - powiedział Marek. - Doskonale pamiętam tę historię o myszy w labiryncie. Wyjaśnij teraz, w jaki sposób żółw uczy się omijać przeszkodę.

¹³ Selenowa komórka - urządzenie do przekształcania energii świetlnej na energię elektryczną w oparciu o fotoelektryczne właściwości selenu.

- Podobnie jak mysz w labiryncie, syntetyczny żółw posiada możliwość “uczenia się”, a ponadto w jego elektronicznym organizmie powstaje odruch warunkowy - odparł Andrzej. - Otóż żółw uczulony jest na światło. Podczas swych poszukiwań za punktem świetlnym, natrafia na drodze przeszkodę. W tym momencie, gdy uderza o nią, instruktor gwizdze. Wystarczy powtórzyć takie ćwiczenie kilka razy, aby w obwodzie pamięci żółwia utrwalił się jednoczesny fakt występowania sygnału dźwiękowego i uderzenia. Wówczas syntetyczne zwierzę zaczyna reagować na gwizd w ten sam sposób, co i na zderzenie z przeszkodą, czyli słysząc gwizd, automatycznie już włącza program ominięcia.

- To jeszcze lepsza sztuczka niż mysz w labiryncie - wtrącił Marek. - Czy potem zawsze już sam omija przeszkodę?

- Ćwiczenie odpowiedniego reagowania na dźwięk trzeba co pewien czas powtarzać, gdyż w innym przypadku syntetyczne zwierzę zapomni wyuczonej lekcji.

- Paradne! To zupełnie tak jak ja! - wesoło zawołał Marek. - Jeśli tylko nie powtarzam starych lekcji, zaraz je zapominam.

- Ba, wiadomo, że gdybyś uczył się systematycznie, to nie obrywałbyś dwój w szkole!

- Z tobą tak zawsze! Nawet najbardziej ciekawą rozmowę musisz popsuć morałami - oburzył się Marek i znów zapytał: - Czy budowanie takich zwierzaków naprawdę pomaga uczonym w ich pracy?

- Syntetyczny żółw o takim programie działania odtwarza odruch warunkowy żywego zwierzęcia lub pracę robota, który potrafi uczyć się pewnych czynności. Dzięki takim doświadczeniom uczeni mogą obecnie budować maszyny-roboty, dokonujące skomplikowanych czynności, jak trudnych obliczeń matematycznych, tłumaczeń z jednego języka na inny, kontrolowania pracy całych zespołów lub ich części i wiele innych o najrozmaitszym zastosowaniu.

Naraz podniecony głos Bożeny przerwał chłopcom zajmującą rozmowę.

- Alarm! Marek, Andrzej, Maciek! Chodźcie natychmiast - wołała z ogrodu.

- Za mną koledzy! - krzyknął Marek, zapominając o żółwiach i cybernetyce.

Wybiegli na taras. Zarumieniona z fizycznego wysiłku dziewczynka poprawiała rozwichrzone włosy. Ujrawszy przyjaciół, wyjaśniła jeszcze zadyszczonym głosem:

- Harcerze właśnie zwijają obóz!

Trzej chłopcy zaskoczeni nieoczekiwaną wieścią w milczeniu spoglądali na podnieconą zwiadowczynię. Przecież jeśli mówiła prawdę, to nie musieliby już więcej obawiać się zapowiedzianego przez drużynowego Zawadę odwetu.

- Nie gapcie się na mnie, ślamazary! Harcerze odchodzą z polany - ponagliła

Wiercipięta.

- Nie bujasz znów?! - ofuknął ją Marek.

- To sprawdź sam, niedowiarku! - odparowała dziewczynka. - Właśnie pakują namioty!

- Alarm! - zawołał Marek. - Wszyscy za mną!

Hałaśliwie zbiegli po schodach. Z drzwi kuchennych wyjrzała zaniepokojona pani Mruczkowa, lecz widząc rozbawione miny chłopców, uśmiechnęła się pobłażająco.

Wkrótce rozhukana gromadka wbiegła na polanę. Harcerze naprawdę zwijali obóz. Teraz właśnie jedni składali ostatni namiot, inni zaś przytracali do ramion plecaki. Gromkim „czuwaj” powitali gości.

- Czołem, jak to ładnie z waszej strony, że przyszlście pożegnać się z nami - powiedział Zawada. - Miałem nawet zamiar sam wpaść dzisiaj na chwilę do was.

Członkowie Klubu szybko wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Czy kolega drużynowy często bywa w naszych stronach? - z głupia frant zapytał Chytry Wąż.

- Owszem, dość często. Mam tutaj znajomego - odparł Zawada.

- To może kolega był u niego również wieczorem w ostatnią niedzielę? - dalej indagował Chytry Wąż.

- W niedzielę? A tak, byłem. Dlaczego o to pytasz?

- Eh, tak sobie! Zdawało nam się, że jakiś... przechodzień ciekawie zerkał na dom Andrzeja.

- Wiesz, to jest możliwe. Rozmawialiśmy o was.

Trzej chłopcy błyskawicznie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Potem z niemym wyrzutem popatrzyli na Bożenę. Oto wyjaśniła się zagadka tajemniczego mężczyzny! Znajomy Zawady na pewno na jego prośbę szpiegował ich, lecz stwierdziwszy, że teraz nie dadzą się zaskoczyć, prawdopodobnie doradził poniechanie odwetu. Relacja Bożeny o podsłuchiwanie aż dwóch mężczyzn na przystanku tramwajowym oraz znalezienie rzekomo zgubionego przez jednego z nich żetonu z fosforyzującą błyskawicą, były zapewne wytworem jej bujnej wyobraźni. Toteż zawiedzeni chłopcy z trudem kryli swe oburzenie. Bożena musiała domyślać się ich krzywdzących ją podejrzeń, gdyż z obrażoną miną podeszła do formujących dwuszereg harcerzy.

Zawada serdecznie żegnał członków Klubu, obiecując odwiedzić Andrzeja jeszcze przed wyjazdem do obozu na morskim wybrzeżu.

- No, a co będzie z zapowiedzianym rewanzem, kolego drużynowy? - zagadnął Marek, domyślnie mrugając okiem.

- Niestety, wygraliście z nami jeden do zera - ze śmiechem odparł Zawada. - Jedyne niepewność, w jakiej trzymaliśmy was przez ostatnie dni, możemy traktować jako rewanż! Dobry gracz musi umieć przegrać z honorem!

- Udało się nam, ale teraz już nie byłoby tak łatwo was zaskoczyć - powiedział Marek.

- A skąd to o tym wiesz? - zaciekawił się Zawada.

- Nasz wywiad to ustalił. Nie czekaliśmy beczynn timer na kontratak!

- Jesteś naprawdę doskonałym dowódcą - pochwalił Zawada. - Nie wstyd ponieść od ciebie porażkę! Gdybyś był w mojej drużynie, uczyniłbym cię zastępcą i... wtedy spałbym spokojnie.

- Gzy to konkretna propozycja? - zdziwił się Marek mile pochlebiony pochwałą.

- Jak najkonkretniejsza, oczywiście dla ciebie i twoich kolegów.

- Hm, zastanowię się, pogadamy sobie po wakacjach!

- Trzymam cię za słowo pamiętaj!

- Kiedy kolega wyjeżdża z drużyną nad morze? - zapytał Andrzej.

- Moi chłopcy wyruszają już piętnastego, to jest jutro, ja zaś dopiero po dwudziestym drugim. Mam trochę pilnych zajęć w związku ze świętem.

- A więc do zobaczenia - powiedział Andrzej.

- Do rychłego zobaczenia - odpowiedział Zawada. - Przed wyjazdem wpadnę umówić się na powakacyjne spotkanie. Liczę na twoją pomoc dla moich chłopców w budowie elektronicznego zółwia.

W drodze powrotnej do domu chłopcy pokpiwali z Wiercipięty. Ostateczne wyjaśnienie zagadki tajemniczego mężczyzny wprowadziło ich w doskonały humor.

- Tylko patrzeć jak Wiercipięta zacznie pisać kryminały - dogadywał Marek. - Ma kobietka niezłą wyobraźnię!

- Z tym pisaniem chyba będzie trochę gorzej - wtrącił Maciek. - Pewnego razu profesorka polskiego zadała do domu wypracowanie na temat "Widok z mojego okna".

Wiercipięta wykpiła się jednym zdaniem:

Z mojego okna nic nie widać, bo cały widok zasłania wielkie drzewo!

- Nie wyśmiewaj się z niej - wtrącił Andrzej. - Nie tak dawno jeszcze sam dziwiłeś się, dlaczego w szkole uczą polskiego, skoro i bez nauki wszyscy mówimy tym językiem.

- To było parę lat temu, a poza tym ja nie mam zamiaru pisać powieści - bronił się Marek.

- Kpijcie sobie ze mnie, kpijcie, ale jeżeli kłamałam, to powiedzcie, skąd wzięłam ten żeton z błyskawicą? - szepnęła dziewczynka, z trudem tłumiąc łzy.

- Nie maż się Bożena, przyznaj się po prostu, że zrobiłaś nam kawał i wszystko będzie w porządku - pojednawczo tłumaczył Andrzej.

- A więc dobrze, niech będzie na waszym, skłamałam! - odparła rozżalonym głosem.

- No, nareszcie! A skąd wzięłaś ten żeton? - niecierpliwie indagował Marek.

Spojrzała na niego stukając się palcem w czoło, a potem syknęła:

- Radziecki kosmonauta zrzucił mi go z rakiety, mądralo!

Prawdopodobnie sprzeczka rozgorzałaby na nowo, lecz w tej właśnie chwili Maciek, który wyszedł zza ogrodzenia na ulicę Różyckiego, cofnął się gwałtownie do tyłu, cicho wołając:

- Jakiś facet znów stoi przed domem!

Wszyscy natychmiast zapomnieli o sporze. Marek pierwszy ostrożnie wychylił się zza rogu.

- Naprawdę jakiś gość rozmawia z panią Mruczkową - poinformował towarzyszy.

- Czy to ten sam, który tu był w niedzielę? - niecierpliwie pytała Wiercipięta.

- Nie wiem, stoi tyłem...

- Biegnijmy na pomoc, on gotów zamordować gosposię - zawołała dziewczynka.

- Bzdura! - skarcił ją Marek. - Idę z Andrzejem w kierunku domu. Ty, Maciek z Wiercipięta śledźcie go, dokąd pójdzie.

- Boisz się, żebym znów coś nie wymyśliła - mruknęła Wiercipięta, ale Marek już tego nie słyszał; razem z Andrzejem zniknął za rogiem ulicy.

Byli oddaleni od furtki zaledwie o kilka kroków. Mężczyzna kiwnął głową na pożegnanie. Odwrócił się przodem do nadchodzących chłopców. Nawet nie spojrzał na nich, mimo że wpatrywali się w niego pełnym zdumienia wzrokiem. Bowiem w klapie jego płaszcza widniał błyszczący żeton ze złoconą błyskawicą.

- Dobrze, że już wróciliście - powitała ich pani Mruczkowa. - Dzisiaj podam kolację wcześniej, bo idę z mężem do kina. Głodni jesteście?

- Czego chciał ten jegomość? - zapytał Andrzej, nie mogąc wprost oderwać wzroku od oddalającego się mężczyzny.

- Kto by go tam dobrze zrozumiał - odparła pani Mruczkowa wzruszając ramionami. - Gadał nie po naszymu. Zdaje się, że pytał, czy pan profesor już wyjechał za granicę i kiedy powróci.

- W jaki sposób może pani wiedzieć, o co pytał, skoro mówił obcym językiem? - podchwytliwie zagadnął Marek.

- Bo on niby mówił po polsku, ale tak jak to gadają zagranicznicy. Niewiele z tego

człowiekowi wiadomo.

- A cóż mu pani odpowiedziała? - dopytywał się Andrzej.

- Ano to, że nasz profesor frunął samolotem do Anglii na zjazd majstrów różnych straszyleń i powróci pewno wtedy, gdy wymyślą jeszcze coś gorszego - wesoło odrzekła gosposia i zaraz dodała: - To pewno jakiś zagraniczny znajomy pana profesora. Zaraz podaję kolację!

Powiedziawszy to pośpieszyła do domu. Obydwaj przyjaciele spoglądali na siebie zakłopotani. W końcu Marek odezwał się:

- A więc jednak Wiercipięta mówiła prawdę!

- Spostrzegłeś ten żeton? - szepnął Andrzej.

- Oczywiście! Palnęliśmy głupstwo łącząc mężczyznę o lisiej twarzy z odwetem planowanym przez Zawadę. Teraz wydaje mi się, że to są dwie zupełnie inne sprawy.

- Ooo, patrz! Maciek i Wiercipięta! - zawołał Andrzej.

- No, kto miał rację, kto? - jednym tchem wyrzuciła z siebie zadyszana Wiercipięta.

- Widzieliście żeton w jego klapie? - wtórował podniecony Maciek. - Wsiadł do tramwaju i odjechał w kierunku miasta.

- Wiercipięto, czy to był ten sam mężczyzna, który w niedzielę czekał na przystanku na tego o lisiej twarzy? - zapytał Marek. - Tylko ty jedna go widziałaś!

- Tak, tak, to był on właśnie! No co, wierzycie mi teraz?

- Twoje na wierzchu - przyznał zaniepokojony Marek. - Czego te typki mogą tutaj szukać?

- Może wujek ma w domu ukryte jakieś skarby, o których dowiedzieli się złodzieje? - szepnęła Bożena.

Andrzej drgnął. Przestraszony obejrzał się na okno w ojca pracowni. Przypomniał sobie o jego niezwykłym wynalazku.

Noc czarnych masek

Po względnie pogodnym i ciepłym dniu nadszedł deszczowy wieczór. Czarne chmury pokryły niebo. Porywisty wiatr kołysał wierzchołkami drzew, szeleścił krzewami w ogródku, uderzał o szyby w oknach strugami deszczu. Zanosilo się na burzę.

Andrzej i Marek siedzieli przy stoliku pochyleni nad zajmującą książką. Zła pogoda uniemożliwiła im odbycie wspólnej narady z Maćkiem i Bożeną. A tymczasem zwiniecie obozu przez harcerzy, oficjalne oświadczenie Zawady o rezygnacji z zapowiedzianego odwetu oraz rozmowa pani Mruczkowej z tajemniczym mężczyzną, noszącym fosforyzującą, nieznaną odznakę, mocno zaniepokoiły wszystkich członków Klubu Poszukiwaczy Przygód. Jeśli Zawada naprawdę poniechał rewanżu za skradzenie proporczyka jego drużynie, to kim mogli być owi dwaj podejrzani mężczyźni kilkakrotnie myszkujący wokół willi? Nie mogąc znaleźć zadowalającej odpowiedzi na intrygujące pytanie, obydwaj chłopcy starali się zapomnieć o ewentualnie grożącym im niebezpieczeństwie, zabijając czas przeglądaniem książki o cybernetycznych zabawkach. Marek co chwila zerkał do spisu treści, a potem otwierał książkę na odpowiedniej stronie.

- Bardzo ciekawa książka - odezwał się do Andrzeja. - Prawie wszystko jest w niej to, o czym ostatnio rozmawialiśmy. Nic dziwnego, że masz tyle różnych wiadomości, skoro czytujesz takie książki. Proszę: elektronika, zabawki i modele cybernetyczne, modele telemechaniczne, o sztucznych zwierzętach i ludziach, ich historia..., ależ to naprawdę prawdziwa kopalnia wiadomości !

- Powinieneś tę książkę przeczytać - powiedział Andrzej. - Napisana jest bardzo przystępnie. Gdybyś czegoś nie mógł zrozumieć, wytłumaczę ci chętnie.

- Nie tylko przeczytam, mój drogi, ale nawet kupię ją sobie na własność, może jeszcze w końcu tego miesiąca przed wyjazdem na letnisko. Zaraz po wypłacie w biurze ojca najłatwiej wydobyć od rodziców parę złotych. Potem to już gorsza historia - mówił Marek. - Ciekawie tu napisali we wstępie: "Książka ta ma wprowadzić czytelnika praktycznie w otaczający go świat magii XX wieku - elektronikę." Muszę zapisać sobie jej tytuł.

Wyjął z kieszeni kalendarzyk z ołówkiem i zanotował:

"Janusz Wojciechowski - Nowoczesne zabawki, elektronika w domu i w szkole - złotych 35."

- Znajdziesz w niej interesujące cię zagadnienia. Mogę również ci polecić drugą książkę tego samego autora pod tytułem "Pies elektroniczny i inne ciekawe modele" - doradził Andrzej.

- Później pożyczę ci już nieco trudniejsze dzieło dla zaawansowanych: "Sztuczne myślenie - wstęp do cybernetyki" napisane przez Pierre de Latila.

- Świetnie, bardzo dziękuję - powiedział Marek. - Żałuję, że tak mało orientuję się w technice. Cóż, w domu nie mam warunków do zorganizowania sobie odpowiedniego warsztatu!

- Powinieneś zapisać się do Pałacu Młodzieży - zauważył Andrzej. - Wielu chłopców szkoli się tam. W pięćdziesięciu sześciu pracowniach na pewno dobierzesz taką, która będzie ci najbardziej odpowiadała. Znajdziesz tam również fachowych instruktorów, sprzęt i materiały.

- A ty, do jakiej pracowni teraz chodzisz? - zapytał Marek.

- Od dwóch lat jestem w elektrotechnicznej, przedtem jednak co roku zmieniałem pracownię.

- Czy tak można? - zdziwił się Marek.

- Oczywiście, przecież w ten sposób najłatwiej dobrać sobie pracownię stosownie do zainteresowań. Potem już trzyma się tylko jedną srokę za ogon.

- A w jakich jeszcze byłeś pracowniach? - dopytywał się Marek.

- Rozpocząłem od skutniczej, następnie uczęszczałem do mechanicznej i radiotechnicznej, aż zainteresowała mnie elektrotechniczna. Praca w niej ułatwia mi budowanie moich modeli cybernetycznych. Również od czasu do czasu zaglądam do pracowni fizycznej. Pewne zagadnienia bardzo się zazębiają.

- No tak, w ten sposób można nabyć różnych wiadomości - markotnie rzekł Marek, bowiem perspektywa systematycznej nauki trochę go przerażała. - Dobra, słowo się rzekło, po wakacjach pójdę z tobą do Pałacu. Czy będziesz mi pomagał?

- Doskonale i... nie martw się, na pewno dasz sobie radę. Czy pamiętasz o obietnicy danej druhowi Zawadzie?

- Pamiętam i dotrzymam słowa. Równy facet, podoba mi się. Czy wstąpisz ze mną do jego drużyny?

- Muszę się zastanowić. W każdym razie przyrzekłem pomóc jego harcerzom w budowaniu tego żółwia. Oprócz praktycznych wskazówek na pewno będę musiał zapoznać ich coś niecoś i z teorią.

- Tak, Zawada nawet wspominał o tym - przywtórzył Marek.

- To mi zajmie trochę czasu. A co zrobimy z naszym Klubem?

Marek zaraz się zafrasował. Po krótkim zastanowieniu się odparł:

- Namyślimy się, mamy czas. Zawada chwalił nasz Klub. Mówił, że może nawet sam poprosi o przyjęcie do naszej paki. Pierwsza akcja powiodła się doskonale. Druga...

Zamilkł, bowiem zaraz przypomniał sobie o dwóch tajemniczych mężczyznach śledzących dom. Andrzej poruszył się niespokojnie i szepnął:

- Druga nasza akcja w toku...

- Doprowadzimy ją do końca - podjął Marek przerwaną myśl. - Mieliśmy dzisiaj jeszcze naradzić się z Maćkiem i Bożeną. Burza przeszkodziła. Cwana z Bożeny dziewczynka, co?!

- Tak, ona najwięcej wykryła w tej całej dziwnej sprawie - potaknął Andrzej. - Znaleziony przez nią żeton jest przysłowiową nitką, po której możemy dojść do kłębka.

- Ba, ale na razie niewiele wiemy. Nitka stale się urywa, a kłębka jak nie widać tak nie widać. Nie jesteśmy nawet pewni, czy w tej chwili jakieś nieznanie niebezpieczeństwo nie czai się gdzieś w ciemności wokół domu.

Przerwali rozmowę, gdyż nagle poczuli się jakoś nieswojo. Niepewnie zerkali w ciemne okno i drzwi wiodące na taras. Przecież byli zupełnie sami w tym dużym domu, który nie cieszył się najlepszą opinią wśród sąsiadów. Domek dozorców stojący w ogrodzie obecnie również ział pustką; państwo Mruczkowie jeszcze nie powrócili z centrum miasta z kina.

Deszcz stał się gwałtowniejszy. Teraz strumienie wody spływały po szybach. W dali głucho rozbrzmiał odgłos grzmotu. Nadciągała burza.

Marek podniósł się z krzesła i podszedł do wyjścia na balkon. Przekręcił klucz w zamku.

- Andrzej, czy drzwi w całym domu są dobrze pozamykane? - zapytał.

- Przecież razem zamykaliśmy je po wyjściu pani Mruczkowej po kolacji.

- A okna na parterze?

- Przypuszczam, że również są zamknięte. Gospościa zawsze robi to sama.

- Do licha, zapomnieliśmy sprawdzić - zafrasował się Marek. - Czy ona także pilnuje okien w pracowni twego ojca?

- Tam nie ma okien, przez które mógłby ktoś wtargnąć! Wiesz, że ojciec nie dopuszcza do siebie nikogo obcego. Jego pracownia jest odizolowana od reszty domu.

- Słuchaj, Andrzej! Czy te cudaczne frontowe drzwi można otworzyć wytrychem?

- Ojciec twierdzi, że na złodziei nie ma zamka, ale z tymi drzwiami to nie taka łatwa sprawa. Posiadają kombinowany zamek, który otwiera się na hasło i kluczem. W części domu mieszczącej pracownię ojciec sam sporządzał wszystkie zamki.

Chłopcy znów zamilkli. W tej chwili wiatr ostro zaciął deszczem o szyby. Z ogrodu płynął głuchy szum gałęzi drzew. Przez jakiś czas zerkali w ciemne okna, potem Marek znów zagadnął:

- Andrzej, a gdyby tak na przykład jakiś facet, uczony jak twój ojciec, dobrał się do tych

drzwi, mógłby je otworzyć, czy nie?

- Myślę, że to jest możliwe.

Marek podejrzliwym wzrokiem spoglądał w okno. Wiatr świszczął w parku pomiędzy drzewami. Deszcz wciąż padał. Andrzej przyzwyczajony był do samotnego przebywania w domu, lecz niepokój przyjaciela i jemu z wolna zaczął się udzielać.

- O czym myślisz? - zagadnął niepewnie.

- Bożena mówiła, że człowiek o lisiej twarzy wygląda jak przestępca zbiegły z więzienia - szepnął Marek.

- Tak, tak, mówiła to - potwierdził Andrzej.

- W jakim celu oni interesują się waszym domem?

- Czy podejrzewasz, że naprawdę zamierzają coś złego? - zapytał Andrzej.

- Ba, gdybym był tego pewny, to zaraz zatelefonowalibyśmy do milicji - odpowiedział Marek. - Ale cóż moglibyśmy teraz powiedzieć? Ze jacyś mężczyźni włóczą się koło domu, a jeden z nich wypytywał o pana profesora?

- A bójka z tym o lisiej twarzy? - podsunął Andrzej.

- Przecież to my napadliśmy na niego, a nie on na nas!

- To prawda, ale po co wkładał się do ogrodu?

- Tego również nie wiemy. Milicji podaje się fakty, a nie domysły. Już raz palnęliśmy głupstwo, posądzając Wiercapiętę o kłamstwo.

Andrzej coś sobie przypomniał. Roześmiał się cicho i rzekł:

- Masz rację, milicja nie ma czasu zajmować się głupstwami. Chociaż w Komendzie niczyjego meldunku nie lekceważą. Pewnego razu setnie się wygłupiłem, mimo że w najlepszej wierze pobiegłem ze skargą.

- Fiu, fiu! - przeciągle gwizdnął Marek. - Toś ty już miał kontakty z milicją? Nic mi o tym nie mówiłeś!

- Nie znaliśmy się jeszcze. Nie mieszkałeś wtedy w naszej dzielnicy. Byłem zaledwie drugoklasistą.

- Prawie starożytne dzieje, ale chętnie posłucham. Czas nam prędeż minie.

- Właśnie zacząłem chodzić do Pałacu do pracowni szkutniczej. Miałem wtedy zamiar zostać marynarzem. Pewnego dnia po zmierzchu wracałem do domu z trzema kolegami. Zamiast iść jak zwykle prosto ulicą Mikołowską, pobieглиśmy dziedzińcem Pałacu, przez który można wyjść na Kilińskiego. W ciemnym zakątku przyłapała nas szajka chuliganów. Jednemu koledze wzięli półtora złotego, drugiemu scyzoryk, a mnie ręczny zegarek-zabawkę na gumce. Dostałem go od ciotki, to jest od matki Bożeny i Maćka. Bardzo lubiłem ten zegarek. Toteż

sকoro w końcu wyszliśmy na Kilińskiego tuż obok Komendy Milicji, namówiłem kolegów do złożenia meldunku o napadzie i kradzieży.

- Olej w łepetynie miałeś już od dziecka - z uznaniem wtrącił Marek.

- Dyżurny zajęty był przesłuchiowaniem jakichś ludzi, ale załatwił nas poza kolejką. Poskarżyłem się, że ukradziono mi zegarek, a kolegom pieniądze i scyzoryk. Dyżurny zawołał dwóch milicjantów w cywilnych ubraniach. Polecił im zająć się nami. Razem poszliśmy na miejsce kradzieży. Ja z kolegami przodem, milicjanci za nami. Mieliliśmy szczęście! Milicjanci przyłapali całą szajkę chuliganów. Od razu ich zrewidowali. Znaleźli pieniądze i scyzoryk. Potem oglądali im przeguby rąk, poszukując mojej zguby. Jeden z milicjantów zapytał, kto zabrał mi zegarek. Natychmiast wskazałem sprawcę kradzieży. Milicjant jeszcze raz - obszukał chuligana i tym razem znalazł zegarek. Zdumiał się na jego widok, to była ta zabawka na gumce. Odwrócił się wtedy do swego kolegi, mówiąc: "Franek! Zobacz, co mu ukradli!" Potem obydwaj śmiali się, aż do łez. Zwrócili nam naszą własność. Chuliganów natomiast zabrali do Komendy.

- Nasi milicjanci na medal! Ale chciałbym zobaczyć ich miny, gdy ujrzeli ten twój zegarek - śmiał się Marek.

- Nie był to jeszcze koniec sprawy. W kilka tygodni później jeden z chuliganów poznał mnie na ulicy i trochę od niego oberwałem.

- A to łobuz! - rozgniewał się Marek. - Nie wiesz, gdzie on mieszka? Chętnie bym się z nim sam porachował!

Andrzej zaprzeczył ruchem głowy. Z wdzięcznością spoglądał na pewnego siebie, barczystego przyjaciela.

- No cóż, szkoda! Wiesz co? Mam pomysł. Obejdźmy jeszcze raz cały dom i sprawdźmy, czy wszystko dobrze pozamykane. Potem pójdziemy spać i burzliwa noc szybciej nam przejdzie.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - potaknął Andrzej. - Wciąż nie mogę zapomnieć o tych tajemniczych mężczyznach.

- Mnie też. oni stoją kością w gardle - przyznał Marek.

Ze swego tobołka wyjął finkę i latarkę elektryczną. Tak uzbrojony pierwszy wysunął się na korytarz. Andrzej zapalił światło. Po cichu zeszli na parter. Sprawdzili tylne wejście do domu. Drzwi były zamknięte na klucz. Potem pomyszkowali w kuchni i stołowym pokoju. Uspokojeni z powrotem znaleźli się w korytarzu. Marek przystanął przed dużymi, gładkimi drzwiami bez klamki. Tędy wiodła droga z części mieszkalnej domu do pracowni wynalazcy.

- Czy byłeś tam po wyjeździe ojca? - półgłosem zapytał Marek, głową wskazując drzwi.

Andrzej zaprzeczył.

- Więc nawet nie wiesz, czy drzwi wejściowe do hallu zostały dobrze zaryglowane? Powinniśmy sprawdzić!

Andrzej wahał się, nigdy dotąd nie wprowadził żadnego z kolegów do pracowni ojca. Czyż jednak nie znajdował się dzisiaj w niezwyklej sytuacji? Jacyś obcy ludzie szpiegowali dom. Czego mogli tu szukać? Czyżby wiedzieli o rewelacyjnym wynalazku ojca? Marek tymczasem jakby odgadując myśli przyjaciela szepnął:

- Ten facet pytał dzisiaj panią Mruczkową o pana profesora. Może to jego znajomy, a może członek jakiejś szajki. Czy poza pracownią pana profesora jest tu jeszcze coś w domu, co mogłoby nęcić tych mężczyzn? Czy może macie jakąś grubszą forszę?

- Ojciec nigdy nie trzyma pieniędzy w domu - zaprzeczył Andrzej. - Oszczędności ma na książeczce PKO. Tak najbezpieczniej.

- Racja, mój ojciec zawsze mówi, że gdyby miał forszę, to trzymałby ją tylko w państwowej kasie.

- Zajrzyjmy do hallu - nagle zadecydował Andrzej. - Zatkaj sobie uszy i... nie podsłuchuj. Muszę wypowiedzieć hasło otwierające drzwi. To jedna z tajemnic mego ojca, rozumiesz chyba?

- Słowo wodza Klubu Poszukiwaczy Przygód! - potwierdził Marek.

W obszernym, cichym hallu wszystko zastali w największym porządku. Zupełnie uspokojeni powrócili do pokoju Andrzeja i ułożyli się do snu.

Po jakimś czasie Andrzej przebudził się przestraszony złym snem. Śnił mu się mężczyzna o lisiej twarzy. Był w stroju czarnoksiężnika. Magicznymi zaklęciami otwierał wszystkie drzwi. Nawet pancerna kasa w pracowni ojca stanęła przed nim otworem. Właśnie do niej wpakował Andrzeja i Marka. Gdy ciężkie drzwi z hukiem odcięły ich od świata, Andrzej ocknął się z męczącego snu. Teraz leżał w łóżku oblany zimnym potem. Spod przeciwnej ściany rozbrzmiewało chrapanie Marka. To go nieco uspokoiło. Spojrzał na swój oryginalny budzik. Fosforyzujące wskazówki pozwoliły mu odczytać godzinę. Było kilka minut po dwunastej. Naraz w ciemnym pokoju rozbrzmiał dźwięk, jakby od uderzenia kamykiem o szybę. Andrzej drgnął i wlepił wzrok w ciemne okno. Po kilku chwilach pasemko jasnego światła musnęło szybę i przepadło w mroku nocy.

Andrzej zamarł w bezruchu. Czuł przyspieszone bicie własnego serca. Szybko jednak opanował podstępny strach. Cicho wyskoczył z łóżka i podbiegł do kanapy, na której spał Marek. Potrząsnął go za ramię. Na szczęście przyjaciel natychmiast przebudził się i usiadł na łóżku.

- Co się stało? - zapytał wystraszony. - Dlaczego nie śpisz? Zapal światło!

- Ciszej! - ostrzegł Andrzej. - Miałem okropny sen, a gdy przestraszony przebudziłem się...

- Mów prędko, co się stało?! - niecierpliwie ponaglił przyjaciel.

- Usłyszałem uderzenie o szybę w oknie, potem ktoś świecił latarką - szepnął Andrzej.

Marek zerwał się na równe nogi. Obydwaj na palcach podeszli do okna. Przyłgnąwszy niemal do framugi wpatrywali się w tonący w mroku ogród. Nagle Marek uszczypnął Andrzeja w ramię. U ich stóp na krótki moment mgliście błysnęło światło latarki, jakby osłanianej czyjąś dłonią. Wtem potężna błyskawica rozdarła czerń nieba. W jej świetle chłopcy ujrzeli tuż przy murze domu dwóch mężczyzn, których twarze kryły czarne maski. Głuchy grzmot przetoczył się w dali.

Dopiero po chwili przerażony Marek zdołał wydobyć z siebie zdławiony głos:

- Gdzie telefon? Trzeba dzwonić po milicję! Spiesz się, nie mamy czasu do stracenia!

- Za późno, jeden aparat znajduje się w gabinecie ojca, drugi natomiast jest w pracowni.

Nie odważę się pójść tam teraz - odparł zalekniony Andrzej.

Tajemnica wynalazcy

Andrzej i Marek stali przez jakiś czas bez ruchu porażeni strachem. Cóż zamierzali uczynić tajemniczy mężczyźni czający się w nocy koło domu?! Czyżby chcieli dokonać włamania? Andrzej gorączkowo szukał jakichś dróg ratunku. Nagle otrząsnął się z panicznego przestachu. Przypomniał sobie coś, o czym przecież jego przyjaciel nie wiedział. W pracowni czuwał Rob! Według zapewnień ojca, który nigdy nie rzucił słów na wiatr, wspaniały robot był przygotowany do obrony. Rob był uzbrojony... W szufladzie nocnego stolika znajdował się nadajnik. Nie ruszając się z własnego pokoju Andrzej mógł wydać odpowiednie polecenie nieustraszonemu sojusznikowi.

- Marek, Marek, nie bój się! Nie jesteśmy bezbronni - szepnął wzburzony do oniemiałego przyjaciela.

- Cóż możemy zrobić tą głupią finką?! - odszepnął Marek drżącym głosem.

- Nie o finkę chodzi - zaprzeczył Andrzej. - Natychmiast wezwę kogoś na pomoc. Tylko... nie przestrasz się...

Po ciemku podszedł do nocnego stolika. Pospieszenie wydobyl mały nadajnik, który otrzymał od ojca tuż przed wyjazdem. Otworzył pokrywke. Trzymając w ręku wtyczkę powtarzał w myśli instrukcję dotyczącą uruchamiania robota. Pamiętał ją doskonale.

- Co to jest?! Co ty robisz? - denerwował się Marek.

- Cicho! Nie przeszkadzaj! - zgromił go Andrzej.

Nie mógł zapalić światła, więc palcami odszukał na dnie nadajnika odpowiednią dziurkę i wcisnął w nią wtyczkę. Rob już był uruchomiony. Następnie włączył program wyjścia z pracowni, potem nadał jeszcze jeden rozkaz.

- Andrzej, zaalarmujmy dozorcę! - szeptem doradzał Marek.

- Dzwonek jest na dole przy tylnym wyjściu. Cicho, czy słyszysz?

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków kogoś wchodzącego na górę po schodach. Marek zalekniony cofnął się od drzwi. Wyszarpnął finkę z pochwy. Na szczęście Andrzej to zauważył.

- Schowaj nóż i nawet go nie dotykaj, bo stanie się coś złego! - ostrzegł.

- Ktoś idzie na górę, słyszysz? - gorączkowo mówił Marek.

- To sojusznik, schowaj nóż! On reaguje na widok broni! Jest uzbrojony...

Marek wciąż cofał się, w końcu przyłgnął plecami do ściany. Kroki ucichły tuż przed drzwiami. Andrzej otworzył je szeroko. W półmroku zarysowała się sylwetka wysokiego

mężczyzny. Wszedł do pokoju. Nerwy odmówiły Markowi posłuszeństwa. Niepomny grozy sytuacji zaświecił elektryczną latarkę.

- Pan profesor! - krzyknął oszołomiony nieoczekiwanym widokiem.

- Gaś światło! - szybko ostrzegł Andrzej.

Marek zgasił latarkę, po czym rzekł stłumionym głosem:

- Nie wiedziałem, że pan profesor już wrócił! Czemuś mi o tym od razu nie powiedział!

- Cicho bądź, to nie jest ojciec!

- Jak to?! Przecież widziałem...

- Cicho! To robot mego ojca! On go zrobił... To tylko sobowtór... Mówiłem ci kiedyś o... tajemnicy. Teraz już wiesz wszystko, później dokładniej wytłumaczę. Czy słyszysz?!

Gdzieś na parterze lekko trzasnęły drzwi.

- To w hallu - domyślił się Andrzej. - A więc weszli do domu...

Marek drżąc z podniecenia nieufnie wpatrywał się w ciemną sylwetkę niezwyklego obrońcy. To miał być robot! Tajemnica profesora-wynalazcy! Z takim sojusznikiem poczuł się znacznie pewniej. Włamywacze także przestraszyliby się na widok sztucznego człowieka. Ochłonawszy nieco zaczął nasłuchiwać.

- Nikt nie wchodzi do nas na górę - szepnął wprost do ucha przyjacielowi. - Co oni tam robią?!

- Pewno weszli do pracowni... - odrzekł Andrzej.

- Czyżby udało się im otworzyć drzwi?!

- Sam je otworzyłem, aby Rób mógł przyjść do nas - wyjaśnił Andrzej.- Po wyjściu robota drzwi do pracowni pozostają otwarte i zamykają się samoczynnie dopiero po jego powrocie.

- Czy naprawdę jesteś pewny, że robot dałby sobie radę z tymi złodziejami?

- Tak, jest uzbrojony.

Przez chwilę znów nasłuchiwali. Marek zmarszczywszy czoło rozmyślał o czymś, aż naraz odezwał się:

- Andrzej, zaryzykujmy i po cichu zejdźmy z robotem na dół!

- Usłysz nas od razu. On chodzi dość głośno.

Marek znów rozważał coś w myśli.

- Słuchaj, czy robot może poruszać się prędko? - zapytał po chwili.

- Po równej drodze nawet z szybkością do osiemdziesięciu kilometrów - odparł Andrzej.

- Ha, wobec tego spróbuję... Sam pójdę pospieszować. W razie niebezpieczeństwa,

krzyknę o pomoc. Wtedy biegnij z nim co tchu.

Marek na bosaka wysliznął się na korytarz. Ostrożnie zszedł po schodach na parter. Z drzwi otwartych do hallu wpadała smuga światła. Wychylił głowę zza futryny. Nie spostrzegł nikogo. Po przeciwnej stronie widać było stojące otworem wejście do pracowni. Cichutko przemknął przez hali. Przyczał się za jednym skrzydłem drzwi.

O kilka kroków od progu stał odwrócony plecami jakiś mężczyzna w kapeluszu nasuniętym na czoło. Prawą dłoń trzymał w kieszeni płaszcza. Jego towarzysz, również w kapeluszu i płaszczu, właśnie pochylał się nad długim stołem na środku pracowni. Twarz jego ukryta była pod czarną maską. Wyciągnął dłoń ku jakiemuś przyrządowi.

- Precz z rękoma! - ostrzegł mężczyzna odwrócony tyłem do Marka. - Możesz niechętnie uruchomić system alarmowy!

Ten drugi natychmiast cofnął się od stołu.

- Masz rację, to diabelski dom! - mruknął. Ostrożnie podszedł do parawanu. Za odsłoniętym jednym skrzydłem widać było jaskrawo oświetlony, pusty fotel.

- Skoro nie możesz otworzyć kasy, nic tu po nas - odezwał się ten odwrócony tyłem. - Nie wolno ryzykować !

- Wąsik zna się na takich zabawkach - mruknął drugi. - Licho wie, gdzie on teraz jest?

- Odszukasz Wąsika i razem z nim przyjdiesz w poniedziałek do Orbisu. Będę czekał o szóstej wieczorem, rozumiesz? - z naciskiem rzekł pierwszy. - A teraz zmykajmy! Uważaj, żeby wszystko pozostawić tak, jak było!

Marek nie miał czasu na ucieczkę. Odruchowo skrył się za szeroko otwartym skrzydłem drzwi. Przywarł do ściany wstrzymując oddech.

Mężczyźni cicho wyszli z pracowni. Jeden z nich wprawnie majstrował przy zamku frontowych drzwi. Po chwili wilgotne powietrze powiało w hallu. Lekko trzasnęły drzwi i światło zgasło samoczynnie. Marek pozostał sam. Drżącą dłonią otarł czoło z potu. Po omacku wbiegł po schodach na górę.

- No i co, no i co? - szepnął wystraszony Andrzej, gdy Marek wszedł do pokoju.

- Byli tam! Dwóch, ale już poszli... Obydwaj nosili w klapach żetony z błyskawicą - odparł Marek jeszcze drżącym z wrażenia głosem. - Daj mi trochę wody...

Andrzej podał mu karafkę ze stołu. Marek napił się, a potem wilgotną dłonią powiódł po czole zroszonym zimnym potem. Przez kilkanaście minut chłopcy siedzieli cicho. Pilnie wsłuchiwali się w odgłosy płynące spoza domu. Burza tymczasem z wolna mijała, grzmoty już tylko głucho rozbrzmiewały w dali. Niebawem deszcz przestał padać, na niebo wypłynął księżyc w pełni. Srebrzysta poświata wpełzła do pokoju i rozjaśniła nocny mrok.

Marek onieśmielony ciekawie zerkał na robota. Nieruchomy jak posąg, milczący sztuczny człowiek sprawiał na nim niesamowite wrażenie. Toteż nie mógł usiedzieć spokojnie i wkrótce odezwał się do Andrzeja:

- Chyba możemy już zapalić światło. Oni dzisiaj nie wrócą... Umówili się dopiero na poniedziałek. Będą o szóstej w Orbisie.

- Czy jesteś tego pewny?

- Tak, przecież podsłuchałem rozmowę. Nie umieli otworzyć kasy twego ojca. Chcą poszukać jakiegoś... Wąsika.

- I z nim mają spotkać się w poniedziałek?

- Tak, w Orbisie o szóstej.

- A więc do tego czasu nic nam od nich nie grozi - z ulgą w głosie powiedział Andrzej. Po omacku podszedł do nocnego stoliczka. Zapalił lampę.

Marek wlepił pełen niedowierzania wzrok w nieruchomego robota stojącego przy ścianie w pobliżu drzwi. Syntetyczny człowiek stanowił wierną kopię profesora Rawy, swego twórcy. Z lekko zwróconą ku drzwiom głową zdawał się nasłuchiwać jakichś odgłosów z korytarza.

Obydwaj chłopcy w napięciu przyglądali się robotowi. W końcu Marek pierwszy odezwał się półgłosem:

- Jak łudząco jest on podobny do twego ojca! Wciąż mam wrażenie, że zaraz poruszy się i przemówi do nas... Czy naprawdę jesteś pewny, że to tylko sztuczny sobowtór...?

- Nie bój się, Marek! To naprawdę robot. Ojciec budował go przez kilka lat, wciąż ulepszał, wyposażał w nowe umiejętności. Często obserwowałem go przy tej niezwyklej pracy.

- Patrz, on wygląda, jakby czegoś nasłuchiwał... - szeptem powiedział Marek. - To... niesamowite!

- Skoro musiałem ujawnić ci istnienie tego niezwyklego sobowtóra, mogę teraz przyznać się, że w jego obecności, mimo wszystko, zawsze odczuwam jakieś dziwne onieśmielenie - rzekł Andrzej. - Czasem nawet strach mnie ogarnia. On we wszystkim naśladuje mego ojca. Ten sam wygląd, budowa, postawa, głos i nawet zachowanie się. Gdybyś mógł ujrzeć ich obojgu jednocześnie, zrozumiałbyś mój lęk...

- Trudno ci się dziwić. Mnie również on przeraża - szczerze powiedział Marek. - Wolałbym, żeby się poruszał, coś robił. Może wtedy nie byłby tak podobny do żywego człowieka.

- Jeśli chcesz, to mogę go uruchomić - zaproponował Andrzej. - Jednak w ruchu jeszcze bardziej przypomina ojca.

- Nie, nie! - pospiesznie zaproponował Marek. - Już lepiej niech będzie tak jak jest teraz!
Daj mi tylko trochę czasu, to się oswoję z jego widokiem i przyzwyczaję.

- Dobrze, dobrze, może naprawdę tak jest lepiej - rzekł Andrzej.

Przez jakiś czas obydwaj przyglądali się sobowtórowi. Potem Marek usiadł na Andrzeja łóżku, które stało najdalej od drzwi. Trochę już ośmielony brakiem reakcji ze strony robota, odezwał się:

- Andrzej, czy ktoś obcy już widział tego sobowtóra?

- Nigdy - zaprzeczył przyjaciel. - W każdym bądź razie nikt poza nami dwoma i moim ojcem nie wie o jego istnieniu.

- Do czego on jest potrzebny twemu ojcu?

- Tatuś wypróbowuje na nim swoje wynalazki z dziedziny automatyki i sterowania.

- Rozumiem, ale dlaczego nadał mu ludzkie kształty i to niezwykle podobieństwo do siebie? Czy to było , konieczne dla dokonywania prób?

- Nie, przecież sam nieraz pytałem go o to samo.

- Więc dlaczego to zrobił? - nalegał Marek.

- Nigdy nie odpowiedział mi jasno na moje pytania. Domyślam się jednak, że widok Roba sprawia mu wielką przyjemność. Zapewne cieszy go, że potrafił zbudować tak pomysłową i precyzyjną maszynę.

- Maszynę?! - zdumiał się Marek.

- Tak, właśnie tak, maszynę, a raczej wiele różnych pomysłowych urządzeń i różnych aparatów w jednej maszynie. Rob może wykonywać rozmaite czynności. Ojciec twierdzi, że Rob jest już naprawdę bardzo inteligentny.

- Czy możesz mi zdradzić, co on potrafi robić?

- Przede wszystkim może zachowywać się jak żywy człowiek. Porusza swobodnie wszystkimi członkami. chodzi, siada, wstaje, mówi, śpiewa, łyka płyny, dokonuje zdjęć fotograficznych, spełnia rolę magnetofonu, a nawet nieraz pomaga ojcu w jego pracy doświadczalnej.

- Aż trudno w to uwierzyć! - powiedział Marek i znów nieufnie zerknął w stronę genialnego robota. Po chwili zapytał - Andrzej, czy on jest silny?

- Bardzo. Z łatwością podnosi ciężar wagi do dwustu kilogramów.

- Mówiłeś o magnetofonie i fotografowaniu, czy to prawda?

- Posiada słuch wielokroć czulszy od ludzkiego i pamięć, w której zapisuje słyszane rozmowy. Fotografuje wspaniale, nawet nie zauważysz, kiedy zrobi ci zdjęcie. Często sekretarzuje mojemu ojcu.

- Naprawdę nie bujasz?!

- Jak kocham mego ojca! - uroczyście zapewnił Andrzej.

Marek nagle zerwał się z łóżka olśniony jakimś pomysłem.

- Andrzej, czy robot mógłby chodzić po mieście i udawać pana profesora? - zawołał przyciszonym głosem.

- Tatusz już robił takie próby i potem cieszył się bardzo, gdy wprowadzał wszystkich w błąd. Rob jest wspaniały!

Marek podniecony pochylił się ku przyjacielowi i rzekł:

- Ci podejrzani osobnicy chcą dostać się do pancерnej kasy twego ojca. Na pewno wiedzą, że wyjechał za granicę. Może nawet specjalnie na to oczekiwali, aby skorzystać z jego nieobecności? Gdyby jednak teraz zobaczyli pana profesora w Katowicach, zapewne obawialiby się dokonać włamania!

Andrzej mocno zaskoczony spoglądał na Marka, który cicho mówił:

- Gdyby robot mógł pójść w poniedziałek do Orbisu, ci tajemniczy mężczyźni pomyśleliby, że pan profesor wrócił nieoczekiwanie i na pewno zrezygnowaliby z dokonania włamania.

- Nie bierzesz pod uwagę, że oni w ogóle mogą nie znać mego ojca i nie wiedzieć jak wygląda - zauważył Andrzej.

- To prawda, o tym nie pomyślałem. Ale i na to jest rada. Jeśli nie znają osobiście twego ojca, to sobowtór mógłby sfotografować ich i podsłuchać całą rozmowę. Nie, nie, to nie ma sensu. Nic z tego. Przecież robot sam nie odszuka ich w kawiarni, a nas oni już znają.

Andrzej przez cały czas z wielką uwagą przysłuchiwał się wywodom przyjaciela. Naraz schwycił go za rękę, wołając:

- Słuchaj, żeton Wiercipięty! To na pewno ich znak rozpoznawczy!

- Też tak myślę, ale cóż z tego wynika? - odparł Marek wzruszając ramionami. - To nam nic nie da.

- Czekaj, jeszcze nie skończyłem! - zaproponował Andrzej. - Znak błyskawicy na żetonie jest jakby fosforyzowany, połyskuje, rozumiesz? Wydaje mi się, że mógłbym uczulić Roba na taką odznakę. Wtedy robot mógłby ich z łatwością odszukać w kawiarni, podsłuchać, co spiskują i sfotografować.

- Ależ to byłoby wprost genialne! - porywczo zawołał Marek. - Mielibyśmy niezbite dowody rzeczowe dla milicji. Klub nasz od razu stałby się sławny w całej Polsce, a może nawet i za granicą! Czy wyobrażasz sobie tytuły artykułów, jakie ukazałyby się potem w gazetach? Posłuchaj, jak brzmiałyby cudownie: Marek Ciesielski - król polskich detektywów! Albo: Klub

Poszukiwaczy Przygód postrachem groźnych włamywaczy! Prawdziwa sensacja! Mielibyśmy murowane posady w milicji.

Andrzej rozognionym wzrokiem spoglądał na przyjaciela. Jego zapalę udzielił się i jemu. Wkrótce jednak powątpiewająco pokręcił głową i powiedział:

- Gdyby nawet udało mi się uczulić Roba na tę odznakę, kto mu powie, kiedy ma wyjść z kawiarni? To jeszcze można by jakoś urządzić, lecz polecenie, aby fotografował i podsłuchiwał mógłby wydać jedynie ktoś, kto by mu towarzyszył. Ojciec na pewno dałby sobie radę i z tym również, ale ja nie potrafię. Szkoda, że nikt z nas nie może z nim pójść...

- Więc nie znasz wszystkich tajników tego sobowtóra? - zmartwił się Marek.

- Mój drogi, przecież ojciec strawił na budowę robota kilka długich lat! W tym jednym modelu zgrupował kilkanaście różnych, niezwykle pomysłowych i skomplikowanych urządzeń własnego pomysłu - tłumaczył Andrzej. - Czy ty wiesz, co się znajduje w jego wnętrzu? Tylko ojciec zna wszystkie jego tajemnice.

- Więc nie wiesz wszystkiego o tym robocie? - zapytał Marek, zerkając ku nieruchomej postaci.

- Oczywiście, że nie wiem! Dopiero w dniu wyjazdu ojca do Londynu dowiedziałem się, że Rob na widok broni automatycznie strzela pociskami oszłamiającymi. Skąd więc mogę być pewny, że ojciec nie umieścił w nim jeszcze innych programów działania?

- Czy on może robić coś takiego, czego ty się nie spodziewasz?

- Jestem tego pewny!

- To może nawet teraz nas podsłuchiwać i później powtórzyć twemu ojcu?!

- To jest możliwe.

- I nie obawiasz się, że ojciec natrze ci uszu? Pewno i ja bym oberwał!

- Przecież nie wezwałem tutaj Roba dla zabawy - odparł Andrzej. - Chcemy ustrzec pracownię ojca przed włamaniem.

- Racja, święta racja! Taki mądry człowiek, jak pan profesor powinien nas pochwalić - powiedział Marek dość głośno, sądząc, że jeśli robot ich podsłuchuje i powtórzy wszystko, to takim powiedzeniem może złagodzić gniew wynalazcy.

Przez jakiś czas siedzieli cicho, po czym Marek uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

- Czekaj, mam wspaniałą myśl! Przecież te dwa typki nie widziały Wiercipięty! Czy potrafisz tak urządzić, aby ona mogła kierować robotem?

- Tak, to jest możliwe - odparł Andrzej po namyśle. - Ba, ale wtedy musielibyśmy zdradzić jej i Maćkowi tajemnicę mego ojca!

- Przecież oni są waszymi krewnymi! Poza tym złożą uroczyste przyrzeczenie, że będą

trzymali języki za zębami, aż do powrotu pana profesora. Coś musimy zrobić! Jeśli od razu powiadomimy milicję, to sprawa robota i tak się wyda, gdy złożymy zeznania. W obecnych warunkach tylko w waszym domu mogłaby milicja urządzić zasadzkę na włamywaczy.

- Masz rację, musimy udaremnić włamanie. W takiej sytuacji, jedynie Bożena może wyratować nas z matni.

- Omówmy szczegółowo plan działania - zaproponował Marek.

Burzliwa narada obydwóch przyjaciół trwała aż do świtu. Dopiero o wschodzie słońca Andrzej odesłał Roba do pracowni, by nie zdradzić jego istnienia przed panią Mruczkową.

“Sztuczny wujek”

Zaraz po śniadaniu w niedzielę Bożena i Maciek przybiegli do swoich przyjaciół, których tajemnicze miny oraz zaczerwienione oczy po bezsennej nocy widomie świadczyły, że zaszło coś nieoczekiwanego.

- Nie mogliśmy przyjść na naradę wczoraj, rodzice nie pozwolili - poinformował Maciek.

- Wszystko przez tę burzę - dodała Bożena. - Chowałam głowę pod poduszkę, gdy były pioruny. Wy pewno też się porządnie wystraszyliście, bo wyglądacie jakby was duchy straszły przez całą noc!

- Nie chciałabyś znajdować się w tym domu z nami podczas burzy, szczególnie tej minionej nocy... - ofuknął ją Marek.

- Czy ja mówię, że chciałabym?! Czego się zaraz przyczepiasz?!

- Uspokójcie się, nie pora na przekomarzanie - poważnie powiedział Andrzej. - Znajdowaliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Od razu odniosłem wrażenie, że przydarzyło się wam coś niezwykłego - wtrącił Maciek. - Mówcie zaraz, co się stało!

- Powiedzcie nam, powiedzcie jak najprędzej, bo umieram z ciekawości - zawtórowała Bożena.

- Co nagle to po diable! - ostudził ich Marek. - Najpierw musicie złożyć przysięgę, że nikomu nie zdradzicie naszej tajemnicy.

- Zrobię, co chcecie, ale mówcie prędko! - zawołała podniecona dziewczynka.

Marek zgromił ją surowym spojrzeniem. Po chwili rozkazał:

- Andrzej, ułóż odpowiednią przysięgę, to nie tylko nasza tajemnica!

- Ja mu pomogę, dobrze znam ortografię! - zaofiarowała swe usługi Bożena.

- Dobrze, Andrzej ci podyktuje - przyzwolił Marek, aby uspokoić żądną czynu członkinię Klubu.

Bożena usiadła przy stole. Andrzej podsunął jej papier i ołówek, po czym zaczął mówić:

“Jako członek Klubu Poszukiwaczy Przygód potwierdzam własnoręcznym podpisem, że wszystko, co usłyszę i zobaczę zachowam w ścisłej tajemnicy i nie zdradzę nikomu, nawet gdyby brano mnie na męczarnie...”

- Zaraz, zaraz, mądralo! Wszystko wytrzymam, ale jak mnie ktoś zacznie łaskotać, to co

mam zrobić?! - zaproponowała Bożena. - Wiecie, że nie jestem nic a nic wytrzymała na łaskotanie!

- Nie bój się, nikt z nas tego nie będzie ci robił do czasu obowiązywania tajemnicy, a tamci mężczyźni nie wiedzą, że jesteś czuła na łaskotki - wyjaśnił Marek,

- Ach, to o tych mężczyzn z odznakami chodzi! Skoro tak, to zgoda - oświadczyła Bożena trawiona kobiecą ciekawością. - Dyktuj dalej!

“Do czasu zwolnienia z przysięgi, każdy członek Klubu milczy jak grób, a gdyby ktoś dopuścił się zdrady...”

- Już wiem: będzie do końca życia, nawet gdyby żył sto lat, zmywał garnki po obiedzie!
- poddała myśl Bożena.

- To za lekka kara - sprzeciwił się Marek. - Gdy chodzi o wielkie tajemnice, kary muszą być znacznie surowsze!

- Czytałem w jednej książce, że spiskowcy karali zdrajców śmiercią - ściszym głosem powiedział Maciek.

- Też mi głupi pomysł! - oburzyła się Bożena. - Bałeś się zabić szczura schwytanego w pułapkę w naszej piwnicy! Tatuś musiał utopić go w wiadrze z wodą.

- Ten szczur był prawie tak duży jak kot, a poza tym nie lubię dręczyć zwierząt - usprawiedliwił się Maciek.

- Ja tam nie podejmuję się zabić któregoś z was, nawet jeśli zdradził - stwierdziła Bożena.

- Nie kłóćcie się, już wymyśliłem karę, pisz Bożena! - polecił Andrzej i rozpoczął dyktowanie:

“...gdyby ktoś zdradził, będzie na zawsze usunięty z Klubu Poszukiwaczy Przygód, nikt nie poda mu ręki, nie pomoże w nauce, a ponadto zdrajca nie może przez cały rok zjeść ani jednego ciastka, ani cukierka”.

- A czekoladkę? - zapytała zaniepokojona Bożena, ponieważ przepadała za słodyczami.

- Też nie! - odparł Andrzej, albowiem ten ostatni punkt przysięgi wymyślił specjalnie ze względu na cioteczną siostrę.

- Czy nawet wtedy, gdy go ktoś poczęstuje? To niegrzecznie odmawiać - dopytywała się Bożena.

- Jak nie wolno, to nie wolno, rozumiesz?! - potwierdził Marek.

- Ha, trudno! Niech będzie... - z żalem zgodziła się dziewczynka.

Wkrótce przysięga została przypiętowana podpisami i członkowie Klubu rozpoczęli

naradę. Marek przede wszystkim szczegółowo opowiedział niezwykle, nocne wydarzenia. Bożena i Maciek co chwila przerywali mu okrzykami przestachu i niedowierzania. Najwięcej jednak byli poruszeni wiadomością o robocie, sobowtórze profesora-wynalazcy.

- Nie uwierzę w to wszystko, dopóki sama na własne oczy nie ujrzę tego robota - porywczo oświadczyła Bożena, gdy Marek zakończył sprawozdanie. - Nawet najdoskonalsza maszyna nie może być tak bardzo podobna do wujka, żeby ich nie odróżniła!

- Nie bądź tak pewna siebie! - ostrzegł Marek. - Przedtem mnie też się tak wydawało!

- W nocy można nie spostrzec różnicy - zauważył Maciek. - Przekonasz się, Marku, że w dzień będzie inaczej. Już słyszałem, jak rodzice rozmawiali kiedyś na temat wujka wynalazków. Oni domyślają się, że wujek posiada różne tajemnice w swojej pracowni. Dlatego tam nikogo nie wpuszcza.

- Ci mężczyźni z odznakami na pewno dlatego chcą dostać się do waszej pancernej kasy - domyśliła się Bożena.

- Sęć w tym, że jeszcze nie wiemy, co oni chcą z niej ukraść - powiedział Marek.

- Tego właśnie chcielibyśmy się teraz dowiedzieć - dodał Andrzej. - Nadarza się nam doskonała sposobność.

- Jaka to sposobność? W jaki sposób chcecie dowiedzieć się od nich, co zamierzają? - ciekawiła się Bożena.

Obydwaj bohaterzy nocnych wydarzeń uznali, iż nadeszła chwila na ujawnienie swoich planów. Uczynił to Marek.

Bożena w lot pojęła, że chłopcy chcieli jej właśnie narzucić odpowiedzialną, a zapewne i niebezpieczną rolę przewodnika robota. Toteż umilkła zalękniona i spoważniała. Od razu też powzięła pewne postanowienie, lecz na razie nic nie powiedziała, odkładając to na później. Nie mogła przecież zrezygnować z obejrzenia robota.

- Wiecie już wszystko - mówił Marek. - Teraz Andrzej pokaże nam sobowtóra.

- Dobrze, chodźcie do pracowni, ale pamiętajcie o przysiędze - odparł Andrzej i poprowadził swych przyjaciół. Wydawało mu się, że postępuje słusznie w tak niezwyklej sytuacji.

Czwórka dzieci ostrożnie wśliznęła się do pracowni wynalazcy. Podejrliwym wzrokiem zerkali na nie znane im przyrządy i urządzenia. Prawie na palcach zbliżyli się do dużego, czteroskrzydłowego parawanu.

Nieruchomy, milczący sobowtór profesora Rawy siedzący w fotelu sprawił szczególnie na Maćku i Bożenie wprost niesamowite wrażenie. Osłupieli i nie mogli wydobyć głosu z drżących ust. Marek bohatercko nadrabiał miną, lecz i on, aczkolwiek widział robota już po raz

drugi, odczuwał olbrzymie onieśmienie w jego obecności.

Po jakimś czasie, dzięki wyjaśnieniom Andrzeja, chłopcy ośmielili się nieco. Z bliska oglądali Roba, podziwiali jego ludzkie podobieństwo do profesora-wynalazcy. Wszakże Bożena przez cały czas stała na uboczu, Zaleknie przysłuchiwała się rozmowie chłopców, którzy całkowicie nabrali pewności, że złoczyńcy nie spostrzegą podstępu na swej schadzce w kawiarni.

W miarę poznawania zamiarów swych towarzyszy Bożena stawała się coraz bardziej niespokojna, aż w końcu zatrwożona zawołała:

- To wy naprawdę przypuszczacie, że pójde sama z tym sztucznym wujkiem do Orbisu!? Nic z tego, zakichani bohaterzy! Ciarki latają mi po plecach na sam jego widok! Czy nigdy nie słyszeliście o zbuntowanych robotach?! One zabijały nawet swoich konstruktorów! Cwaniaki, niech któryś z was sam z nim i pójdzie!

- Czy nie wstyd ci mówić podobne niedorzeczności? - oburzył się Andrzej. - Nawet najgenialniejszy robot jest tylko bardzo pomyslową maszyną i może robić jedynie to, do czego został zbudowany przez człowieka.

- Kłamiesz! - impulsywnie zaprzeczyła dziewczynka. - Czytałam książkę o takim zbuntowanym robocie!

- Tylko pisarze fantastycznych powieści mogli wymyślić podobne bzdury - kategorycznie odparł Andrzej.

- W każdym kłamstwie jest część prawdy - mruknął Maciek.

- Zaraz wam wyjaśnię skąd się wzięły te śmieszne bajki - powiedział Andrzej. - Otóż w 1933 roku w Chicago w Stanach Zjednoczonych był demonstrowany olbrzymi robot zbudowany na wzór człowieka. Wygłaszał wykład anatomiczny i jednocześnie rozpinał kamizelkę, odsłaniając przeźroczystą pierś i brzuch, zawierające wewnątrz sztuczne ludzkie organy, Omawiając ich budowę i czynności, wskazywał je palcem.

Zanim przewieziono robota z pracowni na teren wystawy, inżynier-konstruktor zauważył jeszcze jakąś niedokręconą śrubę. Pochylił się, aby ją dokręcić, a wówczas robot nieoczekiwanie opuścił na jego głowę swą potężną, stalową rękę. Nieszczęsny konstruktor zmarł w szpitalu. Najprawdopodobniej sam niechcący uruchomił w jakiś sposób mechanizm i spowodował tragiczny wypadek. Na tym właśnie tle powstały później najrozmaitsze fantastyczne opowiadania.

- Nie myśl tylko, że mnie tym uspokoiłeś! - broniła się dziewczynka. - Sztucznemu wujkowi też może odkręcić się jakaś śrubka. Nie rozumiem, po co poważni naukowcy robią sztucznych ludzi! Czy za mało jest prawdziwych? Dawniej nikt nie myślał nawet o budowaniu

takich niesamowitych straszyle!

- A więc powiem ci, Bożenko, że się mylisz - żywo zaprzeczył Andrzej. - Już od najdawniejszych czasów ludzie usiłowali stworzyć sztucznego człowieka, a także próbowali zabezpieczać różne tajemnicze budowle, umieszczając w nich pomysłowe automatyczne urządzenia.

- Przejrzałam cię! Bujasz, żeby mnie nakłonić do pójścia ze sztucznym wujkiem do kawiarni! - niedowierzająco zawołała Bożena.

- Nie bujam, jak ojca kocham! - zaprzeczył Andrzej.

- Jeśli wiesz coś o tym, to opowiedz nam - zaproponował Marek. Lubił niezwykle opowieści, a ponadto sądził, że w ten sposób najłatwiej zdołają przełamać opór Bożeny.

- Mów, Andrzej, mów! - poprosił Maciek.

- Dobrze, posłuchajcie. Już na dwa tysiące lat przed naszą erą chińscy rzemieślnicy umieli konstruować smoki o ruchomych ogonach i zięjące z paszczy ogniem i dymem. Budowali także fruujące i śpiewające ptaki, lecz nikomu nie zdradzali tajemnic konstrukcyjnych.

Mityczny grecki budowniczy, rzeźbiarz, a zarazem i doskonały mechanik, Dedal¹⁴, zamieszkały w Atenach, był konstruktorem różnych figur wyobrażających ludzi i bogów, które mogły wykonywać pewne ruchy. Arystoteles¹⁵ opisał zbudowaną przez Dedala figurę bogini Wenus. Jej członki wyrzeźbione w drzewie były wydrążone we wnętrzu i napełnione rtęcią. Pomysłowe urządzenie powodowało przelewanie się żywego srebra z jednej części figury do drugiej, powodując tym samym wykonywanie pewnych ruchów przez boginię.

Egipcjanie i Grecy budowali wiele różnych niby to cudownych urządzeń. Instalowali je w świątyniach, by przy ich pomocy olśniewać wiernych cudami, a niektórzy królowie również posługiwali się nimi dla własnej obrony.

W Ameryce Południowej Majowie, Inkowie i Aztecy posiadali bardzo pomysłowe urządzenia, otwierające bramy świątyń, powodujące ukazywanie się na ołtarzach i znikanie bóstw oraz zamykające wejścia do grobowców swoich władców. Niewiele jednak wiemy o nich, ponieważ zakonnicy towarzyszący hiszpańskiemu wojsku uważali je za twory szatana i bezmyślnie niszczyli pomysłowe mechanizmy, nawet ich nie badając.

¹⁴ Dedal uważany jest za wynalazcę wielu narzędzi technicznych jak: piły, siekiery, świdra, węgielnicy, pionu itd. Był również twórcą słynnego labiryntu na Krecie.

¹⁵ Arystoteles (ur. w 384 r. p.n.e.) - filozof grecki, najwszechstronniejszy myśliciel i uczonej starożytności.

Ciekawe opisy starożytnych urządzeń automatycznych zamieścił Heron z Aleksandrii¹⁶ w swoim dziele "O automatach". Znalaziono w nim opis jednego z urządzeń w starożytnych świątyniach egipskich, poruszającego grupę figur. Opisał także szereg ciekawych mechanizmów napędzanych sprężonym lub nagrzany powietrzem albo parą. Automaty te służyły do tajemniczego otwierania drzwi, do napędu marionetek oraz do sprzedaży wina i święconej wody.

- Jesteś prawdziwą encyklopedią w tej dziedzinie! - wtrącił Marek oszołomiony wiadomościami kolegi.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - z podziwem zawołała Bożena.

- Ojciec często opowiada mi o tych rzeczach i wskazuje książki, w których można o nich czytać.

- No tak, wujek musi znać historię tych cudaczných kukieł, skoro sam również je buduje - stwierdziła Bożena.

- Nie przeszkadzajcie! - zgromił ich Maciek. - Mów dalej, Andrzeju!

- W arabskich i perskich kronikach z tamtych czasów zachowało się wiele opisów o niezwykłych przedmiotach. Na ich to podstawie w średniowieczu próbowano budować różne mechanizmy. Szczególnie, gdy rozwijała się sztuka zegarmistrzowska, budowano różne kukły poruszane sprężyną. Nawet tak wybitni ludzie nauki, jak Albertus Magnus¹⁷, Roger Bacon¹⁸ i Kartezjusz¹⁹ rozważali możliwość zbudowania syntetycznego człowieka. Początkowo wyobrażano go sobie jako metalowego robota o graniastej głowie.

- Jestem ciekaw, kto pierwszy nazwał automatyczną maszynę robotem? - zapytał Marek.

- Był to współczesny nam czeski pisarz Karel Capek, który w dramacie pod tytułem

¹⁶ Heron (około 1 wieku p.n.e.) - grecki mechanik, matematyk i wynalazca. Wiele jego prac poświęconych było mechanice. Zawierały oprócz opisów jego własnych wynalazków, całą ówczesną wiedzę z tej dziedziny. Opisał nawet maszyny do miotania pocisków.

¹⁷ Albertus Magnus (Albert Wielki, Albert von Bollstadt, żył na początku XIII w.) - niemiecki teolog i filozof, nauczyciel Tomasza z Akwinu, jeden z najbardziej wszechstronnych uczonych średniowiecza.

¹⁸ Roger Bacon (żył w XIII w.) - angielski filozof, uczonek, przyrodnik i alchemik. Między innymi opracował teorię szkieł wypukłych, przewidywał wynalazek soczewek, mikroskopu i teleskopu, jako jeden z pierwszych w Europie pisał o igle magnetycznej, o wyrobie i użyciu prochu strzelniczego, wysuwał szereg pomysłów wynalazków technicznych, jak okrętu bez żagli, maszyny latającej, pojazdu mechanicznego itp.

¹⁹ Kartezjusz, Descartes Rene (wiek XVII) - ojciec nowożytnej filozofii, racjonalista, francuski fizyk i matematyk, twórca geometrii analitycznej. Świat fizyczny pojmował w sposób mechanistyczny, a zwierzęta uważał za maszyny.

“R.U.R.” pierwszy użył tego słowa.

- Dlaczego wynalazcy starali się nadawać swoim automatom kształty ludzkie? - zaciekał się Maciek.

- Dopiero w naszym wieku rozwój techniki udowodnił, że użyteczność maszyny dla człowieka wcale nie jest uzależniona od posiadania przez nią kształtów podobnych do ludzkich. Podczas drugiej wojny światowej poczyniono wiele niezwykłych wynalazków. Dzięki nim powstała nowa nauka, zwana cybernetyką. Zajmuje się ona budową maszyn “inteligentnych”, naśladujących i zastępujących człowieka. Dlatego też i mój ojciec musi prowadzić badania związane z przekazywaniem informacji, z łącznością i sterowaniem.

- Powiedziałeś, że teraz nie potrzeba nikomu maszyn udających ludzi, a tymczasem wujek zbudował w tajemnicy swego sobowtóra, a ty wciąż majstrujesz sztuczne zwierzęta - z uporem mówiła Bożena. - Kręcisz, mój drogi! Specjalnie budujecie takie roboty, żeby straszyć ludzi.

- Wcale nie kręcę! Cybernetycy konstruują urządzenia naśladujące zachowanie się żywych organizmów, gdyż chcą sprawdzić, jakimi najprostszymi środkami można odtwarzać procesy przekazywania informacji, występujące w prawdziwym żywym organizmie.

- A ja myślę, że co maszyna to maszyna, a człowiek jest człowiekiem - filozofowała Bożena.

- Masz rację, bo w porównaniu nawet z najprostszym żywym organizmem najcudowniejsza nowoczesna maszyna okazuje się bardzo prymitywna. Mimo to wszystkie procesy biologiczne mają źródło w materii i są procesami fizycznymi i chemicznymi. Dlatego też mogą być naśladowane środkami materialnymi.

- Baję, baję, będziesz w raju! I tak nic z tego nie rozumiem.

- Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ni razu - rozgniewał się Marek. - Taki robot jest naprawdę wspaniałym wynalazkiem! Andrzej tak to jasno wyklarował, że mógłbym pojechać z panem profesorem na zjazd cybernetyków do Londynu. Nawet zakuty ciemniak już by to zrozumiał. A teraz, powiedz krótko: pójdziesz do Orbisu, czy nie? Klub nasz podjął akcję pilnowania domu pana profesora i nie powinniśmy się łącać.

- Ho, ho! Może znów chcesz mi grozić wyrzuceniem z Klubu? A kto znalazł żeton ze złotą błyskawicą, co? Bez żetonu sztuczny wujek nie mógłby śledzić tych złodziei!

- Więc? Idziesz, czy nie? - nalegał Marek. - Wasza lodówka z termostatem także jest robotem. Czy bałabyś się pójść z nią do Orbisu? Sztuczny wujek jest takim samym robotem, jak lodówka, tylko ma inny program działania. Rozumiesz?

- Wolałabym pójść z... lodówką - szczerze wyznała Bożena. - Ona nie wygląda tak...

strasznie. Dajcie mi parę minut do namysłu.

- Dobra, dajemy ci cały kwadrans - pojednawczo wtrącił Maciek.

Odwrócił się plecami do siostry. Mrugnawszy znacząco do przyjaciół, zaczął dyskutować o sławie, jaka miała przypaść im w roli detektywów. Bożena pilnie nadstawiała ucha, toteż gdy upłynął czas namysłu, zdecydowała:

- Pójdę z tym sztucznym wujkiem do Orbisu, ale pod warunkiem, że wy będziecie w pobliżu. Bo jeśli mu przypadkiem odkręci się jakaś śrubka, to zwieję zaraz i go zostawię.

- Nareszcie gadasz rozsądnie - pochwalił Marek. - A więc bierzmy się do dzieła!

Niezwykły wywiadowca

Andrzej zdjął sweter i zakasał rękawy koszuli. Potem rozpiął odzienie na piersi sobowtóra. Błysnął stalowy pancerz. Andrzej ostrożnie wsunął dłoń pod pachę cybernetycznego człowieka. Jedno naciśnięcie ukrytego przełącznika otworzyło stalową pierś niczym wierzeje bramy. Wnętrze piersi robota zawierało niezmiernie skomplikowaną aparaturę. Miniaturowe tablice rozdzielcze, wyposażone w dziesiątki maleńkich żaróweczek, podobnych do radiowych, łączyły niezliczone zwoje kolorowych przewodników. Wśród nich widać było różne kółka i jakieś dźwignie, anteny oraz inne skomplikowane mechanizmy.

Trójka przyjaciół niezmiernie zaintrygowana przybliżyła się do Andrzeja. Robot-sobowtór obecnie nie wzbudzał już w nich takiego lęku. Szeroko otwarta, stalowa pierś wyglądała jak wnętrze radia lub telewizora. Nawet Bożena nieco poweselała i nabrała odwagi.

- Patrzcie, to zupełnie jest podobne do magnetofonu - odezwała się zdumiona, pokazując dwa kółka z nawiniętą taśmą.

- Zgadłaś, to właśnie magnetofon - potwierdził Andrzej, w skupieniu manipulując palcami w zwojach przewodników. Mechanizm robota był bardzo skomplikowany, a Andrzej nie znał wszystkich jego tajemnic. Tylko dzięki wskazówkom ojca orientował się w najprostszycch urządzeniach.

- Czy on naprawdę zrozumie, co będę do niego mówiła? - niedowierzająco zapytała Bożena.

- Nie, lecz przyjrzyj się guziczkom na rękawach jego marynarki - odpowiedział Andrzej.

- Okrągłe, grube i w środku wypukłe - po chwili orzekła Bożena.

- To na pewno przełączniki włączające odpowiedni program działania - zawołał Marek.

- Tak, to przełączniki. Naciśniesz odpowiedni guzik we właściwej chwili i Rob natychmiast wykona twoje polecenie - wyjaśnił Andrzej. - Poza tym będziesz mogła sterować nim również z daleka za pomocą specjalnego nadajnika.

- Ależ to niezmiernie łatwe! - Z podziwem wtrącił Maciek. - Możesz na przykład udać, że dotykasz jego ręki i jednocześnie nacisnąć guzik!

- Rozumiem, rozumiem - potaknęła Bożena. - Czy on sam potrafi odszukać tamtych ludzi w kawiarni?

- Będę się starał przygotować taki program działania dla Roba. Potem urządzimy tutaj próbę - powiedział Andrzej.

- Oby tylko wypadła pomyślnie - wtrącił Marek. - Wiercipięta miałyby łatwiejsze zadanie!

Bożena westchnęła cichutko. Wiedziała, że czeka ją nie lada przeżycie! Bała się tego “sztucznego wujka”, mimo zapewnień chłopców, że nic jej nie będzie groziło.

Gdyby nie obawa przed możliwością wykluczenia z całej akcji, bez namysłu odmówiłaby pójścia z robotem do kawiarni.

Trzy godziny minęły jak jedna chwilka. Rodzeństwo pobiegło do domu na obiad, a Andrzej bez wytchnienia majstrował przy sobowtórze. Przygotowanie nowego programu działania dla Roba nie było łatwym zadaniem, bowiem chłopiec drżał z obawy, by nie uszkodzić mechanizmu robota, nad którego konstrukcją ojciec jego spędził szereg lat. Z pracowni wymknął się tylko na czas obiadu, potem znów powrócił do niej z Markiem. Toteż gdy Maciek z Bożeną przybyli po południu, Andrzej z dumą oświadczył, że wszystko jest przygotowane do generalnej próby.

Razem udali się do pracowni. Za częściowo odsłoniętym parawanem siedział w fotelu robot-sobowtór. Sprawiał wrażenie zastygłego w bezruchu człowieka. Andrzej teraz przede wszystkim postanowił pokazać przyjacielom umiejętności Roba. Na uboczu otworzył pudełko nadajnika sterującego i odpowiednio włączył wtyczkę. Po krótkiej chwili robot poruszył się w fotelu. Lewa dłoń, trochę jakby ociążałym ruchem, uniosła się do góry i przyglądała włosy na skroni. Potem Rob oparł ręce na poręczy fotela.

- Patrzcie! On porusza palcami! - zdumiał się Maciek.

Sobowtór spojrział w jego kierunku. Wiercipięta jednym susem znalazła się za plecami Marka.

- On rozumie, co my mówimy - szepnęła przerażona.

Robot zaraz odwrócił głowę ku niej. Bożena pobladła. Robot spoglądał na nią ruchomymi gałkami ocznymi, zupełnie jak żywy człowiek.

- Nie bój się, Bożenko, on jest uczulony na głos i dlatego spogląda w kierunku mówiącego - wyjaśnił Andrzej. - O, widzisz? Teraz patrzy na mnie, gdy mówię!

- A czy on rozumie, co my mówimy? - szepnęła dziewczynka. - Ma takie same oczy jak prawdziwy wujek. Znów patrzy na mnie!

- Nie takie same, ponieważ gałki oczne Roba wykonane są z polietylenu - śmiejąc się powiedział Andrzej. - No, a teraz porozmawiamy z Robem.

Podszedł bliżej do fotela i odezwał się:

- Dobry wieczór, panie profesorze! Co mam dzisiaj podać?

Robot z godnością skinął głową, jakby odpowiadał na powitanie i odparł:

- Jak zwykle herbatę, tylko proszę słabą.

Trójka dzieci oniemiała ze zdumienia. Robot przemawiał najprawdziwszym głosem profesora Rawy. Andrzej tymczasem znów odezwał się:

- Czy jeszcze coś mam podać?

- Nie, dziękuję, wieczorem nie jadam słodczy - odparł robot.

- Do licha, on naprawdę mówi tak samo jak pan profesor - dziwił się Marek. - W jaki sposób może tak doskonale naśladować czyjś głos?

- Rob przemawia oryginalnym głosem mego ojca, nagrany na taśmę - wyjaśnił Andrzej. - Bożena, podejdź teraz do robota, ujmij go za prawą dłoń i naciśnij pierwszy od dołu guzik na rękawie.

- Niech któryś z was najpierw to zrobi - mruknęła dziewczynka nie wychodząc zza Marka.

Maciek zdobył się na odwagę i wykonał polecenie. Robot pochylił się trochę do przodu, by zrównoważyć ciężar swego stalowego korpusu, po czym powstał i miarowym krokiem ruszył po pracowni.

- Maciek, gdy będziesz chciał zmienić kierunek, lekko uściśnij jego dłoń i śmiało prowadź. Wyprzedzaj go troszeczkę, wtedy, gdy ty staniesz, równocześnie ściskając dłoń, i on stanie, potem znów ruszy do przodu razem z tobą - pouczał Andrzej.

Potem Marek dokonał próby. Posłuszeństwo robota na tyle ośmieliła dziewczynkę, że wkrótce sama wyraziła chęć spacerowania z nim po pracowni.

- Czy wszystkie roboty potrafią robić to co sztuczny wujek? - pytała zaciekawiona, zerkając na krocącego obok niej Roba.

- Wszelkie umiejętności robota zależą od programu ułożonego dla niego - tłumaczył Andrzej. - Z tego, co słyszałem o najslawniejszych robotach na świecie, robot skonstruowany przez mego ojca jest na pewno najbardziej inteligentny.

- Och, proszę cię powiedz mi, które były najslawniejsze? - zawołała Bożena.

- My też jesteśmy ciekawi! - zawtórował Marek.

- Powiedz nam coś o nich - prosił Maciek.

- Dobrze, posłuchajcie! - rzekł Andrzej. - Otóż szczególną popularność zdobyły sobie roboty o pewnym podobieństwie do człowieka, konstruowane w okresie od 1932 do 1950 roku. Wtedy właśnie zyskał rozgłos amerykański robot, pokazywany na wystawie w Chicago, o którym już wam opowiadałem.

- To pewno ten, któremu odkręciła się śrubka! - wtrąciła Bożena.

- Tak, widzę, że dobrze go zapamiętałaś - potwierdził Andrzej i mówił dalej: - Potem

znany był również robot Gismo, zbudowany w 1956 roku przez piętnastoletniego ucznia. Wielką popularnością cieszył się także francuski mały robot kroczący, Arthur, na którego budowę konstruktor poświęcił piętnaście lat pracy.

- To aż tyle ich było? - nie dowierzała Bożena.

- Oczywiście, zapamiętałem tylko najciekawsze modele - mówił Andrzej. - Do nich trzeba zaliczyć angielskiego robota Erica oraz zbudowanego w Niemczech Zachodnich wystawowego Sabora IV, wykonującego dwadzieścia cztery czynności. W 1959 roku narodził się radziecki robot Rum. Był on unowocześnionym modelem robota zbudowanego w Czkałowsku pod Moskwą przez sześciu uczniów z klubu młodych techników. Kierowano nim zdalnie i mógł wykonywać dziewiętnaście czynności. Uzupełniony darem mowy, spełniał rolę informatora na Wszechzwiązkowej Wystawie Osiągnięć Gospodarczych w Moskwie.

Ojciec niedawno będąc na jakimś zjeździe w Związku Radzieckim, zwiedzał Moskiewskie Muzeum Politechniczne. Przewodnikiem po muzeum był robot, który oprowadzał zwiedzających po dziale automatyki i telemechaniki. Robot ten wyposażony jest w fantastyczną pamięć oraz w encyklopedyczne wiadomości z zakresu automatyki, dzięki czemu może odpowiadać na wszelkie pytania z tej dziedziny. Zbudowali go pracownicy muzeum, wykorzystując współczesną radiotechnikę, najnowsze osiągnięcia z dziedziny zdalnego sterowania i mechaniki.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że i dzisiaj buduje się tyle różnych robotów - orzekła Bożena.

- Znacznie więcej niż przedtem - powiedział Andrzej. - Widzisz, elektroniczne maszyny matematyczne również zalicza się do robotów. Te zaś o kształtach ludzkich znajdują obecnie ważne, praktyczne zastosowanie. Na przykład w Stanach Zjednoczonych zakłady Aldersona masowo produkują człękkształtne roboty, które są używane do niebezpiecznych prób samolotowych, samochodowych i raketowych. Modele te wyposaża się w zdolność wykonywania prostych czynności i ruchów. Dzięki nim wynalazcy mogą dokonywać śmiałych eksperymentów bez obawy o życie ludzkie.

- Andrzej, czy słyszałeś, żeby jeszcze jakiemuś robotowi odkręciła się śrubka? - zapytała Bożena, podejrzliwie zerkając na Roba.

- Nie, to zdarzyło się tylko jeden raz, o czym już mówiłem, bo z tym elektrycznym psem była zupełnie inna historia.

- Nie opowiadałeś nam o tym! Cóż to był za pies i co się z nim stało? - dopytywał się Maciek.

- Było to tak: na Targi Światowe w Nowym Jorku w 1939 roku jeden z wynalazców

skonstruował psa elektrycznego, uczulonego na ciepło i światło. Miał on rzucać się na odwiedzających targi i gryźć ich w łydki. Otóż wieczorem w przeddzień rozpoczęcia imprezy elektryczny pies, umieszczony już w pawilonie wystawowym, nieoczekiwanie ujrzał przez otwarte drzwi przejeżdżający samochód z zapalonymi latarniami. Biedaczysko natychmiast rzucił się w kierunku jaskrawego światła i zginął zmiażdżony przez koła, ponieważ kierowca, mimo najlepszych chęci, nie mógł już w porę zahamować. Elektryczny pies stał się w ten sposób ofiarą wypadku samochodowego, spowodowanego jego własnym uczuleniem.

- Ho, ho, to aż dwa amerykańskie roboty miały nieszczęśliwe wypadki?! - zafrasowała się Bożena. - Jednemu odkręciła się śrubka i zabił człowieka, a drugi stał się samobójcą!

Zakłopotana zamilkła na chwilę, lecz wkrótce znów zapytała:

- Andrzej! Czy w naszym sztucznym wujku nie ma przypadkiem jakichś motorków albo śrubek amerykańskich?

- Nie, nie, nic się nie obawiaj, ojciec sam wszystko sporządzał - uspokoił ją Andrzej.

- Taki uczony człowiek, jak pan profesor, nie pozwoliłby sobie na brakoróbstwo - dodał Marek. - Spokojna głowa!

- No, teraz dokonamy najważniejszej próby - powiedział Andrzej. - Bożena wyjdzie z robotem z pracowni, a jeden z nas przypnie sobie żeton na piersi. Potem Bożena tutaj wejdzie i pozwoli robotowi działać samemu. Sprawdzimy, czy potrafi odnaleźć w cukierni kogoś noszącego właśnie taką odznakę. Zaczynamy!

Po wyjściu dziewczynki z Robem, chłopcy usiedli na stołkach z dala od siebie. Maciek, który wylosował rolę mężczyzny o lisiej twarzy, przypiął sobie żeton do klapy marynarki.

- Gotowe! - zawołał Marek. Wiercipięta pojawiła się w drzwiach razem z robotem. Wolnym krokiem weszli do zaimprovizowanej kawiarni. Rob spoglądał tu i tam, aż nagle przystanął na środku pracowni. Po chwili odwrócił głowę w kierunku Maćka. Krok za krokiem zbliżał się ku niemu.

- Bożena! Rozkaż mu usiąść w fotelu - polecił Andrzej bacznie obserwując sobowtóra.

Udało się! Robot posłusznie zajął miejsce w pobliżu Maćka. Andrzej uradowany podbiegł do dziewczynki i zawołał:

- Wspaniale, wspaniale! Widzisz, jakie to łatwe!

- Sztuczny wujek jest strasznie mądry - przyznała Bożena. - Tylko, że przy nim jakoś tak dziwnie się czuję. Andrzej, proszę cię bardzo, sprawdź jeszcze jutro wszystkie śrubki. Dobrze? Mój złoty!

- Sprawdzę wszystko, możesz być zupełnie spokojna - zapewnił Andrzej.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że tak dobrze znasz się na takich rzeczach! - z uznaniem

odezwał się Maciek.

- Zajdzie daleko... i my przy nim - dodał Marek.

- Najpierw zajdźmy ze sztucznym wujkiem do Orbisu, a potem wrócmy szczęśliwie do domu - żałośnie rzekła Bożena, ciężko wzdychając.

- Teraz pokażę wam, w jaki sposób można Robowi dawać rozkazy z daleka, nie dotykając jego guziczków - rzekł Andrzej.

Wyjął z kieszeni niewielkie prostokątne pudełko z obramowaniem metalowym na pokrywcę i otworzył je. Wewnątrz znajdował się mały notesik i ołówek; na dnie pudełka narysowana była barwna figura wieloboczna z dziewięcioma kółeczkami. W każdym kółku widniała dziurka, a pod siedmioma z nich pojedyncze litery.

- Jakie piękne pudeleczek! - zawołała Bożena.- A co się zapisuje w tym notesiku?

Wszyscy pochylili się nad pudełkiem. Andrzej ujął "ołówek" i wskazując na narysowane kółka, wyjaśnił:

- Tym "ołówkiem" nic się nie zapisuje w notesiku. Służy on do przekazywania robotowi rozkazów. Widzicie w każdym kółku dziurkę, a pod nią literę? O, na przykład tutaj litera W. W notesiku znajdujemy, co ona oznacza. Proszę, W oznacza wstań. Wystarczy włożyć ołówek-wtyczkę do dziurki z literą W i Rob natychmiast wstanie.

- Zróbmy to! - krzyknęła trójka przyjaciół. Andrzej odczekał ich prośbę. Z pewnej odległości zaczął wydawać rozkazy. Na literę W robot wstał, potem z kolei na I ruszył spacerkiem po pracowni, zaś litera S zatrzymała go na miejscu.

- Ależ to cudowna rzecz - entuzjazmował się Marek. - Można kierować nim z oddali i nikt nic nie zauważy!

- A jeśli w pobliżu tych złodziei nie będzie wolnego stolika w Orbisie? - martwiła się Bożena.

- Nic się nie obawiaj! Rob ma bardzo czuły mikrofon, który uchwyci nawet rozmowy prowadzone szeptem w obrębie kilku metrów - zapewnił Andrzej. - Wystarczy tylko zapamiętać, co oznaczają litery wypisane na dnie nadajnika. Gdybyś czegoś zapomniała, to w tym notesiku znajduje się odpowiednia instrukcja. Rozumiesz?

- Aha, rozumiem!

- Najlepiej, gdy usiądziecie przy stoliku, najpierw włóż wtyczkę w dziurkę z literą M. Wtedy Rob będzie mówił, a ty możesz spokojnie obserwować, co się dzieje wokoło. W odpowiedniej chwili każesz mu fotografować lub notować na taśmie rozmowy. - Wykona to nawet rozmawiając z tobą, gdyż może wykonywać jednocześnie kilka czynności.

- Dobrze, dobrze, będę o tym pamiętała.

- Oj, zapomnieliśmy o czymś! - wtrącił Maciek. - Przecież w kawiarni jest za słabe światło do robienia zdjęć!

- Do licha, racja! - zawtórował Marek.

- Nie martwcie się, Rób może fotografować nawet w zupełnej ciemności - uspokoił ich Andrzej. - Dokonuje tego za pomocą promieni podczerwonych, niewidocznych dla ludzkiego oka.

- Ho, ho, jakim cennym wywiadowcą byłby Rob dla naszej milicji! - zdumiał się Marek.

- A może komendant sztucznego wujka przyjmie na detektywa? - podsunęła myśl dziewczynka. Naraz Marek uderzył się dłonią w czoło i głośno zawołał:

- Omal jeszcze o czymś nie zapomnieliśmy! Przecież w Orbisie jest szatnia, w której pozostawia się płaszcze i kapelusze. Czy Rob potrafi to zrobić?

- Rob może tylko zdejmować z głowy kapelusz i nakładać go z powrotem - odpowiedział Andrzej.- Gdyby jutro była pogoda, mógłby pójść bez płaszcza i kapelusza. Tak byłoby najlepiej. W głowie ma ukryty mikrofon i aparat fotograficzny. Jeśli powichrzy włosy, zdjęcia mogą być niewyraźne.

- Żebyśmy to mogli wiedzieć, jaka będzie jutro pogoda?! - zafrasował się Marek.

- Zaraz się przekonamy - powiedział Andrzej, podchodząc do ściany, przy której stał wysoki zegar z długim wahadłem. Wolnym miarowym ruchem odmierzało ono czas normalnie wskazywany strzałkami na tarczy.

Wszyscy ciekawie obserwowali Andrzeja, ten zaś przystanął przed jedną z bocznych ścian czasomierza, po czym nacisnął czerwony guzik. Z wnętrza zegara rozbrzmiał głos:

„Dzisiaj jest niedziela 15 lipca 1962 roku, godzina dziewiętnasta trzydzieści dwie minuty i sześć sekund. Ciśnienie barometryczne wysokie, temperatura na zewnątrz dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza, zachmurzenie zanikające, wiatry słabe z południowego zachodu. Na jutro przewidywana jest dalsza poprawa pogody i wzrost temperatury. Wilgotność powietrza nieduża.”

Trójka przyjaciół Andrzeja stała oszołomiona niezwykłym zegarem. Po chwili Bożena z zabobonnym lękiem rozejrzała się po pracowni, a potem pochyliła się ku chłopcom i szepnęła:

- Teraz nie dziwię się, że ludzie nazywają ten dom Domem Czarnoksiężnika!

Akcja “Orbis”

Nie była to najspokojniejsza noc dla członków Klubu Poszukiwaczy Przygód. Andrzej i

Marek co pewien czas zrywali się z łóżek i wybiegali na taras. Z zadartymi do góry głowami wpatrywali się w niebo. Ku ich radości pomiędzy chmurami przeświecały gwiazdy. W poniedziałek rano, na całkowicie już wypogodzonym niebie widniało jasne słońce. Prognoza pogody zapowiedziana przez domową stację meteorologiczną profesora Rawy nie zawiodła. Młodzi detektywi-amatorzy odetchnęli z ulgą: syntetyczny człowiek mógł udać się do Orbisu bez płaszcza i kapelusza.

Maciek z Bożeną przybiegli wczesnym rankiem. Toteż zaledwie pani Mruczkowa wyszła do miasta po zakupy, czwórka dzieci natychmiast pobiegła do tajemniczej pracowni.

- Teraz urządzimy generalną próbę - powiedział Andrzej. - Bożena musi oswoić się z działaniem mechanizmu robota.

Dziewczynka ciężko westchnęła. Ten sztuczny wujek mimo wszystko napawał ją obawą. Nieufnie spoglądała na pudełeczko, zawierające stacyjkę do zdalnego kierowania.

- Uruchom Roba! - polecił Andrzej. - Włóż wtyczkę w gniazdko pod literą W. Potem włącz I, czyli Idź, weź go za rękę i poprowadź tak jak wczoraj na korytarz, a stamtąd z powrotem do pracowni. Jeden z nas będzie miał przypięty żeton. Zobaczymy, czy Rob i dzisiaj odszuka go bezbłędnie. Zaczynaj!

Bożena wciąż nieufnie spoglądając na robota włączyła odpowiedni program działania. Syntetyczny profesor Rawa poruszył się w fotelu. Powolnym ruchem odwrócił głowę w kierunku dzieci. Przez chwilę spoglądał na nich poważnym wzrokiem.

- Włącz program: Idź! - odezwał się Andrzej. Nie mógł zrozumieć, dlaczego robot nie wstaje i spogląda na nich, chociaż zachowywali całkowite milczenie.

Bożena wykonała rozkaz.

Robot siedział w fotelu w dalszym ciągu. Naraz pochylił się ku dzieciom i przemówił:

- Czy słusznie robisz przywołując mnie do życia? Pamiętasz, co przyrzekłeś!

Cwórka detektywów oniemiała. Nawet Andrzej pobladł straszliwie. Marek i Maciek zaczęli cofać się ku drzwiom, Bożena natomiast nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Stacyjka do zdalnego kierowania drżała w jej dłoniach. Zanim jednak upuściła ją na podłogę, Andrzej podtrzymał słaniającą się na nogach dziewczynkę.

- Robot wykonuje jakiś nie znany mi program - odezwał się drżącym głosem. - Bożenko, daj mi stacyjkę.

Zajrzał do pudełeczka. Obydwie wtyczki wsunięte były w gniazdko tylko do połowy. Andrzej szybko docisnął je do końca.

Robot spokojnie podniósł się z fotela i ruszył przed siebie. Andrzej natychmiast ujął go za dłoń i zgodnie zaczęli spacerować po pracowni.

- Co mu się stało? - niepewnie zapytał Marek.- Dlaczego od razu nie usłuchał Bożeny?

- Nie docisnęła wtyczek do końca gniazdka - wyjaśnił Andrzej. - Mówiłem wam przecież, że nie znam jego wszystkich programów działania. Ojciec stale go ulepsza. Prawdopodobnie wtyczka wsunięta do połowy włącza inny program. Musisz bardzo a bardzo uważać, Bożenko.

- Chyba nie będę mogła pójść z nim po południu - szepnęła dziewczynka. - Głowa mnie bardzo boli od samego rana...

- Nie bój się, Bożena, widzisz przecież, że już wszystko w porządku - uspokoił ją Andrzej. - Trzeba tylko mocno wciskać wtyczki.

- Kiedy naprawdę strasznie boli mnie głowa - broniła się dziewczynka.

- Paluszek i główka, to szkolna wymówka! - zawołał Marek. - Nie udawaj, nie nabierzesz nas na taki stary kawał!

- Naprawdę rozboleła mnie głowa - skarżyła się Bożena. - Widzicie, że sztuczny wujek jest dzisiaj nieposłuszny!

- Nic się nie bój! Powtarzam jeszcze raz: głębiej wciskaj wtyczkę przy nadawaniu rozkazów, wtedy robot nie będzie sprawiał ci niespodzianek.

- A dlaczego przypominał ci o przyrzeczeniu danym ojcu?

- Bo omyłkowo włączyłaś taki program działania - cierpliwie wyjaśniał Andrzej.

- A ja myślę, że on wszystko słyszy i rozumie, co my mówimy. Dlatego nas ostrzega - upierała się dziewczynka.

- Nie, to absolutnie niemożliwe - kategorycznie stwierdził Andrzej. - Robot jest tylko bardzo precyzyjną maszyną. Nie masz żadnych powodów do obaw.

- Czy muszę z nim pójść?

- Gdyby ci mężczyźni mnie nie znali, poszedłbym sam - odparł Andrzej. - Tylko ciebie nigdy nie widzieli.

- Członek Klubu Poszukiwaczy Przygód nigdy się nie łamie - dodał Marek. - Czy chcesz, żebyśmy uważali cię za tchórza?

- Trudno, skoro mnie zmuszacie, to pójdę, ale jak się coś nie uda, będzie na was!

- Ten detektyw w spódnicy jeszcze gotów narobić "bigosu" w Orbisie - zafrasował się Maciek.

- Widzicie go, mądrałę! Detektyw w spódnicy! Przecież sami kazaliście mi włożyć sukienkę - oburzyła się Bożena. - Pewniej czułabym się w spodniach.

- Nie wypada kobiecie pójść w takim stroju do kawiarni. Poza tym w sukience mniej będziesz zwracała na siebie uwagę - powiedział Andrzej.

- Czego nie robi się dla sławy! Już widzę, jak morowo wyglądasz na fotografiach w dziennikach - wtrącił Maciek, puszczając oko do kolegów.

Tuż przed powrotem pani Mruczkowej ze sprawunkami ukończyli wszelkie próby i wynieśli się do ogrodu. Dzień dłużył się im niepomiarnie. Chłopcy nadrabiali minami w obecności wystraszonej dziewczynki; na zmianę dodawali jej otuchy, lecz w głębi duszy każdy z nich także odczuwał lęk przed niezwykłą, a może i niebezpieczną przygodą. W końcu nadeszło popołudnie. W myśl z góry ułożonego planu członkowie Klubu poprosili rodziców o pozwolenie na pójście do kina. Około piątej godziny byli już gotowi do wyjścia. Andrzej wyprowadzał z domu robota, jego przyjaciele czuwali natomiast, aby pocziwa pani Mruczkowa, bądź jej mąż, przypadkiem nie zauważyli wychodzącego sobowtóra.

Andrzej wprost z furtki ogrodu zaszył się z robotem w pasmo krzewów oddzielających ulicę Różyckiego od arterii wiodącej do centrum miasta. Tam poczekał na przyjaciół. Bożena zalękniona nieśmiało ujęła "sztucznego wujka" za rękę i poprowadziła go w kierunku Parku Kościuszki. Aż do przystanku tramwajowego, umieszczonego po przeciwnej stronie jezdni, na wprost kościółka na skarpie, akcja przebiegała pomyślnie. Bożena z "wujkiem" właśnie mijali przystanek, gdy nadjechał tramwaj. Z drugiego wagonu wysiadła teściowa sąsiadów Andrzeja. Szybko podreptała przez jezdnię i akurat znalazła się o kilka kroków przed powszechnie znanym mieszkańcom Brynowa profesorem Rawą. Była krótkowidzem, więc spostrzegła go dopiero, gdy ją mijał.

- Dzień dobry, panie profesorze! - zawołała uśmiechając się do niego.

Bożena aż skuliła się z przestachu, lecz robot spokojnym wzrokiem obrzucił starszą panią i majestatycznie skinął głową. Udało się! Bożena przyspieszyła kroku. Co chwila zerkała za siebie, czy chłopcy znajdują się w pobliżu.

W myśl ustalonej marszruty szła ulicą Kościuszki aż do skrzyżowania z ulicą Jordana. Tam zboczyła w prawo i poprzez Wita Stwosza, Plac Miarki i ulicę Kochanowskiego bez niespodzianek dotarła do wiaduktu kolejowego. Stąd do Orbisu było już bardzo blisko. Trzej chłopcy szli za nią krok w krok.

- Tylko bez pietra, Bożena - szeptał Marek. - Nic się nie bój, będziemy czuwali w pobliżu. W Orbisie w tłumie ludzi nic ci nie grozi od tamtych typków, a na ulicy my czekamy na ciebie.

- Nie pomyśl się, która litera oznacza odpowiednią czynność - ostrzegął Andrzej. - Pamiętaj o notesiku!

- Wiem, wiem, nadajnik mam w koszyczku - potaknęła Bożena.

Wspomniany przez Andrzeja notesik zawierał spis oznaczeń poszczególnych

programów dla robota. W ten sposób, gdyby Bożena czegoś zapomniała, mogła upewnić się w instrukcji.

Piętnaście po szóstej gromadka podnieconych spiskowców wraz z robotem znalazła się na wprost Orbisu.

- Czau, Bożena! - szepnął Maciek do siostry.

- Nic się nie bój, wszystko pójdzie dobrze - dodał Andrzej.

- Klub nasz czuwa nad tobą - pospiesznie zapewnił Marek.

- Niech czuwa, niech dobrze czuwa - odparła dziewczynka i westchnąwszy, poprowadziła "sztucznego wujka" do wejścia do kawiarni.

Przy bufecie kilka osób kupowało ciastka, lecz szatnia ziała pustką. Był to przecież po raz pierwszy od wielu dni pogodny i ciepły lipcowy wieczór. Bożena z mocno bijącym w piersi sercem wprowadziła robota do sali. Zmniejszyła uścisk dłoni. Robot jakby zawahał się, zwolnił kroku, przystanął. Widocznie nie było tu posiadaczy żetonu ze złotą błyskawicą, lub może też mechanizm robota nie działał prawidłowo. Bożena dyskretnie zerknęła dookoła po stolikach.

- Wujku, chodźmy do drugiej sali, tam będzie wygodniej - niby beztrząsco zaszczebiotała i lekko uściśniła lewą dłoń robota.

Ku jej radości posłusznie ruszył za nią. Tuż przed dwoma stopniami do nieco wyżej położonej sali nacisnęła odpowiedni guzik. Robot drgnął, trochę chwiejnymi krokami przebył trudny odcinek. Bożena zwolniła uścisk dłoni. Robot znów przystanął, lecz tym razem głowa jego zaczęła wykonywać lekkie ruchy, jakby rozglądał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Naraz zdecydowanie odwrócił się ku narożnikowi w głębi sali, gdzie na wprost stolika, w połowie stojącego w niszy, mieścił się fortepian. Robot nieco przyspieszonym krokiem ruszył w tamtym kierunku. Przystanął przed niszą.

Teraz dopiero Bożena ujrzała trzech mężczyzn. Pochyleni ku sobie nad stolikiem, szeptali z ożywieniem. Twarz Bożeny pobladła z wrażenia, bowiem u dwóch z nich zauważyła przypięte do klap marynarek żetony ze złożoną błyskawicą.

- Wujku, wujku, tu jest wolny stolik - zawołała półgłosem, jednocześnie włączając naciśnięciem guzika odpowiedni program.

Robot, jakby z lekkim ociąganiem, dał poprowadzić się do stolika. Bożena pospiesznie podsunęła mu fotelik. Usiadł!

Profesor Rawa zapewne bywał w Orbisie dość często, kelnerka bowiem zaraz podeszła do nich i uśmiechając się uprzejmie, powiedziała:

- Dobry wieczór, panie profesorze! Co mam dzisiaj podać? Czy to co zwykle?

Robot odwrócił ku niej głowę, uklonił się i po krótkiej chwili odparł:

- Jak zwykle herbatę, tylko proszę słabą.
- Pamiętam, oczywiście - potaknęła kelnerka. - Czy jeszcze mam coś podać dla pana?
- Nie, dziękuję, wieczorem nie jadam słodczy.
- A co dla panienki? - pytała kelnerka.

Zalękniona panienka niestety nie dosłyszała pytania. Z rozchyłonymi ze zdziwienia ustami wpatrywała się w swego „sztucznego wujka”. On uśmiechał się do ładnej kelnerki!

- Co mam podać panience? - po raz drugi padło pytanie.

Bożena oprzytomniała i odpowiedziała:

- Dla mnie proszę dwa ciastka z kremem i oranżadę.

Kelnerka odeszła w głąb sali. Bożena ochłonęła z przestrawu. A więc kelnerka nic nie dostrzegła! Zerknęła w kierunku niszy. Trzej mężczyźni wciąż rozmawiali półgłosem. Nie mogła uchwycić ani jednego słowa.

„Muszę włączyć mikrofon - przypomniała sobie. - Andrzej mówił, że wujek może jednocześnie podsłuchiwać i fotografować, spróbuję!”

Otworzyła wieczko koszyczka. Bez trudności odnalazła odpowiednią dziurkę i mocno wcisnęła w nią wtyczkę. Potem uruchomiła następny program.

- Wujku, jak przyjemnie musi być dzisiaj w Ustroniu - drżącym głosem zaczęła pogawędkę. - Tak bym chciała już tam pojechać...

Robot tymczasem nieco odchylił głowę do tyłu. Pilnie rozglądał się po sali. Bożena pomyślała, iż zapewne w tej właśnie chwili dokonuje zdjęć fotograficznych. Kelnerka z tacą zbliżyła się do stolika. Bożena szybko zamknęła wieko koszyczka.

Znów zostali sami.

Jeden z tajemniczych mężczyźni nieznacznie zerkał na Roba. Bożena poczuła przyspieszone bicie własnego serca. Czyżby poznał w sobowótce prawdziwego wujka? Strach jej znów się spotęgował. Jeśli tak, to co uczynią?

Czas szybko mijał.. W końcu mężczyźni przywołali kelnerkę. Ten, który w niedzielę rozmawiał przed domem z panią Mruczkową, zapłacił rachunek. Bożena także dała znak kelnerce. Położyła na stoliku pięćdziesiąt złotych. Otrzymała je od Andrzeja na pokrycie rachunku. Zanim dostała resztę, tajemniczy mężczyźni powstali i ruszyli ku wyjściu. Naraz stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Robot odwrócił głowę w kierunku odchodzących, pochylił się do przodu, następnie szybko powstał wywracając fotelik i podążył za nimi.

Bożena oniemiała. Co robić? Kelnerka przerwała wydawanie reszty. Z wyrozumiałym uśmiechem na ustach postawiła wywrócony fotel, po czym znów zaczęła liczyć pieniądze. Bożena przerażona porwała je ze stolika i pobięła za znikającym w szatni robotem. Przed

Orbisem wpadła wprost na brata.

- Co się stało? Dlaczego puściłaś go samego?! - stłumionym głosem krzyknął Maciek.

- On mi uciekł, przewrócił krzesło i poszedł za nimi - wyjaśniła bliska płaczu. - Gdzie on jest?

- Andrzej i Marek idą za nim! Trzeba natychmiast wręczyć Andrzejowi nadajnik! Musi zatrzymać robota! Biegnijmy! O, patrz! Właśnie teraz już wchodzi pod wiadukt!

Bożena z trudem wstrzymywała łzy cisnące się do oczu.

- Pewno odkręciła mu się jakaś śrubka - mówiła rwącym się głosem. - Ja się boję!

- Nic dziwnego, każdy by się przestraszył! Już cię nie zostawię samej, chodź prędko, bo stracimy ich z oczu!

Ujął Bożenę za rękę. Przebiegli przez jezdnię. Wkrótce dogonili przyjaciół. Andrzej zaraz wyjął nadajnik z koszyczka. Włączył program "stój". Niestety robot nie usłuchał rozkazu. Wciąż szedł za umykającymi mężczyznami.

- On uciekł Bożenie z Orbisu - jednym tchem wyrzucił z siebie Maciek.

- Pewno zepsuł się, wywrócił krzesło i poszedł sobie - szepnęła Bożena.

- Nie wiem, co mu się stało - mówił Andrzej podniecony. - Nie słucha rozkazów!

- Czy on idzie za tymi mężczyznami? - dopytywał się Maciek.

- Tak, depcze im po piętach - potwierdził Marek. - Wpadliśmy, nie ma co gadać!

Trzej tajemniczy mężczyźni, a za nimi zbuntowany robot podążali ulicą Kościuszki. Andrzej wraz z przyjaciółmi przyspieszyli kroku. Zapadał zmrok. Dyskretne, kolorowe latarnie neonowe rozbłysły na Placu Miarki. Minęli plac. Trzej mężczyźni oglądali się co chwila. Widocznie zorientowali się, że są śledzeni. Naraz zatrzymali się przy kiosku Ruchu. Rób również przystanął. Wtedy podejrzana trójka skręciła w prawo na mały plac pomiędzy domami, gdzie, okolona drewnianą balustradą, stała pijalnia piwa zbudowana w kształcie dużej beczki. Gdy zalęknieni chłopcy i Bożena dobiegli do kiosku, mężczyźni stali już przy "beczce". Ekspedientka podała im pełne kufle. Zaczęli popijać zerkając spode łbów na stojącego przy nich barczystego mężczyznę, który aż z kawiarni tutaj przyszedł za nimi. Naraz ten o lisiej twarzy spojrzał mu prosto w oczy i zagadnął zaczepnie:

- Co się szanownemu panu nie podoba?! No, czego pan chce?!

Rob milczał i stał nieruchomo.

- Odczep się pan, pókim dobry! No?! - syknął współnik Lisiej Twarzy.

Z trzaskiem postawił kufel na ladzie. Zbliżył się do Roba. Nagłym ruchem uderzył go lewą pięścią w podbródek. Rob ani drgnął, za to napastnik krzyknął z bólu. Skulony przyciskał rozbitą pięść do piersi. Dwaj jego kompani ruszyli mu na pomoc. Lisia Twarz podszedł z tyłu i

wyszarpnął trzymaną dotąd w kieszeni prawą dłoń. Błysnął nóż. Uderzył... Ostrze zgrzytnęło, jakby trafiło w stalowy pancerz. Zdumienie, a potem jakiś błysk zrozumienia odmalowały się na twarzy napastnika. Wtem Rob odwrócił się do niego, uniósł prawe przedramię. Z wyprostowanego wskazującego palca trysnął nikły obłoczek. Lisia Twarz zachwiał się oszołomiony.

Ekspedientka "beczki" zaczęła wołać o pomoc. Przyłączyły się do niej sprzedawczynie z kiosku Ruchu.

Andrzej czynił rozpaczliwe wysiłki, by nakłonić Roba do posłuszeństwa. Robot wszakże nie reagował na rozkazy. Marek, Maciek i Bożena przerażeni, nie wiedzieli co począć. Z przeciwnej strony ulicy nadbiegał jakiś mężczyzna.

Lisia Twarz tymczasem otrząsnął się z oszołomienia.

- Nosi stalową koszulkę, to śledczy... - zawołał zdławionym głosem.

- Wiejmy - warknął pierwszy napastnik.

Trzej niecni wspólnicy przeskoczyli przez balustradę okalającą "beczkę" i zniknęli na tyłach sąsiedniej kamienicy, skąd okrążywszy dom, można było znów wydostać się na ulicę.

- Co się tu dzieje?! - zawołał mężczyzna zwabiony wołaniem o pomoc.

- Napadli tego pana - informowała ekspedientka z "beczki".

- Już uciekli, tam! - dodała sprzedawczynie z kiosku Ruchu. - Spłoszył ich pan!

- Czy nic się panu nie stało? - zapytał mężczyzna podchodząc bliżej do Roba.

Sztuczny człowiek spojrzał na niego.

- Oh, to pana właśnie napadnięto?! - zdumiał się przybyły.

Naraz Rob nic nie mówiąc odwrócił się i miarowym krokiem podążył ulicą Kościuszki w kierunku parku.

- Nareszcie, nareszcie usłuchał rozkazu - z ulgą szepnął Andrzej.

Pobiegł za Robem, który, od chwili nagłego zniknięcia napastników noszących żetony ze złoconą błyskawicą, stał się posłuszny jego poleceniom. Trójka wystraszonych przyjaciół chyłkiem ruszyła za Andrzejem wiodącym cybernetycznego człowieka.

Co podsłuchał robot

Członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód wraz z robotem szybko oddalali się od miejsca bójki. W milczeniu przemykali się wśród nielicznych o tej porze przechodniów w kierunku Parku Kościuszki. Andrzej sterował cybernetycznym człowiekiem, bowiem wystraszona Bożena za nic na świecie nie chciała dalej go prowadzić. Szedł więc tuż przy nim z lewej strony, podczas gdy z prawej czuwał Marek, który, jak przystało dowódcy, nie chował głowy w piasek w krytycznych chwilach. Maciek z Bożeną podążali za nimi.

Za ulicą Poniatowskiego poczuli się trochę pewniej. Robot szedł posłusznie i nikt ich nie ścigał. Tutaj jeszcze mniej spotykali przypadkowych przechodniów. Bożena, wciąż kurczowo trzymając brata za rękę, odezwała się drżącym głosem:

- Byłam pewna, że przez tego sztucznego wujka stanie się coś złego. No i macie teraz za swój upór! Najpierw nabroił w cukierni, a potem urządził awanturę na ulicy przy „becce”. Zobaczycie, jak za to oberwiemy po powrocie prawdziwego wujka!

- Naprawdę mieliśmy szczęście, że akurat nie było milicjanta w pobliżu! Wsypanylibyśmy się na całego - dodał Maciek.

- Najlepiej zwróćmy się o pomoc do milicji - bojaźliwie mówiła Bożena. - Z takimi przestępcami nie ma żartów.

- Najpierw musimy się dowiedzieć, o czym oni rozmawiali w Orbisie - powiedział Marek. - Jedno już jest pewne: naumyślnie szukali zaczepki z Robem.

- Może spostrzegli, że byli śledzeni? Na złodzieju czapka gore - domyślał się Andrzej.

- Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że straciłeś kontrolę nad robotem? - głowił się Marek. - Może źle manipulowałeś nadajnikiem? Przecież teraz znów jest całkowicie posłuszny!

- Ba, cały czas rozmyślam o tym - odparł zafrasowany Andrzej. - On sprawiał wrażenie, jakby działał według programu ułożonego przez samego siebie!

- Co też ty gadasz?! Maszyna nie może sama układać sobie programu działania - zaoponował Marek.

- Ojciec mówił, że taki robot podobno już istnieje - mruknął Andrzej, jednocześnie marszcząc czoło, jakby sobie coś usiłował przypomnieć. Po chwili dodał:

- Nie, nie, to na pewno nie odnosiło się do Roba!

- Uwaga! jacyś ludzie nadchodzą - ostrzegł Maciek.

Mężczyzna i kobieta przeszli obok, nie zwracając na nich uwagi. Dzieci umilkły,

bowiem z Parku Kościuszki wychodzili zapóźnieni spacerowicze. Wieczór był pogodny i ciepły. Na niebie świeciły gwiazdy. Chodnik wzdłuż parku tonął w potokach elektrycznego światła.

Wkrótce z prawej strony na skarpie zarysowały się kontury kościółka. Tutaj kończył się park. Domorośli detektywi nieufnie zerkali na ciemne zarośla porastające kotlinę, oddzielającą teren właściwego parku od Brynowa. Gdyby nie Rob, posuwający się miarowym krokiem, pobiegliby co tchu przez ten odcinek drogi, gdzie same warunki naturalne sprzyjały urządzeniu zasadzki.

O kilka kroków za przystankiem tramwajowym Marek odwrócił się do idącego w tyle rodzeństwa i rzekł:

- Teraz biegnijcie przodem na zwiady. Pani Mruczkowa na pewno przygotowuje w domu kolację. Musicie ją zagadać, my zaś wprowadzimy Roba do pracowni.

- Dobra, czekajcie w krzakach naprzeciwko domu - odparł Maciek i zaraz razem z Bożeną wysunęli się przed przyjaciół.

Zaledwie Andrzej i Marek zdążyli się przyczaić z robotem w zaroślach, ćwierkanie świerszcza rozbrzmiało w ogrodzie. Maciek wyrzwał z furtki na ulicę.

- Chodźcie śmiało! - zawołał z cicha. - Bożena pilnuje pani Mruczkowej!

Niebawem Andrzej z Markiem siedzieli przy stole. Na wyścigi pałaszowali kolację. Pragnęli jak najszybciej pozbyć się gosposi, obecność jej bowiem uniemożliwiała im sprawdzenie, co robot zdołał podsłuchać w Orbisie. Po zjedzeniu posiłku przeszli z jadalni do pokoju Andrzeja. W oczekiwaniu na odejście pani Mruczkowej, snuli domysły na temat wymknięcia się robota spod kontroli.

- Czy Rob naprawdę nie chciał słuchać rozkazów? - wypytywał się Marek. - Przypomnij sobie dokładnie, jak to było! Wszyscy byliśmy zdenerwowani, w takiej sytuacji nietrudno o pomyłkę.

- Nie, nie, pomyłka nie wchodzi w rachubę - zaprzeczył Andrzej. - Gdy tylko Bożena oddała mi nadajnik, na pewno włożyłem wtyczkę w odpowiednią dziurkę.

- Skąd ta pewność?

- Doskonale pamiętam! To było tuż przy skrzyżowaniu z ulicą Andrzeja. Na pewno włączyłem właściwy program działania. Czy nie spostrzegłeś, że Rob przechodząc przez jezdnię zawahał się i nawet przystanął na moment?

- Tak, tak, masz rację, przypominam sobie!

- A więc nie może być mowy o pomyłce!

- Wobec tego Rob musi posiadać jakąś wadę konstrukcyjną - podsunął Marek.

- Wadę, albo... ulepszenie - niepewnie odparł Andrzej. - Ojciec ostatnio pracował bardzo intensywnie. Rzadko przebywaliśmy razem... Dopiero przed samym wyjazdem oznajmił mi, że Rob został uzbrojony.

- A czy nie wytłumaczył ci, w jaki sposób to sporządził?

- Nie, zademonstrował tylko, jak Rob reaguje na widok broni. Potem wyjaśnił, że Rob jedynie obezwładnia napastnika. To wszystko.

- Może pan profesor jeszcze coś tam zmagistrował w tym robocie?

- Trudno odgadnąć. Przecież wystarczy zmienić punkt oparcia jakiejś dźwigni lub odwrócić kierunek prądu na przeciwny, a mechanizm natychmiast zmienia swoje funkcjonowanie. Niektóre urządzenia w Robie są dla mnie prawdziwą zagadką. W nadajniku znajdują się dwie nie oznaczone literami dziurki. Nie wiem, jakie programy uruchamiają. Nie wolno mi wkładać do nich wtyczki. Widzisz, Marek, jedna sprawa daje mi wiele do myślenia.

- Cóż to takiego?

- Ojciec niedawno wspominał o rewelacyjnym wynalazku Ashby'ego.

- Nie słyszałem o takim uczonym!

- Anglik Ross Ashby jest lekarzem psychiatrą w Gloucester. Skonstruował maszynę nazwaną homeostatem.²⁰

- Co to znaczy? - dopytywał się zaintrygowany Marek.

- Homeostat pochodzi od łacińskiego wyrazu "człowiek" i greckiego "czucie", a więc oznacza: odczuwający jak człowiek. Maszyna ta może w pewnych granicach dostosowywać się do zmian zachodzących w otoczeniu i wykazuje sztuczny instynkt.

- Nieprawdopodobne! Czy to pan profesor mówił ci o tym?

- Tak, nawet dał mi książkę "Sztuczne myślenie", w której ten wynalazek jest opisany. Mówiłem ci już o niej, pamiętasz!

- Teraz przypominam sobie! Zapisalem jej tytuł w moim notesie.

- Pożyczę ci ją, sam przeczytasz o homeostacie.

- A więc to nie bujda, że maszyna może układać sobie program działania?!

- Homeostat jest niemal cudowną maszyną. Posiada tak potężne dążenie do celu, do jakiego został przeznaczony przez konstruktora, że gdy jakiś czynnik przeszkadza mu go osiągnąć, sam przebudowuje, czy też inaczej urządza swój mechanizm i zmienia wszystkie dane kierujące nim początkowo.

²⁰ William Ross Ashby urodził się w 1903 r., psychiatra, neurolog i cybernetyk angielski, zbudował homeostat w 1948 r. Główną swoją pracę "Wstęp do cybernetyki" napisał w 1962 r.

- Niezbyt to dla mnie jasne - zauważył Marek.

- To znaczy, że można na przykład odłączyć jeden lub dwa elementy od całości mechanizmu, bądź też zmienić biegunowość prądu, a mimo to homeostat sam potrafi dostosować wewnętrznie swój mechanizm do nowej sytuacji i wykona zadanie.

- Ach, tak! Teraz już wiem, co masz na myśli!

- Gdyby Rob był homeostatem, mielibyśmy wytłumaczenie, dlaczego z takim uporem dążył za ludźmi noszącymi żetony z fosforyzującą błyskawicą - wyjaśnił Andrzej.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Pani Mruczkowa zajrzała do pokoju.

- Już wychodzę, nie siedźcie zbyt długo - powiedziała. - Dobranoc! Smakowała kolacja?

- Oczywiście! - skwapliwie potwierdził Marek. - Dobranoc pani!

- Dobranoc! - dodał Andrzej.

Pani Mruczkowa zniknęła w korytarzu. Słysząc było jej kroki na schodach i trzaśnięcie drzwiami. Chłopcy mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Zbiegli na parter.

Po chwili weszli do pracowni. Zaledwie uchwytny czułym uchem leciuteńki szum instalacji klimatyzacyjnej oraz dyskretne, miarowe cykanie zegara-meteorologa mąciły głuchą ciszę.

Marek niepewnie postępował za przyjacielem. Onieśmielony, ostrożnie rozglądał się wokoło. Przecież pozą zagadką zbuntowanego robota, tutaj mogły kryć się jeszcze inne tajemnice niezwykłego wynalazcy. Nagle przystanął zaintrygowany. Podejrzliwie zerkał w róg pracowni, naprzeciwko drzwi wejściowych. Tam właśnie stał przyrząd podobny kształtem do stojącego zegara. Zamiast tarczy ze wskazówkami miał ekran, a nad nim obiektyw, który, niczym oko Cyklopa, pilnie śledził każde ich poruszenie.

- Andrzej, cóż to za aparat stoi tam w rogu? - cicho zawołał przestraszony. - On wodzi za nami swoim obiektywem!

- To Ego, czyli automatyczne oko i ucho mego ojca - wyjaśnił Andrzej. - Fotografuje wszystkie osoby przebywające w pracowni i notuje na taśmie ich rozmowy. Dzięki Ego ojciec wie, co dzieje się tutaj podczas jego nieobecności.

- Czy on stale tak śledzi wszystkich?

- Nie, tylko wtedy, gdy ojciec każe mu podpatrywać. To automat. Zapewne uruchamiają go komórki fotoelektryczne.

- Och, w takim razie musiał również sfotografować i tych złodziei, którzy wtedy wdarli się w nocy do pracowni?!

- Mam nadzieję, będzie mógł poświadczyć ojcu, że działaliśmy we własnej obronie -

odparł Andrzej.

- Wspaniałe urządzenie! Jakie to szczęście, że nie wszyscy rodzice posiadają takie aparaty - z ulgą szepnął Marek.

- Nie traćmy czasu! Musimy jak najprędzej sprawdzić, czego dowiedział się Rob w Orbisie. Kto wie, czy złodzieje nie zamierzają ponowić włamania jeszcze dzisiejszej nocy?

Andrzej odsłonił jedno skrzydło parawanu. Rob jak zwykle siedział w fotelu i nieruchomymi oczami spoglądał przed siebie. Jedynie marynarka rozcięta na jego piersi pchnięciem noża uzmysławiała, że tego wieczoru uczestniczył w niebezpiecznej przygodzie członków Klubu. Andrzej postawił na krześle nadajnik radiowy. Wcisnął wtyczkę. Niebawem Rob zaczął odtwarzać rozmowy zasłyszane w Orbisie.

W przyciszonym gwarze kawiarnianym najpierw rozpoznali głos Bożeny. Mówiła, jak bardzo chciałaby już przebywać w Ustroniu. Jednocześnie jakieś kobiety dyskutowały o niepunktualności krawcowych, a mężczyzna dowodził, że jego fiat jest więcej wart, niż mu za niego ofiarowywano.

Obydwaj chłopcy usiedli przy Robie. Na kartce papieru, słowo po słowie, wyławiali rozmowę prowadzoną przez tajemniczych mężczyzn. Po czterokrotnym przesłuchaniu taśmy, ponumerowali poszczególne głosy i uważnie odczytali cały dialog:

1 *głos*: Ciszej, ktoś usiadł za nami... No więc jak, panie Wąsik?

2 *głos*: Co nagle, to po diable! Kasa jest wmurowana w ścianę. Nie ucieknie nam! Taki kombinowany zamek niełatwo otworzyć!

3 *głos*: Panie Wąsik, gdyby to była zwykła kasa, nie rozbijałbym się za takim fachowcem, jak pan! Sam też niejedno potrafię!

2 *głos*: Czy nie lepiej rozpruć ją po prostu? Po co tyle zachodu?

1 *głos*: Nie wolno nam pozostawić śladów włamania do kasy.

2 *głos*: To nie takie łatwe! Zamek elektroniczny może płatać różne psikusy.

3 *głos*: Wiadomo, ale jeśli załatwimy wszystko po cichu, zarobimy kupę pieniędzy.

1 *głos*: No, więc na kiedy planujecie tę robotę?

1 *głos*: Proponuję dzisiejszą noc!

2 *głos*: Nie mogę ryzykować tak bez przygotowania.

3 *głos*: Panie Wąsik, profesor może przypadkiem powrócić wcześniej, wtedy dobry zarobek przejdzie nam koło nosa!

2 *głos*: Niech pan nie ponagla, to śmieszne! Profesor uczył się przez kilkanaście lat majstrować takie zamki, więc ja nie mogę rozgryźć go w parę minut! Studia wymagają czasu.

1 *głos*: No, więc kiedy, panie Wąsik?

2 *głos*: Najwcześniej za dwa dni. Muszę przedtem odwiedzić jednego znajomego we Wrocławiu. On specjalizuje się w takich zamkach.

1 *głos*: Trudno, niech będzie! Radzę wam nie włóczyć się niepotrzebnie po Katowicach. Ktoś może was poznać. Spotkamy się w piątek o pierwszej po południu w Parku Kościuszki w Zielonym Oczku. Zapamiętacie?

3 *głos*: Zapamiętamy, w interesach jesteśmy skrupulatni. Wąsik jedzie do Wrocławia, a ja przysiędę fałd w domu i, jak zwykle przed robotą, będę spał i słuchał radia. Nikt mnie nie zobaczy! Teraz już chodźmy stąd!

2 *głos*: Czekajcie chwilkę! Niech pan wyjmie lusterko. Poprawiając fryzurę, niech pan przyjrzy się mężczyźnie i smarkuli, którzy siedzą za pańskimi plecami!

1 *głos*: Nie znam ich, o co chodzi?

2 *głos*: Wciąż nas obserwują, szczególnie ta dziewczyna.

3 *głos*: To podejrzane! Koło domu tego profesora stale włóczy się kupa dzieciaków. Raz nawet mnie zaczepili. Myślałem wtedy, że przez pomyłkę.

1 *głos*: Ustaliłem, że z synem tego wynalazcy nocuje jakiś kolega.

3 *głos*: Nie podoba mi się ten facet za pańskimi plecami. Wyraźnie nastawiła ucha! Może to ktoś z milicji?!

2 *głos*: Tylko bez paniki! Sprawdźmy. Teraz wychodzimy z lokalu, jeśli śledzi nas, to pójdzie za nami.

3 *głos*: Idzie!

2 *głos*: Widzi pan, nie pomyliłem się! Musimy wyprowadzić go w jakieś dogodne dla nas miejsce. Pogadamy z nim po naszymu!

3 *głos*: Najlepiej chodźmy do "beczki" z piwem na Kościuszki. W razie potrzeby można tam zaułkiem na tyłach domu ulotnić się niepostrzeżenie.

3 *głos*: Co się szanownemu panu nie podoba?

2 *głos*: Odczep się pan, pókim dobry! no?!

Potem na taśmie słychać było wołania kobiet o pomoc.

3 *głos*: Nosi stalową koszulkę! To śledczy!

2 *głos*: Wiejmy!

Andrzej i Marek zatrwożeni spoglądali na siebie. Relacje cybernetycznego człowieka nie budziły wątpliwości: tajemniczy mężczyźni przygotowywali włamanie do domu. Obydwaj chłopcy nie wiedzieli, co począć? Czy mogli sami obronić się przed szajką złoczyńców?

Gdzie jest wynalazca?

Porucznik Wadowski rozłożył akta i zaczął studiować je kartka po kartce. Sprawa była zawiła, śledztwo już od kilku dni utknęło na martwym punkcie, a komendant żądał sprawozdania.

Naraz zaterkotał dzwonek telefonu. Z ciężkim westchnieniem oficer śledczy podniósł słuchawkę. W Komendzie Milicji trudno było pracować w spokoju.

- Słucham, porucznik Wadowski - powiedział nie odrywając wzroku od akt.

- Dzień dobry poruczniku, tu Kalicki z "Trybuny Robotniczej".

- Dzień dobry, redaktorze! Słucham!

- Mam do was pewną sprawę - zabrzmiało w słuchawce. - Byłem wczoraj świadkiem przykrego ulicznego napadu. Zacząłem nawet pisać na ten temat artykuł, ale po namyśle postanowiłem przedtem porozumieć się z wami.

- Czy możecie powiedzieć przez telefon, o co chodzi?

- Właśnie to chciałem uczynić. Wczoraj około dwudziestej wracałem z redakcji do domu. Na Kościuszki, koło "beczki" z piwem, wiecie, gdzie to jest?

- Wiem, słucham!

- Właśnie przy tej beczce jacyś chuligani zaczepili starszego mężczyznę.

- Nie pierwszy to już tam wypadek - wtrącił Wadowski. - Słucham!

- Rzucili się na niego! Na szczęście jakoś zdołał się obronić. Gdy przybiegłem zaalarmowany krzykiem kobiet z obsługi dwóch kiosków, było prawie po wszystkim. Chuligani spłoszeni uciekali.

- Nic się nie stało napadniętemu? Nie mieliśmy o tym meldunku!

- Nie wiem, czy zupełnie nic mu się nie stało, gdyż, zaraz odszedł. Musiał wszakże być bardzo zdenerwowany, bowiem nie zdołał wymówić ani jednego słowa.

- A więc nawet nie wiadomo, kto to był?

- Gdybym go nie rozpoznał, nie dzwoniłbym do was. Po prostu wyraziłbym moje całe oburzenie w artykule. Już zacząłem pisać. Rozmyśliłem się jednak ze względu na osobę napadniętego.

- Kto to był? - rzeczowo zapytał Wadowski.

- Profesor Rawa!

- Co?! Czy macie na myśli tego profesora-wynalazcę?

- Tak, właśnie o niego chodzi.

Porucznik Wadowski zamilkł zdziwiony. Zmarszczywszy brwi rozważał coś w myśli, po czym zapytał:

- Czy ten napad miał miejsce wczoraj?

- Wczoraj wieczorem. Czy słusznie zrobiłem, telefonując do was przed napisaniem artykułu?

- Jak najbardziej, bo popełniliście pomyłkę, redaktorze. Profesor Rawa przebywa w Londynie na jakimś zjeździe naukowym.

- Bzdura, przecież widziałem go na własne oczy! Znam Rawę, robiłem z nim już przynajmniej ze dwa wywiady!

- Więc stanowczo obstajecie przy tym, że to był on?

- Oczywiście! Czy wiecie jaki byłby skandal w całej Polsce, gdyby Rawa uległ wypadkowi podczas napadu chuliganów?!

- Wiem, dobrze zrobiliście telefonując do mnie. Zaraz zajmę się tą sprawą. Czy rozpoznaliście napastników?

- Niestety, nie. Uciekali, gdy nadbiegłem.

- Redaktorze, czy możecie wpaść do mnie tak około piątej?

- Oczywiście, wpadnę. Jestem do głębi oburzony.

- Ja także; więc o piątej u mnie w Komendzie! Dziękuję za telefon, a z tym artykułem wstrzymajcie się, aż do rozmowy, dobrze?

- Dobrze! Do widzenia o piątej!

Porucznik Wadowski nie odkładając słuchawki polecił połączyć się z wydziałem paszportów zagranicznych. Po chwili otrzymał informację: profesor Piotr Rawa, zamieszkały w Katowicach-Brynowie przy ulicy Różyckiego w dniu 7 lipca wyjechał do Anglii. Powrót spodziewany w końcu miesiąca.

Wadowski siedział zamyślony. Nie ulegało wątpliwości, że naukowiec przebywał za granicą. Wobec tego redaktor Kalioki popełnił pomyłkę. Mimo to istniał fakt napaści i trzeba było udowodnić dziennikarzowi, że dokonano go na kogoś innego, gdyż upierał się, że na pewno rozpoznał Rawę.

Jeszcze raz podniósł słuchawkę.

- Przyślijcie do minie Nawrota i Maligę - polecił dyżurnemu.

Gdy dwóch wezwanych zameldowało się w pokoju, Wadowski powiedział:

- Wczoraj około dwudziestej na ulicy Kościuszki, przy „beczce z piwem”, jacyś chuligani zaczepili starszego mężczyznę. Podobno był nim znany wynalazca, profesor Piotr Rawa. Maliga, pójdzicie na Kościuszki. Pogadajcie z bufetową „beczki” i ze sprzedawczynią

w sąsiednim kiosku Ruchu. A teraz wy Nawrót: udacie się na Różyckiego do profesora Rawy. Jeśli nie zastaniecie go w domu, zasięgnijcie języka u kogoś z domowników, lub sąsiadów. Z wyjątkiem profesora, nikomu nie wyjawiajcie sprawy. Tylko dyskretny wywiad! Najlepiej powiedzcie, że chodzi nam o poradę fachową. Rozumiecie?

- Tak jest, obywatelu poruczniku!

- Nawrót, włóżcie cywilne ubranie. Pamiętajcie, delikatnie zapuścić sondę. Proszę o raport jeszcze przed dwunastą.

Nim upłynęło pół godziny plutonowy Nawrót, ubrany w cywilny płaszcz, szalik i kapelusz, już był w Brynowie. Odnalezienie domu na Różyckiego nie zajęło mu wiele czasu. Nacisnął klamkę furtki. Była otwarta. Wszedł do ogródka. Zaciekawiony spoglądał na frontową ścianę willi, w której widać było tylko jedno małe, okrągłe okienko. W głębi podcienia dojrzał drzwi. Zbliżył się ku nim. Nie posiadały klamki ani dzwonka. Za to nad wbudowaną w nie głową robota znajdowała się emaliowana tabliczka.

“Powiedz, kim jesteś, a dowiesz się, czy zastałeś gospodarza w domu” - odczytał plutonowy i uśmiechnął się wyrozumiale.

Nieliczni naukowcy, z jakimi zetknął się w swym życiu, posiadali różne słabostki. Na przykład jego dawny nauczyciel matematyki stale gubił okulary, a potem zdumiony odnajdywał je we własnej kieszeni. Natomiast jakiś uczoney angielski, jak kiedyś opowiadano Nawrotowi, był tak bardzo roztargniony, że chcąc ugotować jajko na miękko na śniadanie, zamiast niego wrzucił do garnka z wrzątkiem zegarek, na którym miał sprawdzać, by czas gotowania wyniósł dokładnie trzy minuty. Toteż, aczkolwiek plutonowemu Nawrotowi śmieszne wydawało się prowadzenie rozmów z kukłą umieszczoną na drzwiach, zgodnie z życzeniem uczonego oryginała, odezwał się:

- Jestem Nawrot, czy zastałem pana profesora Rawę w domu?

- Pan profesor wyjechał, jeśli sprawa pilna, proszę powiedzieć o co chodzi. Powtórzę, gdy profesor wróci.

Plutonowy Nawrót podejrzliwie spoglądał na kukłę. Mówiła nie poruszając ustami, ale milicjant byłby przysięgł, że porozumiewawczo mrugnęła do niego jednym okiem. Nie domyślił się, że w “oku” robota mieściła się soczewka, która fotografowała pytających o wynalazcę.

- A kiedy wróci pan profesor? - jeszcze raz zagadnął plutonowy.

- Proszę zgłosić się w końcu miesiąca - padła odpowiedź.

Plutonowy parsknął śmiechem, ubawiła go ta rozmowa z robotem. Przyglądając mu się, mruczał półgłosem:

- Niezłe urządzenie! Ten ponury dom przypomina mi skarbiec Ali Baby, o którym czytałem moim chłopakom! Bez hasła ani rusz nie można było wejść do niego. Jak ono brzmiało...? Aha, Sezam...

Zaledwie wymówił owe legendarne rozbójnicze hasło, drzwi do domu profesora Rawy otworzyły się bezszelestnie. Plutonowy przez chwilę stał zdumiony. Czyżby ktoś usiłował zabawić się jego kosztem?! Ostrożnie zajrzał do hallu. Panowały tam cisza i półmrok. Pomyślał, że skoro otworzono mu drzwi, powinien wejść do środka. Niepewnie przekroczył próg hallu. Natychmiast zajaśniało elektryczne światło, a jednocześnie drzwi same zamknęły się za nim.

- Czy jest tu kto? - na głos zapytał Nawrot. Nie było odpowiedzi. W całym domu panowała absolutna cisza. Milicjant wzruszył ramionami. Zaczął rozglądać się dokoła. Uwagę jego zwróciły duże, dwuskrzydłowe drzwi z prawej strony hallu. Wolno ruszył ku nim. Przystanął przed lustrem umieszczonym w środku ściennego wieszaka. Zastanawiał się, czy powinien zdjąć płaszcz. Wtem ktoś porwał mu z głowy kapelusz. Nawrot wykonał ruch, jakby chciał przytrzymać nakrycie głowy, lecz sztuczna ręka już wieszała kapelusz na wieszaku. Nawrót nabrał teraz przekonania, że ktoś z domowników obserwuje go z ukrycia i płała mu figle. Podeszedł do drzwi. Chrząknął, potem zapukał energicznie. Następne pukanie także pozostało bez odpowiedzi. Milicjant pochylił się, by zajrzeć przez wąską szparkę między dwoma skrzydłami drzwi. Mimo woli oparł się ręką o futrynę. Już po raz drugi tego dnia przypadek zrządził, że Nawrót bezwiednie uruchomił mechanizm otwierający drzwi, tym razem ukryty pod listewką futryny.

Oczom nieco oszołomionego milicjanta ukazała się obszerna pracownia profesora Rawy. Przy długim stole zastawionym różnymi aparatami o matowych, szklanych ekranach, przyrządami pomiarowymi i innymi urządzeniami, stał pusty fotel. Nawrót postąpił kilka kroków. Nikogo nie było w pracowni. Dopiero po dłuższej chwili złowił uchem lekki szum urządzeń klimatyzacyjnych i miarowe cykanie zegara. Naraz drgnął ujrawszy, że obiektyw umieszczony nad ekranem jakiegoś dziwnego aparatu, czy telewizora, przesuwa się razem z nim przy każdym jego poruszeniu. Nawrót nie spuszczać wzroku z obiektywu wykonał kilka kroków. Tak, obiektyw wiódł za nim swoim okiem, niby strzelec mierzący z karabinu do ruchomego celu. Milicjant zmarszczył brwi. Począł skradać się do tajemniczego aparatu. Był już od niego tylko o wyciągnięcie ręki. Naraz z góry uderzył w niego potok silnego światła. Jednocześnie rozległy się głośne trzaski i szum, mogące nawet umarłego zerwać na równe nogi. Nawrót oślepiiony odskoczył do tyłu. Reflektor zgasł zaraz i znów zapanowała cisza.

Milicjant ostrożnie wycofał się z pracowni. Już nawet nie zajrzał za parawan

osłaniający przeciwny narożnik. Podejrzliwie patrząc na wieszak, zdjął swój kapelusz. Od wewnętrznej strony domu drzwi wyjściowe posiadały klamkę. Nawrót odetchnął z ulgą, gdy znów znalazł się w ogródku. Za willą stał mały domek dozorczy, lecz i tam nie zastał nikogo. Zawiedziony skierował się do furtki na ulicę. Wtedy właśnie ukazała się w niej pani Mruczkowa niosąca sprawunki z miasta. Zmierzyła go surowym spojrzeniem.

- A pan, czego tu szuka? - zagadnęła.

- Chciałem się widzieć z panem profesorem Rawą - wyjaśnił Nawrót.

- A w jakiej sprawie? - podejrzliwie indagowała gospodyni.

- Czy mam przyjemność z panią dozorczynią? - zapytał Nawrót, pamiętając o poleceniu, że wywiad ma być przeprowadzony dyskretnie.

- Jestem dozorczynią i gospodynią pana profesora - odparła nieco wyniośle.

- Bardzo mi miło, jestem plutonowy Nawrót z Komendy Milicji. Chcieliśmy prosić profesora o pewną poradę fachową.

Pani Mruczkowa zaraz się wypogodziła. Milicja już korzystała z usług jej chlebodawcy.

- A to pan źle trafił - odparła uprzejmie. - Pan profesor wyjechał do Londynu i wróci dopiero przy końcu miesiąca.

- Czy dawno wyjechał?

- Będzie z jakie dwa tygodnie temu. Pewno macie tam coś pilnego?

- Właśnie, właśnie - potwierdził Nawrót. - A czy pani nie wie, gdzie zatrzymał się pan profesor w Londynie?

- Pewno, że wiem. Pan profesor zawsze mówi na wszelki wypadek. Mieszka w Royal Hotel.

Nawrót zanotował adres, po czym jeszcze zapytał:

- Czy nikt teraz nie przebywa w domu?

- Tylko syn pana profesora. Nocuje z nim kolega ze szkoły. Raźniej im we dwójkę! Poza tym ciotkę ma w pobliżu, na Fitelberga. Tak to zawsze, jak kobiety nie ma w domu. Sami żyją, odkąd pani profesorowa umarła.

- Zapiszę sobie adres krewnej. Czy ma telefon?

Pani Mruczkowa udzieliła wyczerpujących informacji i uprzejmie pożegnana powędrowała do domu gotować obiad.

Nawrót wyszedł na ulicę. Ciekawym wzrokiem spoglądał na dom w ogrodzie. Z zamyślenia wyrwał go głos kobiety:

- Pan do pana profesora? Chyba za rano pan przyszedł. Nasz wielki wynalazca pracuje do późnej nocy. Teraz pewno jeszcze śpi.

Starsza pani trzymała w ręku koszyczek z zakupami. Widać było, że ma olbrzymią ochotę pogawędzić. Po kilkunastu minutach Nawrot wiedział już, że mieszkała w sąsiedztwie i prowadziła córce gospodarstwo domowe. - Nawrot mimochodem wspomniał, że nie zastał profesora, który wyjechał za granicę.

- Jak to?! Przecież widziałam go w poniedziałek zawołała zdumiona. - Właśnie wysiadłam z tramwaju. Szedł z synem i dziećmi swojej szwagierki w kierunku parku!

- A może pani się pomyliła? - zapytał zdziwiony Nawrot.

- Skądże, zawołałam: "Dobry wieczór panu profesorowi!", a on spojrzał na mnie i kiwnął głową. Ja bym go nie poznała! Przecież dziesięć lat już sąsiadujemy!

Nawrot natychmiast pospieszył na ulicę Fitelberga. Szwagierka potwierdziła słowa dozorczyń. Wyjaśniła również, że owa uczynna sąsiadka jest znanym krótkowidzem. Musiała się pomylić. Zdezorientowany powrócił do Komendy.

Porucznik Wadowski siedział zamyślony. Bezwiednie stukał ołówkiem o blat biurka. Przed nim leżały raporty posterunkowych. Zawierały niezrozumiałe sprzeczności. Szwagierka profesora oraz jego gospodyni kategorycznie twierdziły, że naukowiec przebywa od dwóch tygodni w Londynie. Natomiast sąsiadka miała go spotkać owego wieczoru, kiedy to redaktor Kalicki widział zajście przy "beczce" na ulicy Kościuszki. Był to co najmniej dziwny zbieg okoliczności. Raport Maligi w pewnym sensie pokrywał się z opowiadaniem redaktora. Sprzedawczynie z kiosku Ruchu i "beczki" podały rysopis napadniętego mężczyzny. Odpowiadał rysopisowi profesora Rawy. Kto się mylił, a kto mówił prawdę? A może też w Katowicach przebywał ktoś bardzo podobny do wynalazcy?

Logiczny umysł oficera śledczego sprawnie segregował zbieżności i różnice w raportach. Rawa nie mógł jednocześnie przebywać w Londynie i w Katowicach. Sąsiadka była krótkowidzem, jej słowa były mało znaczące, lecz redaktor Kalicki osobiście znał wynalazcę. Czy napad przy "beczce" był tylko zbiegiem okoliczności, czy też ktoś dokonał go ze względu na podobieństwo owego osobnika do Rawy? To właśnie najbardziej niepokoiło oficera.

Wadowski prosił kiedyś Rawę o konsultację w sprawie skomplikowanego zamka elektronicznego, instalowanego w instytucji państwowej. Przy okazji rozmawiał z profesorem na temat jego niezwykłych osiągnięć naukowych. Wynalazki Rawy były zdumiewające. Na pewno posiadał niejedną tajemnicę.

"Ostrożność nie zawadzi - mruknął oficer. - Jedyne bezpośrednia rozmowa z Rawą może rozstrzygnąć wątpliwości".

Doszedłszy do takiego wniosku, ujął słuchawkę telefonu.

Gdy zgłosiła się centrala, rzekł:

- Proszę zamówić rozmowę z Royal Hotel w Londynie z przywołaniem profesora Piotra Rawy z Katowic.

Nieoczekiwana pomoc

Nastał wtorek siedemnastego lipca. Maciek i Bożena przybiegli wczesnym rankiem do swych przyjaciół. Byli niezmiernie ciekawi, czy robot zdołał podsłuchać w Orbisie rozmowę tajemniczych mężczyzn. Marek jeszcze raz odczytał spisaną na kartce relację Roba. Domorośli detektywi rozpoczęli gorączkową naradę. Cóż to za skarb w pancерnej kasie profesora Rawy mógł nęcić złoczyńców?! Według zapewnień Andrzeja ojciec nie trzymał w domu pieniędzy. Czyżby więc chodziło o jakiś jego wynalazek?

- Musimy natychmiast zawiadomić milicję - bojaźliwie doradzała Bożena. - Ci złodzieje są bardzo niebezpieczni! Nie mogę zapomnieć tego okropnego napadu na Roba!

- A może zwierymy się naszej mamie? - podsunął Maciek. - Szkoda, że ojciec przebywa na wczasach, on wiedziałby, jak należy postąpić.

- Nie, nie, nie przerażajmy cioci - zaproponował Andrzej. - W tej sprawie jedynie milicja może nam pomóc.

- Z podsłuchanej rozmowy wynika jasno, że oni nie odważyliby się na napad, gdyby pan profesor był w domu - wtrącił Marek. - Na pewno nigdy nie widzieli twego ojca. Dlatego nie poznali go w Orbisie!

- Marek ma rację! Kelnerka, która prawdopodobnie często widywała prawdziwego wujka w kawiarni, od razu mówiła do sztucznego sobowtóra "panie profesorze" - potwierdziła Bożena.

- Przegapiliśmy świetną okazję! - denerwował się Marek. - Przecież w szatni Orbisu znajduje się telefon! Mogliśmy wtedy zatelefonować do kawiarni i poprosić pana profesora Rawę.

- Jaka szkoda, że wcześniej nie wpadłeś na ten pomysł - żałował Andrzej. - Tak, w ten sposób tamci mężczyźni dowiedzieliby się, kto siedzi obok nich...

- I pozostawiliby nas w spokoju - dokończył Maciek.

- Teraz już nic nie możemy zrobić, musimy jak najszybciej zawiadomić milicję - nagliła Bożena.

- Rozmowa utrwalona na taśmie magnetofonowej stanowi chyba wystarczający powód do aresztowania - powiedział Marek. - Poza tym będziemy mieli fotografie.

- Złodziejaszki obawiają się milicji. Może nawet są notowani w kartotece kryminalnej - zawołał Maciek. - Milicja na pewno pozna któregoś z nich na fotografii!

- Tak, tak, oczywiście, lecz przede wszystkim musimy wywołać błonę fotograficzną -

zauważył Andrzej. - Wczoraj wieczorem wyjąłem ją z aparatu Roba.

- Spieszmy się, spieszmy - ponaglała Bożena.

- A więc do roboty! Nieraz już wywoływałem błony filmowe. Gdzie urządzimy ciemnię? Czy masz wywoływacz i utrwalacz? - zapytał Marek.

- W pracowni jest mała ciemnia fotograficzna. Tam znajdziemy konieczne aparaty i przybory - wyjaśnił Andrzej.

Nim minęło półtorej godziny taśma filmowa znajdowała się w suszarce. Oczekując na wyschnięcie filmu, czwórka detektywów-amatorów naradzała się w pokoju Andrzeja. Naraz nad drzwiami rozbłysła czerwona lampka.

- Andrzej, telefon! - zawołał Maciek, który pierwszy spostrzegł sygnał świetlny.

- Może to wujek z Londynu! - krzyknęła Bożena

Poderwali się na równe nogi. Pobiegli do gabinetu profesora. Andrzej chwycił słuchawkę telefonu i podniecony nadzieją, zawołał:

- Tu mieszkanie profesora Rawy, słucham!

- Chwileczkę, łączę... - powiedział w słuchawce kobiecy głos.

Potem odezwał się mężczyzna:

- Czy mogę mówić z panem profesorem Rawą?

Andrzej zawahał się, po czym zapytał:

- Czy można wiedzieć, kto prosi?

- Redakcja nauki i techniki Rozgłośni Radiowej w Katowicach - odparł mężczyzna. -

Czy zastałem pana profesora w domu?

- Ojciec jest... - zaczął mówić Andrzej, lecz w tej chwili Marek zasłonił mu dłonią mikrofon telefonu.

- Kto to jest? Nie mów, że ojca nie ma w domu - ostrzegł.

- To z Radia pytają o ojca - szeptem wyjaśnił Andrzej. - Chcą z nim rozmawiać.

- Powiedz, że bardzo zajęty i zapytaj, o co chodzi - szybko doradził Marek.

- Halo! Czy mogę mówić z profesorem? - niecierpliwiał się głos w słuchawce.

- Bardzo przepraszam, ale ojciec nie może w tej chwili podejść do telefonu. Czy nie mógłby pan mnie powiedzieć? - niepewnie odparł Andrzej.

- Chcieliśmy prosić o przyspieszenie terminu pogadanki, którą pan profesor miał wygłosić dwudziestego szóstego lipca. Proponujemy dziewiętnastego lipca, to jest pojutrze, w czwartek. Proszę spytać, czy to będzie możliwe. Bardzo nam zależy, żeby pan profesor osobiście wygłosił prelekcję.

Andrzej dawał Markowi rozpaczliwe znaki. Teraz nie wiedział, co odpowiedzieć. Dla

zyskania na czasie zapytał:

- Proszę pana, na jaki temat miała być ta prelekcja?

- "Cybernetyka nauką przyszłości" - padła odpowiedź. - Początkowo umówiliśmy się, że pan profesor dostarczy pogadankę nagraną na taśmie, lecz teraz bardzo nam zależy na tym, żeby profesor zgodził się wygłosić ją osobiście i we wcześniejszym terminie. Jeśli pan profesor wyrazi zgodę, zapowiemy prelekcję w prasie i przez radio.

Marek zaalarmowany przez przyjaciela od kilku chwil przysłuchiwał się rozmowie, przyłożywszy ucho do słuchawki. Teraz na migi dał do zrozumienia, żeby zasłonił mikrofon. Gdy Andrzej to uczynił, szepnął:

- Wpadliśmy! Powiedz, że porozumiesz się z ojcem i zadzwonisz do Radia.

- Zapytam ojca i przetelefonuję odpowiedź za kilka minut - powtórzył Andrzej.

- Proszę zadzwonić pod 319-21, Redakcja nauki i techniki. Sprawa bardzo pilna, czekam przy telefonie.

Andrzej położył słuchawkę na widelki.

- Niech to licho weźmie! Niepotrzebnie palnęliśmy głupstwo - zafrasował się Marek. - Myślałem, że to któryś z tamtych typków podszywa się pod Radio, by sprawdzić, czy pan profesor przypadkiem nie powrócił! Co teraz poczniemy?

- Zobaczycie, jak wujek zmyje nam głowy! - zawołała Bożena. - Dlaczego kazałeś Andrzejowi mówić nieprawdę?!

- Pomyliłem się, ale przecież, gdyby to był ten o lisiej twarzy, podstęp mógłby oddać nam wielką usługę - usprawiedliwiał się Marek. - Sami słyszeliście, co oni mówili w Orbisie! Powrót pana profesora na pewno zapobiegłby napadowi.

- Słuchajcie! - naraz odezwał się Andrzej. - Ten redaktor powiedział, że jeśli ojciec wyrazi zgodę na wygłoszenie referatu w czwartek, to zapowiedzi będą ogłoszone w prasie i przez radio... Czy pamiętacie, co mówił jeden z tych złoczyńców?!

- Czekaj, czekaj! Coś mi się przypomina - zawołał Marek podniecony jakąś myślą. Szybko wydobyl z kieszeni notatki i po chwili odczytał: - "3 głos: zapamiętamy, w interesach jesteśmy skrupulatni. Wąsik jedzie do Wrocławia, a ja przysiędę fałd w domu i, jak zwykle przed robotą, będę spał i słuchał radia. Nikt mnie nie zobaczy. Teraz już chodźmy stąd!"

- Ależ to byłoby wprost genialne! - entuzjasmował się Maciek. - Wujek wygłasza przez radio referat, tamten słyszy go na własne uszy i już po całym strachu!

- Marzenie ściętej głowy! Wujka nie ma i referatu nie wygłosi - rozgniewała się Bożena.

Andrzej opanowany jakąś myślą podbiegł do biurka. W pierwszej z brzegu szufladzie leżała duża, wypukła koperta. Na jej wierzchu widniał odręczny napis:

“Cybernetyka nauką przyszłości - pogadanka radiowa na dzień 26 lipca 1962 roku. Przesłać jeszcze przed wyjazdem.”

- Zobaczcie, sami zobaczcie, co tu się znajduje - zawołał stłumionym głosem.

Przyjaciele zaintrygowani obstąpili biurko. Marek jednym tchem przeczytał na głos napis na kopercie, a potem zdumiał się:

- Przecież to jest referat, o który upominał się redaktor - ostrożnie obmacał palcami kopertę i dodał:

- Tam jest coś okrągłego... Czyżby to była taśma magnetofonowa?!

- Ojciec większość swych prac zapisuje w ten sposób - potwierdził Andrzej. - Na pewno przed wyjazdem zapomniał wysłać referat do radia.

- Ależ to cudownie się składa! Teraz my go zaniemiemy i ci złoczyńcy usłyszą głos wujka! - rozpromieniła się Bożena.

- Cicho bądź! - zgromił ją Marek.

Trzej chłopcy porozumiewawczo spoglądali na siebie. W ich rozgorączkowanych głowach niemal jednocześnie zakiełkował fantastyczny pomysł. Bożena mierzyła milczących przyjaciół podejrzliwym wzrokiem. Widocznie odgadła ich zamiary; naraz cofnęła się kilka kroków i, wystraszona, krzyknęła:

- Za nic na świecie nie pójdę ze sztucznym wujkiem do Radia! Powiem mamie wszystko, a nie pójdę!

Maciek błyskawicznym skokiem zasłonił sobą drzwi, aby siostra nie mogła umknąć.

- Nie bój się, wcale nie mamy zamiaru namawiać cię do pójścia z Robem do Radia - powiedział Andrzej.

- Gdybym był pewny, że to powstrzyma tamtych mężczyzn, sam bym go zaprowadził. Byłem tam już raz z ojcem...

- Andrzej, nad czym się zastanawiasz?! - porywczo zawołał Marek. - Sam los zsyła nam ratunek! Oni planują urządzić włamanie w piątek. Tymczasem referat ma być wygłoszony w czwartek, a więc o jeden dzień wcześniej! Tamten typek czatuje w domu, słucha sobie radia, aż tu nagle słyszy zapowiedź, że pan profesor Rawa wygłosi referat i pan profesor sam przemawia! Cóż wtedy zrobią złodziejaszki?!

- Uciekną, gdzie pieprz rośnie! - triumfująco dokończył Maciek. - Nie będziemy musieli wzywać milicji i nikt nie dowie się o tajemnicy wujka!

- Tak, tak, właśnie o to mi chodzi! - szybko mówił Marek. - W piątek wyprawimy się na rekonesans do Zielonego Oczka. Jeśli mimo wszystko złodzieje tam przyjdą, natychmiast powiadomimy milicję.

Nawet Bożena, uspokojona przez Andrzeja, że on nam zaprowadzi sobowtóra do Radia, zapaliła się do niezwykłego projektu. Andrzej zaraz otworzył paczkę, po czym włożył taśmę do magnetofonu. To był referat profesora Rawy. Potem Andrzej zatelefonował do Rozgłośni. Centrala telefoniczna połączyła go z Redakcją nauki i techniki.

- Tu Andrzej Rawa - rzekł chłopiec.

- Właśnie czekałem na telefon - rozbrzmiało w słuchawce. - Co pan profesor zdecydował?

- Ojciec zgadza się wygłosić referat w czwartek - odparł Andrzej.

- Proszę podziękować panu profesorowi, że nie sprawił nam zawodu - mówił redaktor. - Zaraz puszcza anonsy do prasy i na antenę.

- Ojciec prosił, żeby zawiadomienie przez radio było podawane w różnych porach dnia. To bardzo ważne... - nieśmiało dodał Andrzej.

- Ależ oczywiście, proszę zapewnić pana profesora, że tak uczynimy. A więc będę czekał w hallu w czwartek o godzinie szesnastej. Początek audycji o szesnastej dziesiąt.

- Przyjdę z ojcem, będziemy punktualnie o szesnastej, do widzenia - powiedział Andrzej. Położył słuchawkę.

Następny dzień czwórka spiskowców spędziła nadzwyczaj pracowicie. Maciek z Bożeną na zmianę czuwali przy radiu w swoim domu, aby matka przypadkiem nie usłyszała zapowiedzi o referacie szwagra przebywającego za granicą. Marek natomiast dokonał zamachu na aparat pani Mruczkowej. Mianowicie, podczas gdy Andrzej zagadywał pocziwą gospoś, Marek odłączył jeden przewodnik od wtyczki. Dzięki temu ani szwagierka, ani gospodyni nie dowiedziały się o uknutym spisku.

Redaktor Rozgłośni dotrzymał przyrzeczenia. Z głośników płynęły anonsy, że znany i zasłużony polski wynalazca profesor Rawa wygłosi aktualną pogadankę na temat wspaniałej przyszłości cybernetyki.

Nadszedł wieczór. Tego właśnie dnia przypadały urodziny ojca Marka. Z tej okazji pani Ciesielska zaprosiła Andrzeja na kolację. Obydwaj chłopcy byli bardzo niespokojni. Jak cienie snuli się przy aparacie radiowym. Toteż przez cały wieczór z głośnika płynęła zagraniczna muzyka taneczna. Katastrofa nastąpiła dopiero podczas kolacji. Ojciec Marka nastawił radio na Katowice, by posłuchać dziennika. Marek i Andrzej wymieniali paniczne spojrzenia, lecz nie śmieli sprzeciwić się solenizantowi. Naraz zamarli w bezruchu. Spiker kończył czytanie wieczornych wiadomości. I wtedy stało się najgorsze. Bo oto nieubłagany głos zaczął nadawać komunikat:

“Redakcja nauki i techniki katowickiej Rozgłośni Radiowej ma dla państwa

interesującą informację. Jutro, to jest w czwartek o godzinie szesnastej dziesięć, zasłużony polski wynalazca, profesor Piotr Rawa, wygłosi pogadankę na temat: Cybernetyka nauką przyszłości!”

Pan Ciesielski zdumiony nieoczekiwaną wiadomością spojrzął na Andrzeja.

- Cóż to ma znaczyć? - zapytał. - Przecież twój ojciec przebywa za granicą?

Przy stole zapanowała kłopotliwa cisza. Pani Ciesielska także spoglądała niedowierzająco na syna profesora.

- Czyżby w Radiu mogli popełnić taką pomyłkę?! - zapytała po chwili.

Marek trącił Andrzeja pod stołem i zawołał:

- A to ci heca! Ktoś na pewno oberwie tam za taką informację!

- Wcale nie - zaproponował Andrzej, czując, że rumieńce występują mu na twarzy, - Ojciec nagrał pogadankę na taśmie magnetofonowej. Jutro mam ją dostarczyć do Radia. Pójdiesz ze mną, nieprawda?

- Ha, jeśli tak się sprawa przedstawia, to jasne, że pójdziemy razem - odparł Marek, oddychając z ulgą.

- Muszę posłuchać tego referatu. Tak mało wiem o cybernetyce - zauważyła pani Ciesielska.

- Przy dzisiejszej technice wszystko jest możliwe wtrącił ojciec. - Proszę, profesor przebywa w Londynie i jednocześnie przemawia w Katowicach!

Niebezpieczeństwo minęło... Obydwaj chłopcy uradowani takim obrotem sprawy wesoło spędzili resztę wieczoru. W jak najlepszych humorach powrócili do domu Andrzeja dopiero około dwunastej w nocy.

- Przytomny chłopak z ciebie - chwalił Marek ubierając się do spania. - Zupełnie zbaraniałem słysząc komunikat nadawany przez radio.

- Ja również nie wiedziałem w pierwszej chwili, co powiedzieć twoim rodzicom - przyznał się Andrzej.

- Na szczęście uratowałeś sytuację. Masz wspaniały refleks.

- A jednak może źle uczyniliśmy mówiąc nieprawdę - wahał się Andrzej. - Twój ojciec na pewno by nam pomógł...

- Nie łam się, czuję, że wszystko pójdzie jak po maśle. Cała Polska będzie mówiła o naszym Klubie! Czy nie jesteś dumny?

- A jeśli ci złoczyńcy okażą się sprytniejsi od nas?! Zbyt mało mamy doświadczenia.

- Świat stoi otworem przed młodzieżą - buńczucznie powiedział Marek. - Cóż ci włamywacze mogą nam zrobić?! W najgorszym wypadku zaalarmujemy milicję. Fotografie

udały się na medal. Zdobyliśmy doskonałe dowody rzeczowe. Poza tym po naszej stronie jest genialny Rob. Czy już zapomniałeś o nim? Jednym ruchem palca obezwładni nawet całą bandę opryszków!

- Prawda, zapomniałem o Robie... Jak myślisz, czy mój ojciec nie będzie miał do mnie żalu?

- Będzie z nas zadowolony i nawet pochwali. Jestem tego pewny.

Otulili się kocami. Sen zaczynał kleić im powieki. Nie widzieli już błysku światła, które na krótką chwilę zapłonęło w pokoju. Umieszczony w rogu obiektyw telewizyjny mrugnął swoim ruchomym okiem, po czym , znów zapadła ciemność.

Przed samym świtem jakiś cień wysliznął się z pracowni profesora Rawy. Bezgłośnie otworzył drzwi wiodące do ogrodu i przepadł w mrokach nocy.

W potrzasku

Nadszedł czwartek dziewiętnastego lipca. Członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód od samego rana zgromadzili się w komplecie w willi profesora Rawy. Wszyscy byli podnieceni. Przecież akcja “uderzenie z eteru”, jak Marek nazwał wygłoszenie pogadanki przez robota-sobowtóra w Rozgłośni Radiowej, mogła przyczynić się do udaremnienia włamania do pracowni wynalazcy.

Marek, jako wódz, czuwał skrzętnie nad przebiegiem przygotowań. Na jego polecenie Bożena ani na chwilę nie odstępowała pani Mruczkowej w kuchni. Dzięki jej wesołej paplaninie Andrzej mógł niepostrzeżenie wśliznąć się do pracowni ojca w celu umieszczenia w robocie taśmy z referatem, który miał być wygłoszony po południu przez “profesora Rawę”. Maciek pełnił służbę wartowniczą przed domem i co pewien czas składał przywódcy meldunki o warunkach atmosferycznych. Na szczęście dla młodych spiskowców pogoda zdecydowanie uległa poprawie. Poprzez strzępiaste chmury przeświecało słońce. Ułatwiało to przeprowadzenie sobowtóra do Rozgłośni Radiowej.

Jeszcze przed obiadem wszystkie przygotowania zostały zakończone. Marek właśnie rozsiadł się za stołem w pokoju Andrzeja i odbierał meldunki od ustawionych przed nim w szeregu członków Klubu.

- Andrzej pierwszy zdaje sprawozdanie - polecił dowódca, przybierając surowy wyraz twarzy.

- Rob jest gotów do wyjścia i wygłoszenia referatu. Wszystkie urządzenia działają bez zarzutu.

- A czy przypadkiem nie założyłeś taśmy odwrotnie? - indagował Marek.

- Po przesłuchaniu całego referatu sprawdziłem, czy taśma jest włożona prawidłowo - uspokoił go Andrzej. - Skontrolowałem również działanie aparatu zdalnie kierującego. Rob reaguje posłusznie na wszystkie rozkazy.

- Ale ja za nic na świecie nie będę prowadziła sztucznego wujka - pośpiesznie zastrzegła się Bożena.

Marek zmroził ją surowym spojrzeniem i upomniał:

- Nie odzywaj się, gdy cię nie pytam! Już postanowiłem, że Andrzej osobiście będzie sterował robotem.

- Dobrze, dobrze, ja tak tylko na wszelki wypadek, bo wy zawsze najgorsze spychacie na mnie...

- Nie bądź za przebiegła! Teraz Maciek składa meldunek!

- Na dworze pogodnie i ciepło, robot może pójść bez płaszcza i kapelusza - powiedział Maciek.

- No, Bożena, teraz twoja kolej! - rozkazał dowódca.

- Pilnowałam, żeby gosposia nie przeszkadzała Andrzejowi i jednocześnie dowiedziałam się czegoś naprawdę bardzo ważnego. Po południu pani Mruczkowa robi u siebie przepiórkę. Pan Mruczek pobrudził już wszystkie koszule. Nie będzie z nią kłopotu podczas wyprowadzania z pracowni sztucznego wujka.

- Dobrze się spisałaś! To rzeczywiście ważna dla nas wiadomość - pochwalił Marek. - Dobra, idźcie na obiad, a potem punkt o piętnastej zbiórka tutaj! Zrozumiano?!

O wpół do czwartej po południu bez przeszkód po cichu wymknęli się z domu. Zgodnie z ustalonym planem Andrzej sam sterował cybernetycznym człowiekiem.

Robot kroczył posłusznie, reagując na wszystkie rozkazy. Trójka przyjaciół podążała tuż za sobowtórem profesora Rawy. Z niezwykłym napięciem śledziła każdy jego ruch. Tak jak podczas wyprawy do Orbisu, z ulicy Kościuszki skręcili w Jordana i bocznymi ulicami dotarli do rogu ulicy Ligonia. Tam właśnie mieścił się gmach Rozgłośni.

Punktualnie o czwartej Andrzej wprowadził robota im kamienne schody. Poblądł z obawy, jak zachowa się oczekujący na nich redaktor. Czy nic nie pozna?! Czy robot posłusznie wykona zadanie? Bezradnie obejrzał się na przyjaciół, którzy pozostali na ulicy. Szeptali coś ożywni i znakami dodawali mu otuchy.

Andrzej otworzył pierwsze drzwi, potem następne. Weszli do hallu. Przy małym stoliku obok szatni gawędziło dwóch umundurowanych strażników. Andrzej szybko rozejrzał się wokoło. Redaktora jeszcze nie było w hallu. Naraz robot odwrócił się ku strażnikom. Wolno ruszył w ich kierunku. Andrzej próbował go powstrzymać, lecz robot nie reagował na rozkazy.

Strażnicy zazwyczaj wydawali przepustki interesantom wchodzącym do Rozgłośni, toteż uprzejmie poderwali się na widok poważnego mężczyzny.

- Dzień dobry, do kogo pan sobie życzy... - zaczął jeden z nich.

Nie dokończył zdania. W tej chwili Rób uniósł prawą dłoń. Z wskazującego palca wytrysnął nikły obłoczek. Obydwaj strażnicy oszołomieni osunęli się na krzesła. Andrzej omal nie zemdlał z przestachu. Dopiero teraz spostrzegł na piersiach jednego z nich jakąś błyszczącą odznakę wojskową, zapewne sprawczynię całego nieszczęścia.

- Dzień dobry, panie profesorze! - rozbrzmiało w tej chwili gdzieś za plecami Andrzeja.

- Rozpoczynamy za pięć minut...

Andrzej jak przez mgłę ujrzał nadbiegającego mężczyznę. Sobowtór, wciąż jeszcze z

wyciągniętą prawą ręką, odwrócił się do niego. Redaktor pośpiesznie uściśnął dłoń “profesora” i mówił dalej nie spostrzegając omyłki:

- Bardzo przepraszam, spóźniłem się trochę, proszę do studia, zaraz rozpoczynamy...
Proszę za mną!

Poszedł pierwszy... Andrzej oprzytomniał. Zerknął na strażników. Oszołomieni siedzieli z lekko odchylonymi do tyłu głowami. Andrzej chwycił robota za rękę. Poprowadził go za redaktorem znikającym w korytarzu z prawej strony hallu. Nacisnął dłoń sobowtóra. Minęli trzy kamienne stopnie, po czym zboczyli w korytarz. Robot znów posłusznie szedł za Andrzejem. Redaktor zatrzymał się przed drzwiami, nad którymi widniał sygnał świetlny. Było to “Studio spikera”. Otworzył drzwi. W głębi pokoju przedzielonego szklaną ścianą stał stolik nakryty zielonym suknem. Nad stolikiem zwiisał mikrofon.

- Pan profesor będzie uprzejmy zająć miejsce - odezwał się redaktor. - Czerwone światło, jak zwykle, jest hasłem, że rozpoczynamy audycję!

Drzwi cicho się zamknęły. Andrzej pozostał sam na sam z robotem. Usadził go w fotelu przy stoliku. Pełen niepokoju przysiadł w tyle na krześle. Za szklaną ścianą spiker dał właśnie znak, że zaraz włączy mikrofon. Zaczął zapowiadać audycję.

Andrzej szybko wydobyl z kieszeni pudełeczko-nadajnik. Otworzył wieko. Wydobyl wtyczkę, a następnie lekko wsunął ją w szósty otwór. Teraz wlepił wzrok w świetlne sygnały na ścianie. W tej chwili jeszcze nic się nie działo. Naraz mężczyzna za szklaną ścianą kiwnął głową, zajaśniała czerwona lampka. Andrzej mocniej docisnął wtyczkę. Robot przemówił...

“Cybernetyka jest na wskroś nowoczesną nauką, zapoczątkowaną zaledwie kilkanaście lat temu przez wybitnego amerykańskiego matematyka polskiego pochodzenia - Norberta Wienera. Jego klasyczne dzieło cybernetyczne pod tytułem: “Cybernetyka, czyli sterowanie i łączność w zwierzęciu i maszynie” - ukazało się w Stanach Zjednoczonych i we Francji w 1948 roku i było wówczas prawdziwą rewelacją w świecie naukowym. Podczas minionej wojny światowej nastąpił olbrzymi rozwój współczesnej telekomunikacji, z telewizją, radarem i elektroniką stosowaną na czele. Wiele zagadnień poruszanych w dziele Wienera jako hipotezy, dzisiaj jest już w pełni udowodnionych.

Trudno już obecnie przewidzieć, dla jakich nauk cybernetyka stanie się najbardziej przydatna. Zainteresowane jej rozwojem są nie tylko takie nauki techniczne, jak automatyka, maszyny matematyczne i telekomunikacja, lecz również i fizjologia, ekonomia z teorią planowania ekonomicznego i medycyna. W badaniach swych cybernetyka posługuje się logiką matematyczną, nowoczesną algebrą i rachunkiem prawdopodobieństwa. Cybernetykę coraz szerzej stosuje się dziś w przemyśle, naukach przyrodniczych, a nawet społecznych...”

Robot spokojnie mówił dalej, a Andrzej drżał z niecierpliwości. Czy strażnicy odzyskali już przytomność? Co pomyśleli o dziwnym wydarzeniu? Czy nie zatrzymają ich, gdy będą wychodzili? Minuta mknęła za minutą... Nagłe umilknięcie Roba przywróciło Andrzeja rzeczywistości. Na ścianie zgasło czerwone światło. Audycja dobiegła końca.

Na korytarzu oczekiwał redaktor. Odprowadził domniemanego profesora Rawę aż do drzwi hallu. "Profesor" w skupieniu wysłuchał podziękowania. Strażnicy, jak się chłopcu wydawało, nieco onieśmieleni, z daleka uprzejmie zasalutowali.

Andrzej z trudem opanowywał się, by równym krokiem zejść z robotem po schodach. Olbrzymia radość rozpieła jego piersi. A więc udało się! Tuż przed Rozgłośni skręcił w prawą przecnicę. Opadła go zaraz trójka zniecierpliwionych przyjaciół.

- No i co, no i co?! - wołał Marek.

- Jak poszło?! - dopytywał się Maciek.

- Czy... nic złego się nie stało? - wtórowała Bożena, podejrzliwie zerkając na sobowtóra.

Andrzej urywanym głosem opowiadał, co wydarzyło się w Rozgłośni. Bożena zaledwie usłyszała o chwilowym nieposłuszeństwie robota, zaraz zawołała:

- A co? Nie mówiłam, że Rob jest tak samo przebiegły, jak ten amerykański robot, co to zabił konstruktora?! Już więcej nie wychodzę z nim na ulicę!

- Nie mów głupstw, Bożena! - ofuknął ją Maciek.

- Robot reagował tylko na widok odznaki. Sam go na to uczuliłem, lecz widocznie wadliwie ułożyłem program działania - usprawiedliwiał się Andrzej. - Nie znam się na tym tak jak ojciec!

- Nie martwcie się! - wtrącił rozpromieniony Marek. - Udało się wspaniale! Złodziejaszki na pewno już zrezygnowały z włamania! Robot pierwsza klasa! Przecież sztuczny rozum zbudowany z kółek, śrubek i lampek nie może działać tak precyzyjnie jak prawdziwy ludzki! Jestem pewny, że robot pana profesora zakasował wszystkie inne sztuczne stwory.

Tak rozmawiając zbliżali się do ulicy Poniatowskiego, przecinającej ulicę Kościuszki. Właśnie przechodzili przez jezdnię... Naraz obok zabytkowej, stuletniej gruszy robot znów nieoczekiwanie okazał nieposłuszeństwo. Przystanął ma wysepce na środku jezdni obok rozłożystego drzewa. Nie reagował na rozkaz "idź", odwracał głowę do tyłu.

- Andrzej, co się dzieje? - szepnął wystraszony Marek.

- Nie wiem, nie chce słuchać - odparł podniecony Andrzej.

Bożena kilkoma susami przesadziła jezdnię. Przystanąła dopiero za kioskiem Ruchu.

Na szczęście nieposłuszeństwo robota trwało tylko krótką chwilę. Bo oto zaprzestawszy oglądać się, ruszył spokojnie u boku zdenerwowanego Andrzeja.

- Co jemu się stało? - dziwił się Marek.

- Przestań go obgadywać - pospiesznie wtrącił Maciek, trwożliwie zerkając na cybernetycznego człowieka. - Może on rozumie, co ty o nim mówisz i chce udowodnić, że potrafi myśleć samodzielnie.

Marek zamilkł. Spoglądając spod oka na Roba, przyspieszył kroku. Bożena nieco zalekniona szła w tyle za chłopcami. Minęli główną bramę parkową. Rob szedł miarowo, lekko odwróciwszy głowę w stronę gęstych zarośli odgradzających Park Kościuszki od ulicy. Andrzej z obawą obserwował zachowanie się sobowtóra. Nie miał wątpliwości, że mechanizm sztucznego człowieka ulegał jakimś dziwnym zakłóceniom. A może też robot sam ułożył sobie jakiś program działania? Ojciec przecież mógł ulepszyć i rozszerzyć umiejętności robota w większej mierze niż zwierzył mu się przed swoim wyjazdem.

Andrzej tak bardzo pragnął już znaleźć się z powrotem w domu! Teraz dopiero przerażała go myśl, że uczulając robota na odznakę z fosforyzującą błyskawicą, mógł uszkodzić precyzyjny mechanizm sztucznego człowieka. Trójka przyjaciół, pełna obaw i niepokoju podążała obok w milczeniu.

Zbliżali się do wylotu bocznej alei parku. Wtem robot znów przystanął. Po krótkiej chwili wahania zбочzył w aleję. Pobiegli za nim. Wpadli wprost na rozmawiającą grupkę mężczyzn. Rób właśnie stał przed nimi, oni natomiast sprawiali wrażenie, jakby chcieli rzucić się na niego.

Wystraszone dzieci natychmiast poznały swoich tajemniczych wrogów, którzy prawdopodobnie śledzili ich od chwili wyjścia z Rozgłośni. Robot uczulony na żetony z fosforyzującymi błyskawicami wyczuwał obecność złoczyńców w pobliżu i z tego powodu następowały zakłócenia w jego mechanizmie.

Marek ujrawszy podejrzanych mężczyzn krzyknął mimo woli:

- Panie profesorze, to oni!

- Milcz smarkaczu, albo spotka cię coś złego! - zagroził tęgi mężczyzna, przyskakując do niego.

Marek cofnął się, odruchowo osłonił ramieniem głowę. Tego dnia tylko mężczyzna o lisiej twarzy nosił rozpoznawczy żeton. Sobowtór jak zafascynowany wpatrywał się w klapę jego marynarki. Lisia Twarz zaczął cofać się krok za krokiem. Robot natychmiast ruszył za nim.

Chłopcy i Bożena stali przerażeni. Dwóch mężczyzn zagradzało im drogę.

- Zajmij się pan dziećmi, my pogadamy z tamtym - mruknął jeden z nich.

- Zachowujcie się spokojnie, albo...złe będzie z waszym profesorkiem - ostrzegł najęźszy z napastników. - Nie próbujcie uciekać. Jeśli będziecie grzeczni, nic się wam ani jemu nie stanie. Pójdziemy na lody. Ruszajcie przede mną!

Poprowadził ich z powrotem ku miastu. Chłopcy co chwila spoglądali za siebie. Zimny, okrutny wzrok złoczyńcy przerażał ich i zmuszał do posłuszeństwa. Mężczyzna zaprowadził dzieci do Alody, małej lodziarni w suterenie domu na ulicy Kościuszki. Kupił im duże porcje lodów i kazał usiąść przy stoliku. Bożenie drżały wargi, była bliska płaczu. Chłopcy spod łbów spoglądali na ponurego mężczyznę. Tutaj między ludźmi czuli się trochę pewniej. Cóż jednak stało się z Robem? Mężczyzna zabronił im rozmawiać, więc siedzieli cicho, jedząc lody, które chyba po raz pierwszy w życiu były tak trudne do przełknięcia. - Nareszcie skończyli. Złoczyńca w końcu spojrział na zegarek.

- Idziemy! Tylko milczeć i grzecznie iść przede mną - rozkazał.

Wyszli po schodkach na ulicę.

- Czołem druhu! - naraz zawołał Marek.

- Ach to wy? Czołem! - odpowiedział drużynowy Zawada teraz dopiero spostrzegając młodych przyjaciół.

- Milczcie, lub profesor zginie! - syknął mężczyzna. - Pamiętajcie!

Zawada zbliżył się do nich. Mężczyzna uprzejmie uklonił mu się kapeluszem i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy.

- Oh, jak to dobrze, że nas kolega spotkał - szepnęła Bożena z trudem oddychając.

- Kolego, chodźcie z nami do domu Andrzeja - jednym tchem wyrzucił z siebie Marek.

- Chętnie skorzystam z zaproszenia - odparł Zawada. - Załatwię tu na Kościuszki pewną sprawę i będę za jakieś pół godziny. Dobrze?

- A nie mógłby kolega zaraz?! - poprosił Andrzej. Bożena chciała coś powiedzieć, ale Marek ją uprzedził:

- Doskonale, tylko niech kolega nie nawali. Czy możemy liczyć na kolegę za pół godziny?

- Oczywiście, jeśli to coś pilnego, postaram się przyjść jak najwcześniej - odpowiedział Zawada.

- Dobra, tylko na pewno, to coś... naprawdę ważnego! - dorzucił Marek.

- Pospieszę się, a więc do widzenia!

Akurat nadjechała szesnastka. Marek pociągnął swych przyjaciół do tramwaju. Po dziesięciu minutach byli przy ulicy Fitelberga. Chcieli upewnić się, czy niezwykle

robot-sobowtór w jakiś sposób nie zdołał samodzielnie powrócić do domu. Potem zamierzali telefonicznie zawiadomić milicję. Teraz i od Zawady również mogli oczekiwać pomocy.

Wpadli do ogrodu. Zatrzymali się przed frontowym wejściem. Andrzej wypowiedział hasło. Drzwi cicho się otworzyły. Weszli do hallu. Drzwi samoczynnie zamknęły się, ukazując mężczyznę o lisiej twarzy, który do tej pory krył się za nimi. Poznali go natychmiast, mimo czarnej maski. W ręku jego połyskiwała broń.

- Marsz do pracowni! - groźnie rozkazał. Porażeni strachem, "detektywi" wykonali polecenie. W pracowni zastali resztę zamaskowanych mężczyzn. Ten, który zabrał ich na lody, znajdował się tam również. Widocznie przyjechał taksówką wcześniej od nich. Za odchylonym skrzydłem parawanu stał pusty fotel.

Rob przepadł jak kamień w wodę.

- Siadać pod ścianą i milczeć - warknął Lisia Twarz. - Wasza przemądrzała gospodyni siedzi związana w kuchni. Jej mąż na szczytce w kopalni, a pan profesor zamknięty w bunkrze niedaleko stąd. Uwolnicie go, gdy my się ulotnimy! Zrozumiano? Panie W. bierz się pan do roboty!

Bożena ukryła twarz w chusteczce i płakała. Andrzej śmiertelnie blady otoczył ją ramieniem. Złoczyńcy przestali zwracać na nich uwagę. Tylko Lisia Twarz stał na straży w drzwiach do pracowni. Chłopcy przerażeni spoglądali na siebie. Wpadli w potrzask! Teraz znikąd nie mogli oczekiwać pomocy. Zawada przyjdzie i zapewne odejdzie, zastawszy drzwi zamknięte, lub, tak jak oni, wpadnie w pułapkę. Andrzej gorączkowo rozmyślał o Robie. Lisia Twarz powiedział, że cybernetyczny sobowtór ojca został uwięziony w bunkrze. Andrzej dobrze znał ten powojenny bunkier. Znajdował się w pobliżu domu. Betonowa budowla, na pół ukryta w ziemi, posiadała mocne, żelazne drzwi, zamykane z zewnątrz na rygiel. Rób sam nie mógł im przyjść z pomocą. Byli więc zdani na łaskę i niełaskę złoczyńców...

Lisia Twarz również musiał tak mniemać. On to bowiem wyprowadził domniemanego profesora za Park Kościuszki aż na Brynów. Przedtem, myszkując przez szereg dni w pobliżu domu profesora, przypadkiem natrafił na bunkier. Toteż przypomniał sobie o nim tego popołudnia w Parku Kościuszki, gdy "naukowiec" uporczywie dążył za nimi. Wywiódł go w odludne miejsce. Pierwszy wsunął się do bunkra, porwał z ziemi kawał cegły. "Profesor" nieświadom niebezpieczeństwa otrzymał silny cios w tył głowy. Lisia Twarz błyskawicznie wyskoczył na zewnątrz, zatrzasnął żelazne drzwi, zasunął rygiel. W pobliżu domu spotkał się z kamratami. Starannie opracowany plan napadu powiódł się całkowicie.

Złoczyńcy pewni bezkarności próbowali otworzyć pancerną kasę wynalazcy, a tymczasem sztuczny człowiek-sobowtór stał bez ruchu w ciemnym bunkrze. Uderzenie cegłą

złagodziła masa plastyczna pokrywająca stalową czaszkę. Mimo to wstrząs wyłączył program działania. Robot znów przemienił się w nieruchomą maszynę. Po jakimś czasie stała się dziwna rzecz. Syntetyczny człowiek drgnął, ruszył przed siebie. Natrafił na betonową ścianę. Przystanął, lecz silny impuls płynący z zewnątrz pobudzał go do czynu. Cofnął się a potem rozpoczął wędrówkę wzdłuż muru. Naraz potknął się o stos gruzu. Runął na ziemię. Stalowe cielsko nieporadnie drgało przewalając się z boku na brzuch. Powoli, z wielkim trudem robot próbował powstać. Przybierał dziwaczne pozycje, zmieniając w ten sposób środek ciężkości ciała; chciał ułatwić sobie podnoszenie nóg, które przy powstawaniu nie mogły być obciążone siłą własnego ciężaru. W końcu stanął na nogi. Poszedł przed siebie. Tym razem natrafił na żelazne drzwi. Silny impuls radiowych fal pobudzał go wciąż do działania, włączał odpowiednie programy.

Rob cofnął się o pół kroku od zapory, uniósł lewą rękę. Z wskazującego palca wysunął się maleńki stalowy trzpień. Ręka zakreśliła duże półkole dotykając zapory ultradźwiękowym trzpieniem. Część drzwi, w których znajdował się rygiel, została wycięta. Teraz ramię wolno opadło w dół. Napór stalowego cielska otworzył ciężkie drzwi. Rob był wolny. Miarowym krokiem podążył za impulsem niesionym przez fale radiowe, wysyłane z willi profesora Rawy.

Zemsta robota

Wąsik nałożył gumowe rękawiczki. Podeszedł do wmurowanej w ścianę pancерnej kasy. Przez jakiś czas przyglądał się jej okiem znawcy. Potem końcami palców delikatnie dotykał stalowych drzwi, poruszył małym kołem podobnym do kierownicy samochodowej, to znów manipulował tarczą opatrzoną liczbami, wkładał rozmaite wytrychy w otwór zamka. Słysząc było suche trzaski w mechanizmie, lecz drzwi kasy pozostawały zamknięte. Wąsik coraz bardziej chmurzył czoło. W końcu zrzucił marynarkę. Znow przystąpił do pracy.

Chłopcy z wolna ochłonęli z panicznego strachu, jaki ich ogarnął, po nieopatrzonym wpadnięciu w pułapkę. Nawet Bożena przestała płakać. Włamywacze nie zwracali uwagi na dzieci. Niecierpliwym wzrokiem śledzili Wąsika. Mimo doświadczenia jakoś długo nie mógł sobie poradzić z elektronicznym zamkiem.

Marek spojrział na wahadłowy zegar; wymienił z przyjaciółmi porozumiewawcze spojrzenie. Właśnie mijало pół godziny od powrotu do domu. Przybycia Zawady można było spodziewać się lada chwila. Nieśmiała nadzieja zaczynała kiełkować w ich sercach.

Drzwi pancерnej kasy wciąż były zamknięte. Oby tylko Zawada nie wpadł w sidła, jak oni. Jakże teraz żalowali, że od razu nie wyznali mu prawdy!

Wtem Lisia Twarz psyknął ostrzegawczo. Dwaj kompani natychmiast bezgłośnie przybiegli do niego. Teraz dopiero chłopcy zauważyli, że włamywacze nosili trzewiki na gumowych podszewkach. Lisia Twarz przyłożył palec do ust. Tęgi mężczyzna, który był z dziećmi w Alodzie, wydobyl z kieszeni pistolet. Lisia Twarz szybko zamknął wejście do pracowni. Zapadła ciemność.

W hallu głucho trzasnęły drzwi. Po chwili w pracowni zajaśniało światło. W progu stał robot-sobowtór. Spod przymrużonych powiek spokojnie spoglądał na wymierzony w jego pierś pistolet. Oniemiałe dzieci nie mogły wydobyć z siebie ani jednego słowa. Zdumienie oraz bezgraniczny strach odebrały im zdolność ruchu. Szeroko otwartymi oczyma patrzyły na genialnego robota-sobowtóra, który na przekór ludzkiemu rozsądkowi myślał i działał samodzielnie. Sobowtór tymczasem rozglądał się po pracowni. Naraz spostrzegł pod ścianą grupkę przerażonych dzieci. Wyraz ogromnej ulgi przewinął się po jego twarzy. Przesławszy im pełne otuchy spojrzenie, przesunął swój wzrok na zamaskowanych złoczyńców.

- Ręce do góry! - warknął mężczyzna z pistoletem w dłoni.

Bożena zatkała histerycznie. Chłopcy również drżeli, oczekując na reakcję cybernetycznego człowieka. Przecież był uzbrojony w pociski gazowe! Na widok broni

powinien był natychmiast obezwładnić przestępców.

Dlaczego tego nie uczynił?! Czyżby znów działał według jakiegoś własnego programu?!

- Ręce do góry! - groźnie powtórzył Lisia Twarz.

- Czaszkę ma pan chyba z żelaza, ale przed kulą lepiej zrezygnować z oporu!

Włamywacz nie mniej był zdumiony od dzieci. Absolutnie nie mógł pojąć, w jaki sposób zjawił się tak nieoczekiwanie człowiek ogłuszony przez niego potężnym uderzeniem w głowę i uwięziony w bunkrze!

Chłopcy bezwiednie wydali stłumiony okrzyk. Sobowtór wolno podniósł ręce do góry. Lisia Twarz wprawnie zrewidował go. Z zewnętrznej kieszeni jego marynarki wydobyl pistolet. Marek i Maciek jednocześnie spojrzeli na Andrzeja. Ten zaś, straszliwie pobladł, wpatrywał się w sobowtóra. Jakieś przerażające podejrzenie zaczęło wkradać się w jego myśli. Usta drżały, jakby miał wybuchnąć płaczem.

- Czego panowie tutaj szukacie? - odezwał się robot. - Czy wiecie, co wam grozi za dokonanie napadu?!

- Tylko bez straszenia! Jeśli panu zależy na synu, niech pan natychmiast otworzy pancerną kasę - warknął Lisia Twarz.

- Tam nie ma pieniędzy - spokojnie odparł sobowtór.

- To nasza sprawa! Otworzy pan kasę, czy nie?!

Sobowtór rozmyślał przez chwilę, po czym zapytał:

- Więc to jedyny warunek? Czy pozostawicie nas potem w spokoju?

- A jakże! Zabierzemy tylko jeden drobiazg i ulotnimy się grzecznie - odpowiedział Lisia Twarz.

- Dobrze, otworzę kasę. Nagle Andrzej krzyknął:

- Tatuś! Tatusiu...!

Z oczami zalanymi łzami podbiegł do ojca. Rzucił mu się na szyję. Profesor Rawa mocno uściśnął syna. Lisia Twarz schwycił Andrzeja za ramię, chcąc odsunąć go od ojca, lecz profesor zmierzył go surowym spojrzeniem i rzekł ostro:

- Precz od dziecka, lub nie otworzę kasy!

- Nie tykaj tego chłopca - rozkazał tęgi mężczyzna i ponaglił profesora: - Niech pan otwiera kasę, nie mamy czasu.

- Dobrze! - odparł Rawa i zwrócił się do Andrzeja. - Nie bój się synu! Jeśli komukolwiek tutaj coś zagraża, to tylko tym... panom.

Andrzej oszołomiony był nieoczekiwanym powrotem ojca. Ani on, ani reszta członków

Klubu Poszukiwaczy Przygód nie mogła wprost uwierzyć w przybycie prawdziwego profesora Rawy, lecz sama jego obecność dodała im otuchy. Wynalazca tymczasem nieznacznie rozglądał się po pracowni. Zasepił się, ujrawszy pusty fotel za wpół odsłoniętym parawanem. Podszedł do kasy.

- Który z was majstrował przy niej? - zapytał spoglądając na włamywaczy. Zauważył gumowe rękawiczki na rękach zamaskowanego Wąsika. - To zapewne pan?! Zamka elektronicznego nie otwiera się w ten sposób, mój panie! Musi pan unowocześnić swoje metody, lub spotka pana kiedyś przykra niespodzianka.

Profesor manipulował przy zamku kasy, a Wąsik nie spuszczał wzroku z jego palców.

- Niestety, uszkodził pan mechanizm - orzekł po chwili wynalazca. - Spróbuję otworzyć kasę innym sposobem.

Mówiąc to zbliżył się do tablicy rozdzielczej umieszczonej na stole na środku pracowni. Nieznacznie obserwował włamywaczy. W niezwykłym napięciu śledzili każdy jego ruch. Zawahał się na moment. Ogarnął go lęk, czy nie podejmuje zbyt ryzykownej gry. Przecież tu chodziło nie tylko o niego, lecz i o dzieci! Co uczynią włamywacze, gdy zorientują się, że wyprowadził ich w pole?! Tablica rozdzielcza, której zastosowania nikt nie znał oprócz niego, nie otwierała kasy. To był nowy aparat nadawczy. Dzięki niemu mógł wysyłać Robowi rozkazy nawet na znaczną odległość. Cóż jednak stanie się, jeśli jakieś nieprzewidziane przeszkody uniemożliwią robotowi przybycie z pomocą?!

“W najgorszym wypadku otworzę kasę” błysnęła profesorowi myśl. Nie wahał się dłużej. Uniósł dłoń, przełożył jedną dźwignię, potem drugą. Niebieskawe światelka zaczęły błyskać w lampach na tablicy rozdzielczej.

- Impulsy elektryczne muszą wyregulować zamek - wyjaśnił zaintrygowanemu Wąsikowi. - Powinien pan poczytać coś niecoś o elektronice. Za... dziesięć minut kasa będzie otwarta.

- Faktycznie nie widziałem jeszcze takiego zamka - przyznał Wąsik.

Profesor spoglądał na zegar. Już minęło sześć minut..., siedem, osiem...

Dzieci z zapartym tchem również śledziły wskazówki zegara. Dochodziła dziewiąta minuta... Wtem w hallu obok pracowni rozległy się ciężkie kroki. Złoczyńcy przyczaili się u wejścia. W drzwiach stanął drugi profesor Rawa. Teraz z kolei włamywacze oniemieli na krótką chwilę. Zdumieni patrzyli nie wierząc własnym oczom. Pierwszy oprzytomniał tęgi mężczyzna. Wyciągnął przed siebie dłoń uzbrojoną w pistolet i krzyknął:

- Ręce do góry!

Sobowtór profesora błyskawicznym ruchem uniósł prawe ramię. Z wskazującego palca

wytrysnął obłoczek. Złoczyńca zachwiał się, upuścił broń. Jego kamrat także, zdawało się, usypiał na stojąco.

- Rob! - wrzasnęły dzieci.

Rob odwrócił się ku Lisiej Twarzy. On jeden stał na uboczu pilnując młodych więźniów. W kłapie jego marynarki tkwił żeton z fosforyzującą, złotą błyskawicą. Rob ruszył ku niemu. Lisia Twarz odgadł teraz, że ma przed sobą człowieka, którego uderzył cegłą w głowę i zamknął w bunkrze. Ubranie jego powalane było wapnem i czerwonym pyłem. Zaczął się cofać przed milczącym przeciwnikiem. W końcu przywarł plecami do ściany. Rob szedł za nim, był już zaledwie o pół kroku.

Lisia Twarz przerażonym wzrokiem szukał daremnie pomocy kamratów. Sobowtór zbliżał się do niego z wymierzonym wskazującym palcem, lecz nie mógł gazem obezwładnić złoczyńcy, ponieważ wyczerpał już wszystkie ładunki. Mimo to wciąż trzymał podniesione przedramię. Twardy stalowy palec dotknął piersi Lisiej Twarzy. Naciskał coraz mocniej, przebił ubranie.

Złoczyńca bezskutecznie usiłował dłońmi odepchnąć przeciwnika od siebie. Palec sobowtóra zagłębił się w jego ciało. Lisia Twarz wczepił dłonie w ubranie nacierającego, w paroksyzmie bólu szarpnął rękami. Pod rozerwanym ubraniem błysnęła srebrzysta, metalowa pierś robota.

Obłądny przestрах odmalował się w szeroko otwartych oczach Lisiej Twarzy. Perlisty pot zrosił jego czoło: pojął, że przeciwnik nie był żywym człowiekiem. W pracowni rozbrzmiał okrzyk bólu i przerażenia.

Profesor Rawa gwałtownie pochylił się nad tablicą rozdzielczą. Szybko przełączył dźwignie. Fioletowe światło w żarówkach przygasło. Sobowtór znieruchomiał. Zapomniał o zemście, znów był tylko maszyną, sporządzoną przez genialnego wynalazcę.

Potworny krzyk Lisiej Twarzy otrzeźwił jego oszołomionych towarzyszy. Widząc kamrata padającego bezwładnie na posadzkę, rzucili się na profesora Rawę.

- Za mną! - wrzasnął Marek.

Czwórka zdesperowanych dzieci zabiegła drogę napastnikom. Bożena skulona wpadła wprost pod nogi najtęższemu z nich. Potknął się o nią i runął jak długi na posadzkę. W tejże chwili Marek chwycił go za kark, Andrzej i Maciek przytrzymali mu ręce. Profesor cofał się przed Wąsikiem grożącym pistoletem. Zwycięstwo przechylało się znów na stronę złoczyńców.

* * *

Drużynowy Zawada szedł w górę ulicą Kościuszki. Zastanawiał się, dlaczego czworo młodych przyjaciół tak usilnie nalegało, aby koniecznie jak najszybciej przybył do domu profesora Rawy. Kim był ów rosy mężczyzna, który szybko oddalił się od nich na jego widok?

Zawada mimo woli przyspieszył kroku. Jakoś nie mógł opanować podświadomego niepokoju. Teraz przypominał sobie, że parę dni temu rezolutni członkowie Klubu Poszukiwaczy Przygód mówili mu o jakimś mężczyźnie obserwującym dom profesora-wynalazcy. Zafrasowany, niemal wbiegł po schodach, dążąc na umówione spotkanie z kilkoma harcerzami, którzy razem z nim mieli dojechać do obozującej już od kilku dni nad morzem drużyny.

- Czołem chłopcy! - zawołał wpadając do mieszkania.

- Czołem! - odkrzyknęli druhowie.

- Trochę spóźniłem się na odprawę, wybaczenie! - zaczął Zawada. - Słuchajcie, chłopcy! Jestem zaintrygowany i... niespokojny. Idąc do was spotkałem naszych starych znajomych z Klubu Poszukiwaczy Przygód. Odniosłem wrażenie, że te miłe, niespokojne duchy nawarzyły jakiegoś piwa i popadły w tarapaty...

Opowiedział o pełnej niedomówień rozmowie z łowcami proporczyków. Zachowanie się członków Klubu wydało się druhom co najmniej bardzo dziwne.

- Odłóżmy odprawę na później i zaraz wszyscy idźmy do nich - impulsywnie odezwał się jeden z harcerzy.

- A może nadarzy się okazja do rewanżu za wykradzenie proporczyka?! - podsunął drugi.

- To właśnie chciałem wam zaproponować - zawołał Zawada. - W drogę!

Wybiegli na ulicę. Wkrótce jechali tramwajem w kierunku Brynowa. Nim upłynęło dwadzieścia minut, znaleźli się przed domem profesora Rawy. Zawada nie mógł uporać się z otwarciem furtki. Już zamierzał przeskoczyć przez parkan, gdy odezwał się jeden z harcerzy :

- Druhu, ktoś nadchodzi!

Zawada obejrzał się; wysoki barczysty mężczyzna zbliżał się szybkim krokiem. Na wprost furtki przystanął wahająco. Był to profesor Rawa!

Zawada odstąpił na bok, profesor natomiast nie zwracając ani na niego, ani na harcerzy jakiegokolwiek uwagi, całym ciałem nacisnął furtkę. Otworzyła się z trzaskiem. Naukowiec podążył do drzwi willi.

Zawada stał zdezorientowany. Dlaczego Andrzej nie wspomniał mu o powrocie ojca? Drużynowy tylko z widzenia znał wybitnego naukowca, toteż nie dziwił się, że nie został przez

niego zauważony. Razem ze swymi druhami spoglądał za podchodzącym właśnie do drzwi wejściowych profesorem Rawą. Oniemieli, profesor bowiem jednym palcem błyskawicznie wyciął otwór w drzwiach, pchnął je i wszedł do hallu. Po kilku chwilach w głębi domu rozbrzmiał przeraźliwy okrzyk.

Harcerze jak na komendę rzucili się w kierunku domu, a tymczasem z krzewów na ulicy wysunęło się kilku mężczyzn.

“Obstawić wszystkie wyjścia i uważać na okna, reszta za mną!” rozkazał jeden z nich.

Gromada harcerzy wpadła do hallu. Przez szeroko otwarte drzwi pracowni dochodziły odgłosy walki. Drużynowy Zawada trzema susami doskoczył z tyłu do Wąsika grożącego profesorowi Rawie pistoletem. Zręcznym chwytem wykręcił mu rękę do tyłu i wytrącił broń. Inni druhowie pospieszyli z pomocą członkom Klubu Poszukiwaczy Przygód, rozpaczliwie walczącym z rosnym mężczyzną. Jeden wskoczył mu na plecy, inni chwycili za ręce i nogi. Jak pod gwałtownym podmuchem huraganu w jednej chwili runął na posadzkę.

“Brać ich” rozbrzmiał naraz donośny rozkaz. Był to porucznik Wadowski.

Kilku milicjantów w mgnieniu oka obezwładniło złoczyńców. Wkrótce stali pod ścianą skuci kajdankami. Nie mieli już masek na twarzach. Oficer przyjrzał się Wąsikowi i Lisiej Twarzy.

- Starzy znajomi, jak widzę - rzekł marszcząc brwi. - No, tym razem wdaliście się w bardzo kiepską sprawę!

- Panie poruczniku, od razu mówiłem, że z takim specem od elektronicznych cacek lepiej nie zaczynać - potulnie mruknął Wąsik. - To jeden zagranicznik nas napuścił na ten interes. On obmyślił wszystko, lecz nie powiedział nam, że profesor ma bliźniaka hipnotyzera. Słowo daję, panie poruczniku, on tylko spojrzy na pana, a pan już usypia! Przez tę sztuczkę wpadliśmy!

- Wiem już o tym “zagraniczniku” - odparł porucznik Wadowski. - To dla niego chcieliście wykraść panu profesorowi dokumentację pewnego ważnego wynalazku!

- Kto to panu powiedział?! - zdumiał się Wąsik.

- Tylko szczere zeznanie może wam pomóc, Wąsik - powiedział oficer. - Proszę podać rysopis “zagranicznika”!

- Słowo honoru, że go nigdy nie widziałem - odpowiedział Wąsik. - Nikt z nas go nie zna. Dopiero jutro wieczorem mieliśmy się z nim spotkać w Parku Kościuszki koło pomnika.

- Kłamiesz, Wąsik! - ostro rzekł oficer. - Mówisz, że go nie znasz, w jaki więc sposób rozpoznasz go jutro w parku?

- Nie, panie poruczniku - oburzył się Wąsik. - Nie znamy go! To on miał nas rozpoznać

po żetonach z fosforyzującą błyskawicą! O, widzi pan!

Włamywacz wskazał brodą na żeton wpięty w klapę Lisiej Twarzy.

- Kto was z nim skontaktował? - indagował oficer.

- Jeden znajomek z Warszawy...

- Dobrze, pogadamy o tym w Komendzie - przerwał mu porucznik Wadowski. -

Wyprowadzić ich!

Dopiero teraz członkowie Klubu Poszukiwaczy. Przygód odetchnęli pełną piersią. Radość ich nie miała Kranie. Na przemian ściskali profesora Rawę, Zawadę, porucznika Wadowskiego i młodych harcerzy.

- Coś mi się zdaje, że tym razem można by z kolei wam przygadać: "Nie śpij na warcie"

- śmiał się drużynowy Zawada. - Daliście się lekkomyślnie wciągnąć w pułapkę.

- Druhu, kochany druhu, jak to dobrze, że przybiegliście nam na pomoc - cieszyła się Bożena.

- Dziękujemy za ten rewanż - wtrącił Marek. - W samą porę przybyliście! Bez was nie dalibyśmy im rady!

- Czy to kolega drużynowy wezwał milicję? - dopytywał się Maciek.

- Właśnie, właśnie, skąd kolega wiedział, że tu będzie potrzebna milicja? - dodał Andrzej.

- Nie, to nie ja wezwałem pana porucznika - zaprzeczył Zawada.

Wszyscy spojrzeli na Wadowskiego, przyglądającego się bacznie Robowi.

- A więc to jest ten robot-sobowtór, o którym - wspominał mi pan dzisiaj po południu? - zwrócił się oficer do profesora Rawy.

- Tak, panie poruczniku, to właśnie on! - odparł profesor. - To jego napadnięto na ulicy Kościuszki!

- Czy nie zechciałby pan uruchomić go na chwilę?

- Ja to zrobię, ja! - zawołała Bożena. - Przy prawdziwym wujku wcale nie obawiam się tego sztucznego!

- A czy potrafisz? - zdziwił się oficer.

- Ho, ho! Przecież to ja zaprowadziłam go do Orbisu! Wystraszyłam się, bo mi uciekł z kawiarni i później bił się z tymi... włamywaczami. Czy pan wie, że on potrafi myśleć?! Tylko to wielka tajemnica, pan rozumie?! Każdy wynalazca ma różne tajemnice. Teraz Roba się nie boję, on wie wszystko i... napada tylko złych ludzi. Nam przybiegł z pomocą!

Próba wypadła znakomicie. Bożena była rozpromieniona.

- Wcale nie dziwię się redaktorowi Kalickiemu - z podziwem rzekł oficer. - Naprawdę

łudzące podobieństwo! No, skoro zaspokoilem ciekawość, spisujemy protokół. Muszę mieć podstawę do aresztowania tego pana z zagranicy, którego tak bardzo interesują wynalazki polskich uczonych.

Najpierw dzieci składały zeznania. Potem profesor udzielił wyjaśnień.

- Po odebraniu pana telefonu w Londynie - rozpoczął - natychmiast wsiadłem do samolotu.

- A dlaczego pan porucznik telefonował? - zdziwił się Marek.

Porucznik opowiedział o meldunku redaktora Kalickiego.

- Kiedy przybyłem do Katowic, dzieci akurat nie było w domu - ciągnął profesor. - Moje urządzenia telewizyjne, fotograficzne i... inne pozwoliły mi zorientować się w sytuacji. Przesłuchałem rozmowę włamywaczy w Orbisie nagrany na taśmie przez robota. Domyśliłem się, czego oni tutaj szukali.

- Wujku, czego oni szukali? - ciekawiła się Bożena.

- Dokumentacji pewnego wynalazku - wyjaśnił Rawa.

- Ojczy, przecież zgodziłeś się otworzyć kasę! Oni zabraliby tę dokumentację - zawołał Andrzej. - Dla naszego bezpieczeństwa chciałeś oddać tak... ważny wynalazek?!

Profesor Rawa uśmiechnął się, po czym odparł:

- Uspokój się mój drogi, w kasie pancernej nie ma tego, czego oni szukali. Tajemnicy mojej strzegł ktoś, komu nikt nie mógł jej wydrzeć!

Profesor spojrział na nieruchomego, milczącego Roba.

- Przecież on ma przy sobie mój wynalazek, który go uruchamia - wyjaśnił. - Również dokumentacja utrwalona na taśmie magnetofonowej jest w nim przechowywana!

- Ach, jaki byłem niemądry! - zdumiał się Andrzej. - Dopiero teraz zrozumiałem to wszystko, o czym mówiłeś mi przed wyjazdem!

Ojciec uśmiechnął się do syna i kończył wyjaśnienia:

- Po stwierdzeniu, co się tutaj święci, postanowiłem nie zdradzać przed nikim swego wcześniejszego powrotu z Londynu. Bardzo sprytnie postąpiliście, podsłuchując tych rzezimieszków w Orbisie. Relacja Roba wiele mi wyjaśniła. Przenocowałem w hotelu. Następnego dnia, to jest dzisiaj, nieoczekiwanie dowiedziałem się z prasy, że będę wygłaszał referat przez radio. Odgadłem, że to Rob ma mnie zastąpić. Wtedy porozumiałem się z panem porucznikiem i poinformowałem go o pewnym przedsiębiorstwie zagranicznym, bardzo interesującym się moim wynalazkiem. Ponieważ nie chciałem zdradzić mej tajemnicy, zapewne postanowiono zdobyć ją w nielegalny sposób!

- Muszę przyznać się, że poleciłem śledzić pana od samego powrotu do Katowic -

szczerze wyznał porucznik Wadowski. - Moi ludzie czuwali nad panem wbrew pańskiej woli. Dlatego też mogliśmy znaleźć się tutaj w samą porę. Milicja już otoczyła dom, zanim przybył pan Zawada ze swoimi druhami.

- Byłem umówiony z przyjaciółmi - wtrącił drużynowy. - Dlaczego od razu na Kościuszki nie powiedzieliście, jak przedstawia się sprawa? A może i słusznie postąpiliście?! Dzięki waszej odwadze prawie cała szajka została schwytana.

- Proszę pana, czy o nas napiszą w gazetach? Ja bym chciała pozować do fotografii ze sztucznym wujkiem! - zawołała Bożena, która zdążyła odzyskać swą zwykłą fantazję.

- A ja bym miał zupełnie inną propozycję! - poważnie odparł oficer. - Cała historia jest tak bardzo nieprawdopodobna! Robot-sobowtór, jego przygody na ulicach miasta, tajemnicza willa w Brynowie... Jakiś zagraniczny szpieg... Czy to naprawdę mogło się zdarzyć w takim mieście jak Katowice?! Najlepiej niech wszystkim nam się wydaje, że mieliśmy tylko bardzo niezwykły, oryginalny sen.

- Jak to, więc pan naprawdę w to wszystko nie wierzy?! - oburzyła się Bożena. - A genialny robot wujka, to pies?! On się nam nie przyśnił, proszę, tutaj właśnie stoi, może go pan dotknąć! No, niech się pan porucznik nie obawia! Przy prawdziwym wujku na pewno będzie posłuszny!

Wszyscy parsknęli śmiechem. Dziewczynka nie zrozumiała intencji oficera milicji.

- Słuchaj Bożenko - wesoło powiedział profesor. - Pan porucznik uważa, że ze względu na mój wynalazek lepiej uniknąć niepotrzebnego rozgłosu. Tak naprawdę będzie najrozsądniej.

- Proszę wujka, ja doskonale zrozumiałam, co pan porucznik mówił. Z polskiego ostatnio otrzymałam Czwórkę.

- Droga pani! - rzekł porucznik, tłumiąc śmiech. - Naprawdę to miałem na myśli, co pan profesor powiedział. W tajemnicy mogę się przyznać, że w szkole raz otrzymałem z wypracowania dwójkę.

- A widzicie! - triumfowała Bożena. - Pan porucznik jest tak samo dżentelmenem, jak kolega Zawada. Od razu poznałam się na nich!

- Wobec tego umawiamy się: to był tylko niezwykły sen - zakończył oficer. - Czy mogę prosić pana profesora jutro na dziesiątą? Formalności musi stać się zadość.

- Z przyjemnością - odparł Rawa.

Do pracowni wszedł milicjant.

- Panie poruczniku, w kuchni znaleźliśmy obezwładnioną gospodynię. Uwolniliśmy ją!

- Doskonale! A co ona teraz porabia? Czy dobrze się czuje? - zapytał oficer.

- Już ochłonęła z przestraszu! To rezolutna gosposia! Gdy dowiedziała się o powrocie

pana profesora, natychmiast zaczęła przygotowywać kolację!

- Bardzo dobrze! Pan profesor i reszta państwa na pewno zje ją z apetytem. Smacznego i do widzenia.

Koniec